

KROLEWSCY SYNOWIE.



J. I. KRASZEWSKI.

POWIEŚCI HISTORYCZNE.

VI.

KRÓLEWSCY SYNOWIE.

Powieść

z czasów Władysława Hermana
i Krzywoustego.

Tom III.

Boleslae, Boleslae Dux gloriosi sime
...defeudis tuam terram quam studiosissime...
Piesń obozowa niemiecka.
Gallus.

KRAKÓW.

Nakład Spółki wydawniczej księgarzy w Warszawie.

Gebethner i Wolff.

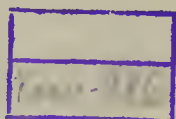
Maurycy Orgelbrand.

Michał Glücksberg.

G. Sennewald.

Edward Wende.

1877.



1000-186



W DRUKARNI WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

1000-186

I.

Bolko przemieszkował najczęściej we Wrocławiu, z Magnusem razem. Godzili się z sobą dobrze, bo wojewoda człek wojenny, rycerskiego ducha, serca otwartego, rad był zawczasu królewicza przeciwko Sicciechowi, nieprzyjacielowi swojemu usposobić i uzbroić.— Młody pan coraz bardziej za serce go chwycił.

Rzadki dzień królewicz cały na zamku spędził, najczęściej jechał w lasy, albo z drużyną swą zabawiał się w polu, wprawiając ludzi i konie. — Z nim dobrze było wszystkiemu i jemu z niemi.

Szlązcy panowie i władcy ciągnęli po kolei na gród, aby młodego królewicza poznać, wieźli mu podarki, towarzyszyli w wycieczkach, każdego

przyjmował serdecznie i odchodzili w nim rozmilowani.

Nie przyszedł nikt doń z próżnemi rękami, ale i nie odszedł nieobdarzony. Tylko nie mu innego nie można było dać, chyba psa osobliwego, sokola umieszonego dobrze, konia coby inne wyścięgał, lub mieczyk co żelazo łupał. Za każdy taki dar stokroć się ze skarbcza wywdzięczał.

Na miłości u ludzi nie zbywało mu, choć często gorący bywał i wybuchał, gdy mu co nie po myśli poszło. Umiał to jednak nagrodzić, a gniew u niego nie trwał długo.

Wojśław, ochmistrz królewicza, który ostatniemi czasy nie na wiele się już przydał Bolkowi, bo ten mu się wymykał na swobodę, zachorawszy w Płocku, do Wrocławia za nim podążyć nie mógł. Być może, iż z Magnusem obcować nie bardzo życzył, a namiestnik widząc w nim powinowatego Sieciecha, nie dowierzał mu, i nie lubił go.

Jednego dnia, gdy slotą się zawzięła uparta, a na łowy i gonitwę wybrać się nie było sposobu, i Bolko od okna do okna chodził narzekając, wpadł ulubieniec pański Pruszyńka i zawołał.

— Stary Strzegoni z pulkiem tu przyciągnął, nie wiem z czyjego rozkazaniam. Czeka na miłość waszą prosząc, aby się mógł pokłonić!

Bolko widział go kędyś dawniej, ale znał mało, rad mu był i odezwał się.

— Dawaj go tu, na slotę i Strzegoń dobry!

Pruszyuka wprowadził zaraz starego wojaka, którego siwe włosy Bolkowi dawne czasy przypomniały, a o tych rozmawiać lubił.

— Dawno już musicie we zbroi chodzić? — zapytał.

— Ze Szczodrym w Kijowie byłem zamłodn— odpowiedział Strzegoń.

— Toście dla mnie gościem miłym,—rzekł Bolko,—o królu tym i o jego wojnach powiedzieć coś będziecie mi mogli — nieprawdaż, że Bolko sławnym był bohaterem? Wy coście go znali i chodzili z nim, wiele o nim wiedzieć musicie.

Zapalczywym był, prawda — ale serca złego nie miał?

Tak się poczęła znajomość i rozmowa ze Strzegoniem, którego młody pan zaraz posadził na ławie, miodu dlań przynieść kazał i gościnnie zabierał się przyjmować.

Co się Strzegoniowi stało, sam on może dobrze nie wiedział, poruszyło się w nim coś, krew oblala mu twarz. Głos świeży i wesoły młode czasy mu przypomniał, a Bolko ten owego zuchwałego wojaka, którego on kochał — zmieszał się stary. Gdyby był mógł szedłby precz, sromił się w duszy tego, z czem przybywał.

Przyjęcie królewicza było serdeczne i ujmu-

jące; umiał poszanować starego, napierać mu się zaczął powieści, jak to tam było na Węgrzech, jak na Rusi, jak po powrocie z Kijowa, i jak ów mężny król stawszy się zabójcą, zginął marnie.

Strzegoń, jak wszyscy starzy, gdy się rozga-
dał, mówił chętnie i dużo, nie łatwo go było po-
ruszyć, ale gdy raz serdeczna nuta się ozwała
prawil co pamiętał, jakby sam dla siebie.

I teraz też powoli się dał wyciągnąć na opo-
wiadanie, a począwszy je, mówił o bitwach, w któ-
rych się bili tak dzielnie, o męztwie króla, które
równego nie miało, o zwycięztwach i o klęskach
późniejszych, gdy bohaterstwo szal zastąpił.

— Takim jak on, chciałbym być! — wołał
Bolko — ale posłusznym kościółowi, bo bez Boga
my nie możemy nic, a do Boga bez niego nie ma
drogi.

Przy pierwszém tém spotkaniu, które dłużej
trwało niż się oba spodziewali, Bolko przystał do
Strzegonia, polubił go i nie dał mu gdzieindziej
mieszkać jak przy sobie.

Stary dopiawszy celu odrazu, chodził i rad
i zafrasowany, niepewien co dalej robić.

Królewiczowi takiego właśnie człowieka wy-
trawnego potrzeba było do boku, brał go więc
z sobą do izby, schodziła się drużyna, stawiała
młodzież kolem, dawano staremu jeść i pić co
zapragnał, byle mówił a rozpowiadał jak to da-
wniej bywało, jak starzy wojowali.

Zrazu zacinał się Strzegoń, patrzył, wahał, potem gdy się z tą młodzieżą zżył, poznał ją, pokochał, opowiadał żwawo, ochotnie, zapalał się nierzadko i miecza dobywając ukazywał, jak ten tamtego platuł, jak się ów obraniał i t. p. Więc śmiechy, wykrzyki, a radość wielka panowała, podarki się sypały i Bolko na chwilę się z nim rozstać nie mógł.

Strzegoń nie dosyć, iż sam bywał ze Szczędrym po Rusi i na Węgrzech, ale od starych co z Chrobrym wojowali nasłuchal się dawnych o wojnie powieści, o zbrojach jakie nosili, o wszelakim sposobie potykania się w polu, dobywania miast i obronie, o fortelach wojennych, o tem jak się narody zbroiły i z kąd broń swą dostawały, a jaka im najlepiej służyła.

Przechodziły całe dnie na tych gawędach, a że Bolko w zamknięciu i zadumie nie lubił siedzieć, skoro pozwoliła pogoda, zabierał starego z sobą w las, często nawet, co mu najmilszem było, noc spędzali w chruścianym namiocie u ogniska.

Po kilku dniach Strzegoń dopiąwszy jak najszczęśliwiej tego z czem tu przybył, a uczyniwszy więcej niż się spodziewał, stał się markotnym wielce. Im Bolko dlań był miłszym i serdeczniejszym, tem stary żołnierz posępniejszym się stawał. Poczynał go nawet unikać. Bolko mocno na tem czując, tem mocniej nań nalegał, sowniej go obdarzał i ująć się sobie starał.

W miarę, jak się to przedłużało, niespokojniejszym coraz Strzegoń się stawał. Młodzieńcza ufność, dobroć, otwartość Bolka za serce go brała, patrzył na ten kwiat śliczny, ledwie rozkwitły, a pomyślwszy, iż go na śmierć ma wydać, gryzł się w sumieniu, żał go porywał wielki. Nigdy wprzód nie miał zręczności zbliżyć się do królewicza, znał tylko Sieciecha, który wielką nad nim miał siłę, nie wahał się dlań uczynić ofiarę: teraz — przemówiło serce, brakło mu odwagi, by spełnić do czego się zobowiązał. — Podstęp ten, do którego użyty był za narzędzie inaczey mu się przedstawiał. Przelamali z sobą chleb, nieraz obodzowali pospół, sypiali pod namiotem jednym, zbliżyły się dłonie, żołnierz poczynął być w niezgodzie z sobą samym — co tu począć? przemyslał nocami — lub jednego albo drugiego zdradzić muszę!

Człek był prosty, sobie samemu nie ufał, nie wiedział, czy się miał księdzu spowiadać, czy wróżki poradzić. Poganina jeszcze w nim było dużo, bo od młodu na wojnach, o religii myśleć ani się jęć uczyć nie miał czasu. Z innemi razem na pół-pogany obawiał się księży, jak czarowników. Napelniali oni w owych czasach trwogą lud pospolity; ztąd pozostała w obyczajach u gmin zła wróżba, gdy się księdza spotkało w drodze — miano ich za potężnych, cudami władających guslarzy nowego Boga.

Strzegoń też potroszę tego był przekonania wraz z innymi w wojsku. Śpiewał pieśni, muzy słuchał pobożnie, ale obcowania z duchowieństwem unikał. Wróżbita znówu ani guslarza pod ręką nie było, do większych miast się nie ważyli, bo duchowieństwo pilne na uich miało oko. Biedził się Strzegoń wiele. Jednego dnia gdy z królewiczem u Magnusa gościli, oznajmiono proboszcza z kościółka Panny Maryi, ojea Tyburego. Staruszek to był, polak, krakowianin rodem, który za wielkiego mędrca uie pragnął uchodzić. rad z ludźmi obcował, wesół był i więcej pocieszał, niż straszyl. Téu różnił się właśnie od innych, co więcej grozili niż pocieszali.

Śmiała mu się pocziwa twarz pomarszczona. nią już samą ludzi ku sobie pociągał i ujmował.

Duchowieństwo, zwłaszcza obce, Włochy i Francuzi, których naówczas pełno było w Polsce. krzywo nań patrzali i lekko go ważyli, wyrzucając mu, że nazbyt był pobłażającym — lecz, że O. Tyburey dla siebie surowym był, pobożnym i wiele świątobliwym, przebaczano w końcu zbytnią jego łagodność — biskup go szanował, lubił i brouił.

O. Tyburey zszedł tak biesiadujących, że Strzegoń ujsć nie mógł; Bolko wiele pobożny, poszedł go w rękę pocałować i przysiadł się zaraz do niego. Stary żołnierz trzymał się zdala.

Rozpoczęła się rozmowa, proboszcz jak był

zawsze pogodnej myśli, tak i teraz żartobliwie poczał zagadywać, rozpytywać i opowiadać. Takiego duchownego Strzegoń jako żyw, nie widział jeszcze, pocznął, że go coś ku niemu ciągnęło, a obawa czarów znikła zupełnie.

Mówiono o dawnych czasach, Strzegoń i Ojciec Tyburey oba je dobrze pamiętali. Od słowa do słowa, ożywil się stary wojak, przemówił, rozśmiali się do siebie i przystali ku sobie łatwo. O. Tyburey go rozpytywać poczał o rodzinę, znaleźli się wspólni znajomi, ksiądz był choć do rany przyłożyć.

Nazajutrz rano Strzegoń poszedł, ot tak, sam nie wiedząc dlaczego, na mszę świętą do Panny Maryi, a po mszy zajrzał do zakrystyi.

Zobaczywszy go staruszek, poznał i pozdrowił pobożnie, a potem pochwalil, że o kościele pamiętał.

— Mój ojcie, odparł Strzegoń zakłopotany, naprawdę nie ma mnie chwalić za co, bo ja nie dla mszy świętej do kościoła przyszedłem, ale za interesem do was. Chcę się was poradzić—w rzeczy bardzo ważnej i tajnej.

Wyszli więc nazad z zakrystyi do kościółka i ksiądz, nie biorąc go do konfesjonału, usiadł z nim na ławie. W kościele nie było nikogo, lampa się tylko paliła przed ołtarzem i w oknach ptaćstwo przysiadujące szczebiotało.

— Ojciec mój, odezwał się Strzegoń, którego

strach jakiś ogarnął w chwili, gdy się już miał zwierzyć — zaufać wam mogę, — wszakże mnie nie wydacie?

— Dziecko moje — odpowiedział ojciec Tyburecy, choć żołnierz musisz przecie wiedzieć o tém, iż przysięgamy na to, że kto nam co powierzy, tego nie odpowiemy nikomu, choćby na mękach życie dać przyszło. — Mów, nie lękaj się, utonie to jak w studni.

Westchnął Strzeżon i włosy potargał siwe.

— Sprawa taka — rzekł — nie tajno nikomu, że Sieciech królestwa pragnie — nie od dziś dnia. Na drodze mu stoją dzieci królewskie — szczególnie Bolko, na którego zasadzkę przygotowano pod pozorem wyprawy na Czechy, aby go zgładzić. Ja tu przybyłem nie po co innego, tylko żeby się z królewiczem poznać i podrużyć, a wciągnąć go tam, gdzie ma życie dać.

Posłano mnie, poszedłem. Tu przybywszy, gdy Bolka poznał, miły panie — za serce mnie wziął, nie mam siły dać go na zabicie. Co począć? zdradzić muszę albo jednego lub drugiego!

Ojciec Tyburecy słuchał spokojnie, nie poruszył się na to straszne wyznanie.

— Powiedzieć wy mnie — odczuwał się łagodnie — jak się wam zda? czy lepiej zdradzić szatana, który na zabójstwo godzi, czy Pana Boga, co miłość nakazuje, nawet dla wrogów? Królewicz ci nie uczynił, chyba dobro, panem twym ze

krwi jest, a Sieciech takim poddanym i sługą jako wszyscy. Jak ci się zda? mów sam?

— Aleś słowo dał? — odparł Strzegoń.

— A cóż warte słowo dane na złe? choćby nawet i przysięga, że się popełni grzech? — rzekł ksiądz. — W takim razie krzywoprzysięstwo jest cnotą, a wierność słowu zbrodnią. Pomyśl jeno, czy ten, który sięga po berło i koronę przez krew, może być błogosławionym i z sobą królestwu przynieść błogosławieństwo?

— A! no! — westchnął Strzegoń — jest jeszcze droga jedna. Jam stary, pokłonię się i pójdę precz, nie chcąc zdradzić ani jednego ni drugiego.

— Tak — rzekł ojciec Tyburey — tylko naówczas przyjdzie w miejsce wasze inny, mniżej sumienny i litościwy człek i zrobi to, co wy nie-
liście uczynić. Bólko więc zginie — nie żal ci go?

— A! miły ojeze — przerwał Strzegoń żywo, ręce składając. — Serdeczne to pamiątko! — żeby miało ginąć marnie — pomyśleć strach! — jam ze śmiercią oswojony, napatrzyłem się padających trupów jak liści w jesieni — a no — żeby ten kwiat korony królewskiej padł!

— Nie daj Boże, aby się to nieszczęście stało! — odezwał się o. Tyburey.

— Cóż mam czynić? co? — zapytał żołnierz.

Jęli namyślać się oba; ksiądz się na ołtarz zapatrzył, jakby z niego chciał czerpać natchnienie — potem rzekł:

— Wprost ponfinie Bolkowi powiedzieć wszystko, wyznajcie mu szczerze z czem was posłano.

— Wstyd mi! — zamruczał stary — nie chcę aby wiedział, że ja się tego podjąłem. Lubi mnie, gotówby znienawidzić.

— Chcesz ażebym ja o tém oznajmił? — Zapytał o. Tyburecy.

— A gdy was spytają zkąd to wiecie? — podchwycił Strzegoń.

— Ja nie potrzebuję mówić zkąd to wiem, — rzekł proboszcz. — Możemy uczynić lepiej jeszcze, pójdę z tém do biskupa. Biskup, który dawniej dosyć Siciechowi sprzyjał, dziś wraz z Magnussem z Bolkiem trzyma i kocha go. Pasterz sam ostrzedz może, a zkąd o tém wie, nikt go mówić nie znagli.

Namyślał się jeszcze Strzegoń.

— Niechże tak będzie — rzekł schylając się do ręki księdza — uczynicie to skoro, bo czasu do stracenia niema.

Rozmowa wśród ciszy kościelnej prowadzona kończyła się, gdy ojciec Tyburecy njął starego żołnierza za ramionami, uścisnął i całować go począł.

— Poczciwy mój stary — zawołał. — Nie odejdiesz niewynagrodzonym... za to coś uczynił. Bóg ci odpuści grzechy twoje, ja ci daję rozgrzeszenie! — Doznasz błogosławieństwa, będziesz miał szczęście na ziemi i w królestwie Bożem!

To mówiąc przeżegnał go nad pochyloną głowę krzyż kreśląc, pobłogosławił i ocierając lzy wywiódł go do zakrystyi, zjazd Strzegań wymknął się ostrożnie, przez nikogo niepostrzeżony, a powróciwszy na zamek musiał dla niepoznaki skłamać, że do płatnerza chodził, bo mu w zbroi dwa nity puścili i kawał żelaza obwisło.

Bołko tego dnia konie najeżdżał rano, w lesie było jakoś do łowów niezdarno, wiatr dał gwałtowny.

Z południa, co się rzadko trafiało, ujrzano orszak biskupi, który się ku zamkowi kierował. Jak tylko o nim znać dano, wyszedł natychmiast Magnus na spotkanie.

Biskup zamknął się z nim na osobności i naradzał długo.— Powiedział mu o zasadzce na życie królewicza. Namiestnik zafrasował się wielce, ale oznajmienia o niej na siebie brać nie chciał, boby go posądzano, że przez nieprzyjaźń dla Siciecha potwarz nań rzuca. Okazało się, że Magnus coś już przewidywał i domyślał się pono.

Posłano dworskiego po królewicza na łąkę, który konie porzuciwszy z drużyną, sam wezwał przygnał na zamek.

Wszyscy eo go spotykali po drodze pędzącego na rumaku, jakby zrosłego z nim, z włosy na wiatr puszczone, z twarzą pałającą, z wesółym wzrokiem, jasnym czołem, stawali napatrzeć się i nacieszyć młodym rycerzem.

Wpadł z koniem prawie na przedsienie, osadził go, skoczył i biegał do wojewody.

Magnus wychodził na spotkanie.

— Miłościwy panie, rzekł — są ważne sprawy. Przybył z niemi biskup, pomówić trzeba — chodźcie.

Właśnie tych słów domawiał Magnus, gdy na podwórce wjechało trzech ludzi, Bolko poznał w nich dwu ojcowskich dworzan i starszego nad niemi, któremu król ufał najwięcej. Zamiast więc iść do biskupa, musieli czekać, aby się dowiedzieć z czem oni przybywali.

Besior komornik królewski, zsiadłszy z konia przyszedł do kolan się skłonić Bolkowi.

Jak wszyscy prawie co Władysław otaczali, przekupionym był przez Sieciecha i służył mu wiernie. Człek był roztropny, chytry, przebiegły i ostrożny. — Wprowadzono go do pierwszój izby, a królewicz począł pytać z czem był posłany.

Dobył naprzód Besior pierścień królewski na znak żeby mu wiara była dana, a potem mówić począł:

— Król pan nasz ma pewną wiadomość, iż od granicy Czeskiej gotuje się napaść wielka, którą koniecznie nprzedeć potrzeba. Posyła więc miłości waszój, pulki swe na pomoc i rozkazuje natychmiast iść w lasy na rubieżę. Do boku miłości waszój, naznaczeni są co najdzielniejsi rycerze, Halka, Strzeżoń, Zabój, Żelazny.

Począł wyliczać wszystkich...

Magnus słuchał i bladł z gniewu. Zapytano czyby miał co jeszcze do oznajmienia — dodał, że jak tylko zjadą pułko-wódzcy, natychmiast z nimi na granicę spieszyć potrzeba. Oni zaś wiedzieć będą, gdzie i jak prowadzić mają królewicza.

Uradował się Bolko niezmiernie i omal nie uściskał Besiora, Magnus zmilezał, wziął go zaraz z sobą aby ugościć po podróży i nakarmić, a zdawszy na ręce ochmistrza, sam z oczekującym Bolkiem udał się do biskupa.

— Wyrażny cud jest Boży — zawołał Magnus wchodząc — łaska Opatrzności ocalić nas chciała i to królestwo.

Obrócił się do królewicza, który szedł po pasterskie błogosławieństwo.

— Posłuchajcie naprzód, miłościwy panie, z czém tu do nas przybył ojciec nasz przewielebny, a poznać jako Bóg wielki czuwa nad wami!

Biskup natychmiast począł patrząc na królewicza, który spoważniał.

— Przybyłem do was z przestrogą — rzekł. — Uknota jest zdrada wielka, króla słabego, niedomyślającego się jej, wmięszano w nią — Sieciech wojewoda wymyślił od Czech niebezpieczeństwo jakieś, postanowił na granicę wyprawę. Chce was miłościwy królewiczu wysłać na nią z temi, któ-

rzy są wyznaczeni, aby cię życia pozbawili — Strzegoń, Halka, Strzepa, Żelazny, nasadzeni są, aby odwiódłszy w lasy zgładzili cię.

Bolko pobladł raczej z gniewu niż obawy.

— Dzięki niech będą Bogu — zawolał, — iż zdradę odsłonił. My też sami teraz wiedząc o niej, myśleć o sobie mniemy — pułki wszystkie są Sieciechowe, dowódcy jego — potrafiemyż się im obronić? Magnusa Szlęzaków i mojej wiernej drużyny mało jest?

— Na grodzie się zamkniemy w ostatku — odparł Magnus, — otwarcie oni nie wystąpią. Dobrze jest w lesie mordować nocą, ale jawną zdradę popełnić, nie wiem czy się waży!

— Wojewoda, jeśli siły swe obliczył — zawolał Bolko -- i na to jest gotów — nie widzę innej rady, jak natychmiast śłać do Zbigniewa, niech w skok w pomoc nam przybywa ze swemi. Dzisiaj mnie, jutro jemu, moja sprawa, jego sprawą. Poczyna Sieciech odemnie, na nim skończy.

— Rozumna rada! — przemówił biskup, — jeżeli Zbigniew usłuchać zechce zawołania.

— Poprzysiągł mi sojusz i braterstwo — zawolał królewicz.

Magnus, do którego się zwrócono, milczał, ale nie przeczył.

— A! — odezwał się nagle Bolko — wierzę wszystkiemu co mówicie, cudownie się to sprawdza — lecz — Strzegoń! — Strzegoń, którego po-

mawiają o zdradę, Strzegoń aby być miał nasadzony na mnie, temu nie mogę dać wiary! nie—krzyknął — ślijcie po niego, panie wojewodo...

Biskup, sędziwy człek, widząc, że się tak gorączkowo brano do sprawy, począł wołać, jak jego wiekowi przystało.

— Nie kwapcie się! — na Boga! z rozmysłem! powoli!

Przestroga ta próżną była, Bolko gdy raz za zwierzem się zapędził lub wziął co do serca, żadna go siła powstrzymać nie mogła.

— Ślijcie po Strzegonia! zawołał błagająco — dlaczego z tém zwłóczyć mamy?

Posłano jednego z czeladzi.

Magnus tymczasem, strwożony także, natychmiast ludzi zaufanych pchnął, aby około bram wzmocniono strażę, oddziału żadnego wojska nie wpuszczano, choćby się jako królewskie oznajmywało, a dniem i nocą czuwano pilno.

Rozkazy te rzuciły postrach na gród cały, choć nie wiedziano, jaka ich była przyczyna.

Wkrótce inni posłańce wyprawieni zostali do władyków i ziemian, aby pospiesznie na gród przybywali. W jednej godzinie, spokojne przedtém miasto poruszyło się trwogą, której pobudki wymyślano najdziwaczniejsze, prawdziwój nie mogąc odgadnąć. — Mówiono o napadzie Czechów, o zdradzie jakiejś — o niemieckim najeździe.

Po zamku biegali ludzie, dosiadano koni, pę-

dzono stada z paszy, wolano, otrębywano, co było zalogi pędzono do wrót i na wały.

Strzegonia, jakby w ziemię wpadł, długo wyszukać nikt nie mógł. Szperano za nim po kątach, po ciemnych zakamarkach, aż ktoś przypadkiem znalazł w szopie na sianie, z głową pokrytą, jakby spał, choć jako żywo, oka nie zmrużył.

Zawołany, nie mógł odmówić — poszedł. W drodze idąc przez podwórcę, napotkał Besiora, do wiedział się od niego z czem przybył, i zmiarkował, że stanowcza nadebrała godzina.

Włókł się do królewicza jak na ścięcie. — Magnus, który nań czekał, poprowadził go do izby — przed biskupa i Bolka.

Na widok osiwiałego wojaka, królewicz, w którym wszystko wrzało, a słowa w sobie nigdy nie mógł strzymać ni ważyć — zawolał:

— Strzegoń! słuchaj! — Przyszły tu wieści straszne, ohydne, oskarżenie niegodziwe. Ciebie, starego mojego druha, ciebie z innemi obwiniają, żeś ty mnie chciał wydać na stracenie, żeś ty był z Halką, Strzepą i Zabojem wyznaczony na to. Nie wierzę! — mów!

Wszyscy oczy wien mieli wlepione. Strzegoń blady stał milcząc, ręką wodził po twarzy i brodzie, wzdychał, podnieść wzrokn nie śmiejąc.

— Strzegoń! mów! — powtórzył Bolko. Ze Strzegoniem działo się, co bywa czasem ze strzałą,

która na cięciwie nwieźnie i nie może wyrwać się długo, aż nagle struną popchnięta świsnęła i leci.

Milczał uparcie, milczał, potem głowę podniósł i krzyknął w głos:

— Tak! — prawda! — posłano mnie, abym królewicza prowadził na zasadzkę, ulitowałem się i sam życie dam, a tego nie uczynię — nie!

Nie! — nigdy!

Bolko zarumieniony, z radości na szyję mu się rzucił.

— Stary, poczeiwy druha! — niech ci Bóg płaci! — jam ci ufał!

Biskup począł też wychwalać uczynek chrześcijański, a Magnus, przystąpiwszy starego po ramieniu uderzył, wołając.

— Na cóż nam innych świadków i lepszego przekonania nad to zeznanie! Ten stanie za innych!

Przybity, znękany, zawstydzony stał Strzegoń wiodąc ciągle ręką drżącą po głowie siwój.

— Pulki inne Sieciechowe już tu ciągną! — Radź — co czynić?

— Bramy zamkniecie — odparł Strzegoń, niech za miastem oboznją.

— A wasi? — spytał Magnus.

— Ja i moi zostaniemy z wami — krótko odparł stary do kolan się kłaniając królewiczowi.

Moi sotnicy pewni, w ludziach można wybór zrobić...

Nasze namioty za miastem jak były, zostać mogą.

Widząc jak się tu rzeczy składały, biskup mógł już odjechać spokojnie, wstał więc błogosławiąc i wyprowadzany przez królewicza, Magnusa i wszystkich co na zamku się znaleźli, aż za wrota — odjechał do domu.

Zabrano się natychmiast do Zbigniewa posyłać, choć nie wszyscy i jemu ufali. Bolko, jak sam słowo rycerskie miał za święte, tak pewien był pomocy brata. Ważyła ona wiele, gdyż siłę tej zaufać było można, a na Krakowian, Sandomierzan i najlepsze pulki, długo będąc pod rozkazami wojewody, nikt rachować nie mógł. Owszem z pewnością wiadano, iż one pójdą gdzie on rozkaże, i uczynią co im podszepnie.

Szłazacy, którzy już byli do Bolka przystali, na wieść, iż mu zagrażało niebezpieczeństwo, wnet od następnego dnia poczynszy, z czem kto miał, małemi i większemi pocztami, poczęli się ściągać z okolicy do Wrocławia.

Na zamku ścisk był przez całe dnie jak na targowicy we święto, przybywali ludzie coraz nowi, a każdemu przyjeżdżającemu opowiadać musiano co się stało.

Oburzenie i lament na Sieciche powstał po-

wszechny. — Odgrażano się nań, śmierć mu zapowiadać.

Gdy Szlązacy w znacznej się liczbie zgromadzili, Magnus ich zwołał do tej samej izby, w której niegdy Zbigniewa im stawił. Stał przed niemi Bolko, którego gniew każda chwila pomnażała; rozdrażniony i pełen zapалу.

Na widok młodego pana, poczęto wołać i okrzykiwać, witając poklonami, rękami i czapkami.

Magnus przemówił naprzód nie wiele słowy. Wstał potem królewicz sam i odezwał się głosem wzruszonym.

— Zlitujcie się, ziemianie, niedoli mojej, przyjdźcie mi w pomoc i obronę, Sieciecha zdrada nie od dziś uknuta, grozi wybuchem. Jedną złotem przyjaciół, opłacał zbójców, godził na życie moje, chcąc osiąść panowanie. Dowodów dosyć jest na to, a i ten coś znaczy, że Wojsław, który mnie nie opuszczał nigdy, który czuwał nademną, chorym się stał, aby mi nie towarzyszyć, bo pewnie jako pokrewny Sieciecha, wiedział, że tu na życie moje godzą.

Zeczają ci, co nasadzeni byli, iż im zabić mnie zlecono.

Ledwie mówić dano królewiczowi, taką zgrozą przejęła wszystkich zdrada jawna wojewody — i ziemianie wołać poczęli:

— Nie damy wam nie uczynić! nie damy! Włos wam z głowy nie spadnie! Bezpiecznym je-

steś między nami. Sieciecha nie chcemy, ani jego panowania.

Pójdziemy z tobą, staniemy przy tobie!

Bolko widząc, że nie sam jest i mnogich ma przyjaciół, odzyskał całą swą odwagę i rycerskiego ducha.

Zaczęto się gwarno i głośno naradzać wykrzykując, otoczyli go ziemianie prosząc, aby był do brój myśli i na nich polegał...

Magnus powiedział, że wysłano do Zbigniewa o posilki, na które czekać było potrzeba, a gdyby nadeszły, wprost przeciw wojewodzie iść...

Wszyscy się godzili na to, że dłużej znosić panowania zdrajcy nad sobą, Bolko nie mógł, choćby on króla słabego miał za sobą.

Tak dzień zszedł na gwarnych naradach i oświadczeniach miłości dla młodego pana.

Tymczasem zamek zaczęto przysposabiać do obrony, gdyż nikt zaręczyć nie mógł, że Sieciechowe pułki oblegać go nie zechcą.

Namiestnik kazał coprędzej ściągać żywność i ludzi. Znaczniejsza część ziemian, którzy z pocztami przybyli, pozostała na zamku do domów nie powracając.

Na nich można było polegać.

Oczekiwano na Zbigniewa, gdy zamiast niego, w kilka dni popłoch się stał, oznajmiono o przybyciu Wojsława, ochmistrza królewicza, który z oddziałem swoim u bram się stawiał.

Przykazanie już było, aby nie wpuszczano nikogo. Dano znać Magnusowi.

Bolko, który od dzieciństwa do Wojsława był nawykł i ufał mu, choć go wiedział blizkim Sieciecha powinowatym — w zdradę jego wierzyć nie chciał. Byłby się wyrwał doń i pewnie go do miasta wprowadził, ale namiestnik ruszyć mu się nie dał i sam do wrót pojechał copędzaj.

Wojsławowy orszak nie był zbyt liczny. Na czele jego stał otyły ów wódz, który się wolno obracał, mówił powoli, chodził ociężale, ale bil się mężnie i krzepko. Widać było po nim, iż zamknięte wrota, na które zmuszony był patrzeć oczekując tak długo, już go uciążliwiły. Magnus nie otwartwszy nawet furty, wyszedł na wyżki nad bramę i ztamtąd go pozdrowił.

— Panie wojewodo? — zawołał Wojsław, co się to u was dzieje? Dlaczego nie puszczają mnie do królewicza?

— Nie wiecie! — odparł Magnus kręcąc wąsa — czyż wam to jeszcze mówić potrzeba?

— Nie wiem! — na Boga się klęę, że nie wiem! — odparł ochmistrz.

— Więc muszę powiedzieć — odezwał się Magnus, — Sieciechowym jesteście powinowatym, a Sieciech zdrajcą jest. Wpuścić was nie możemy.

Wojsław głowę podniósł i usta rozwarł szeroko:

— Sieciechów krewny jestem, — rzekł — ałeni

nie zdrajca! o żadnej zdradzie nie wiem! królewicz jest moim wychowaneem, tak miłym mi jak i wam! czyście poszaleli?

— Nie, owszem rozumuśmy nabyli — odparł Magnus. — Ruszajcie do swój krwi, do swoich, my was tu mieć nie chcemy.

Wojśław słuchał, a jako człek powolny, choć się tam w nim niewiadomo co działo, stał na pozór zimny, hamując się. Po chwili znowu głowę podniósł.

— Klnę się wam, że zdrady w sercu nie mam — rzekł — o niczem nie wiem. Sieciecha dawno nie widziałem. Chcecie li — niewinność moją, jak obyczaj chce, ze szczęcią świadkami uroczyste po-przysięgnę w kościele! zdrajcą nikomu nie byłem, a zadanego mi nie daruję!

Magnus głową potrząsał.

— Kum wasz, krew wasza Sieciech, przysięgał królowi wiare i rodowi jego, a przecie na dziecko pańskie godzi, czego mamy dowody. Przysiężecie i wy i sześciu waszych, aby tylko na zamek wnijsć i ludzi nam przekupywać a warchołić. Nie będzie z tego nic, ani was, ni waszój przysięgi nie chcę. Jedźcie z Bogiem.

Na wały około wrót, dowiedziawszy się o Wojśławie, nagromadziło się ludu mnóstwo, poczęli tedy wołać z tłumu — precz! precz! od bram zdala... Ze zdrajcami precz!

Słyszac wrzawę tę i widzac, że drudzy się już do kusz i luków zabierają, jakby strzelać chcieli, Wojsław nie spiesząc, konia w milezeniu zawrócił i od bram odjechał, ale niedaleko w dolinie położył się obozem ze swemi.

II

Gdy posłany od Bolka, dniem i nocą goniąc, co koń zmógł, przybieżał do Gniezna rano, zastał właśnie królewicza Zbigniewa na modlitwie w kościele, bo życie się wiodło rozmaicie, ale o panu Bogu i świętych nie zapominano. Ex-kleryk tём bardziej do kościoła uczęszczał, iż z arcybiskupem Marcinem chciał być dobrze, potrzebując go i skarbiąc sobie łaskę jego.

Właśnie msza poranna arcybiskupia ku końcowi się miała, gdy Marko Sobiejucha przybiegł do kościoła, niosąc do ucha pańskiego owo poselstwo pilne. Staruszek O. Marcin zęgnął już krzyżem przytomnych, a rzuciwszy okiem na królewicza spostrzegł jak mu Marko coś w ucho szeptał, jak Zbigniew poruszony zachnął się w tył i natychmiast precz z kościoła chciał biec.

Kleryka, który do mszy mu służył wysłał arcybiskupa do Zbigniewa, aby odchodzącego wstrzymał i do zakrystyi go przywiódł. Miał jakieś przeczucie świątobliwy kapłan iż ważnego coś zająć musiało.

Zbigniew się zawrócił.

Ojciec Marcin zaledwie dokończywszy modlitwy, pośpieszył z pytaniem.

— Coś się stało?

Nie mógł zataić Zbigniew i oświadczył że brat pilno go wzywa w pomoc przeciw Sieciechowi.

— Stało się to co się zdawna gotowało! — rzekł wzdychając arcybiskup.

Spojrzał nań pytając królewicz.

— Nie zwłóczcie a w pomoc mu pospieszajcie, — dodał O. Marcin — nieprzyjaciół to wasz wspólny i królestwa waszego. Jedź, ciągnij, i niech Bóg błogosławi.

Zbigniew stał wahając się.

— Ojciec przewielebny — rzekł — mamli się przez to ojeu narazić? — Brat mi nie nazbyt sprzyja, po co mu pomagać? — sprawa nie moja...

— Sprawa twoja — rzekł żywiej arcybiskup, — wspólna wasza. Masz iść, póki czas. Inaczej na ciebie kolej przyjdzie i nie będzie cię bronić komu... Ludzi zbierz, a pospieszajcie! — Niech Bóg szczęści dobrą sprawie.

Staruszek podniósł rękę drżącą i pobłogosławił ją Zbigniewa, który stał ciągle.

— Ojciec wasz, biedny pobożny król nasz już sobą nie włada, już przed sobą nie widzi nic. nwołnicie go z więzów występując przeciw wojewodzie. Dawno czulem w nim zdrajcę.

Z temi słowy odszedł Zbigniew poruszony i obrachowujący co miał czynić. W dworcu już nań czekano. Greta stała we drzwiach wabiąc go ku sobie, Marko ścigał go i zabiegał, patrzali mu oboje w oczy, chcąc z nich wyczytać co myśli.

W progu Sobiejucha się odezwał:

— A! miłościwy panie nasz! — szczęście się wam śmieje! — Królewicz Bołko przyciśnięty pomocy żąda, szalonyby był ktoby mu ją dał. Gdy nieprzyjaciół tonie, głupi rękę wyciąga!

Królewicz popatrzał nań tylko, gdy Greta w sieniach już nań następowała. Niemka zmieniła się tu w dobrym bycie i próżnowaniu, królując i czyniąc co chciała po swą myśl. O piękność swą mniej była dbała, wiedząc że Zbigniewa zawsze przy sobie utrzymać potrafi. Roztyła się, postarzała, a choć świeciło jeszcze na twarzy trochę wdzięku, resztką młodości, więcej w nich było bezwstydu niż uroku. Poczynała sobie z królewiczem śmiało, bo inaczej brał górę i tylko zuchwalstwem wygrywała. Wbiegła za nim do izby i gdy siadł zmęczony, uderzyła go po ramieniu, wołając.

— A co! przyszła pora! — Nie ruszajcież się!

Niech giuie Bolko, wam przyjdzie całe królestwo! — niech giuie zuchwały dzieciak! — niech giuie!

Powtarzała nogą bijąc i rękami.

Zbigniew siedział pogrążony, jakby nie słyszał i nie słuchał.

Wkońcu go to coraz głośniejsze szczebiotanie znieczcierpliwilo, odwrócił się zmarszczony i rzekł ostro:

— E! ty sroko niemiecka! — a do kądzieli i do krosien! — Co ci do tego co ja mam poczynać!

Niemka oburzyła się, jak ukropem oblana skoczyła. oczy się jej rozszerzyły, udała śmiech, chcąc nim pokryć złość.

— Cóż? źle radzę! — krzyknęła, czy mi już mówić nie wolno?

W tém stojący na czatach Marko się przybliżył.

— Wasza miłość pewnie, sami wiecie najlepiej co czynić, nikt tu z nas rozumu takiego nie ma, aby śmiał radzić -- Toć to zresztą rzecz jak na dłoni jasna, że tego ratować co jutro wygnać może — byłoby szaleństwem. Bolkowi się panowania chciało nad miarę, niechaj giuie... Waszój miłości dostanie się całe królestwo...

Zbigniew był pogrążony, namowy te i kuszenia, obily się o niego nie poruszając wcale. Obrócił się do Sobiejuchy:

— Ludzi kazać zwołać ile ich jest! — do koni! żywo. Dwór, drużyna, pulki, kto żyw, niech się zbierają, w pochód przed wieczorem!

Słyszysz! — niech w rogi uderzą!

Marko stał uszom niedowierzając.

— Słyszysz! — powtórzył zapaleczywie królewicz. Słyszysz co mówilem! — zwoływać ludzi! w pochód!

Greta dawała znaki Markowi, aby ją z nim samą zostawił, Sobiejucha nie ustępował.

Po chwili rzekł pokornie:

— Ja uszom nie wierzę, — wasza miłość nie możecie tam iść, — po co my tam? Nie będzie czasu zebrać pulków wszystkich, a z tą garścią, która tu jest, co pomożemy! — Czekać aż się wszyscy ściagną, będzie zapóźno.

Królewicz się namarszczył.

— Tyś tu księciem i wodzem czy ja? — wybuchnął idąc ku niemu groźnie.

Ułękł się Sobiejucha, ale stał, gdy śmiała dziewczyna za poję sukni pochwyciwszy Zbigniewa pociągnęła go mruczącego jeszcze do drugiej izby, tu dlań stół był zastawiony, bo przede mszą nie jadł królewicz.

Posadziła go za stół, polewkę mu z wina podsunęła, mięso z misą odkryła, chleb poczęła krajać. Zbigniew siadł milczący, lecz do jedzenia mało okazywał ochoty, patrzył oczyma osłupiałemi na stół i niernie dumął. Greta niespo-

kojnemi oczyma go ścigala, udawala łagodną, zmuszala się do uśmiechu.

— Jedzcie no, jedzcie! — poczęła, — człowiek póki głodny, nie ma do niczego siły, potem pomyślicie! Czas na to jest. Jedzcie i pijcie, na zdrowie wam. Dobrze wam u siebie w domu, spokojnie, jest dla wszystkich dostatek — a tu wywołują i ciągną na biedę! — Cudzej sprawy bronić!

Rada była wywołać słowo, Zbigniew uparcie milczał — rzucił potem nóż, który już był wziął w rękę, z siedzenia się zerwał i poszedł ku oknu.

Właśnie podworem szedł jeden z sotników, tak spokojnym krokiem powolnym jakby się nie nie stało na świecie. Zobaczywszy go książę krzyknął:

— Psu braty! — Co jedziesz na żółwiu! — a za ci niewiadomo rozkazanie! — Wszysey ludzie do koni, kto żyw! — Ruszaj, biegnij, wołaj! W rogi niech trąbią, aby konie z paszy wracały. Idź. Sotnik stał zdumiony.

— Na koń siadaj, leć na podzamecze, do obozu, po szopach! — ludzie na koń!.. — A nu!

Powtórzony rozkaz usłyszawszy, sotnik się zerwał i kopnął co prędzej ku szopom. W tém we drzwi wszedł Marko czerwony z gniewu.

— Miłościwy królewiczu! — zawołał, do nóg waszych się kładnę! — nie czyńcie tego! — nie godzi się wam iść! Sami przeciwko sobie idziecie? — To nie może być!

Greta milczała.

Zbigniew, który złym będąc aż do wściekłości szalał, kłaniającego się nogą potracił.

— Idź na wskrós ziemi! — trutniu! — krzyknął co ty mnie, mnie będziesz niezły rozumu!

Sobiejuha, choć spodłony, tą zniewagą uczynioną przy niewieście uczuł się dotknięty.

— Jam przecież nie człek niewolny, aby mnie nogami kopano! — zawołał.

— Sługa mój jesteś! w największym gniewie wrzasnął Zbigniew — do ciemnicy z nim!!

Zbladła Greta stała ręce złożywszy, Marko jak zdrewniały nie poznawał pana — milczał.

Po chwili gdy się jakając chciał coś odezwać, Zbigniew milczeć mu nakazał.

— Precz mi z oczów! — Hurki wołać — rzekł miotając się.

Hurko był oprawcą i stróżem przy ciemnicy.

Na hałas w izbie poczęli się zbiegać komornicy. Zbigniew im wskazał Marka.

— Do kuny go wsadzić! — do ciemnicy, do kłody — wołał książę — Hurko do mnie!

Nim Marko miał czas słowo przemówić, komornicy, którym był dojadł, pana widząc rozgniewanego, pochwycili go, i opierającego się, na rękach niemał precz wynieśli.

W miejsce Sobiejuchy zawołany tysiącnik, człek prosty a posłuszny ślepo, który służył tylko aby żyć i zarabiać wojną na łupach a czasu

pokoju na ludziach, których wodził — dostał rozkaz zbierać co żyło i w gotowości być przed wieczorem.

Dopiero rozporządziwszy tak Zbigniew spojrzał na stół, na kubek i misy i siadł do śniadania. Greta, widząc go tak zapalonym, odzywać się nie śmiała. Wiedziała że burzę trzeba przeczekać i zająć z inną stronę. Podsunęła mu dzbanek z winem, nałala kubek... Królewicz począł gwałtownie spiesząc jadło chwytając i szybko popijać. Pilno mu było. Greta czekała i patrzyła na pozór spokojna.

Dopiero gdy mu się lice zarumienilo od napoju, odezwała się płaczliwie.

— A! a! trzeba mi pana z którym tak dobrze było — tracić!! Kto wie co będzie z tej wyprawy! Drzę myśląc. Ludzi mało macie. Posłaniec mówił że przeciwko wojewodzie was wolają, a Siecicich ma tysiące! — O mój Boże miły! byle mi pana mojego nie zabili, nie ranili. Co ja pocznę, nieszczęśliwa sierota! — co ja pocznę!

Zasloniła twarz chustą i fartuchem, bo płakać jej było potrzeba.

Spojrzał Zbigniew, który miał już czas poznać ją lepiej i ramionami strząsał pogardliwie.

— Ej ty! — zawolał — nie myśl że mnie odurzysz albo nastraszysz! — Idź lepiej, suknie i odzież gotuj dla mnie, pilnuj niech sakwy wiążą!

Greta ciągle płacząca, zbliżyła się z twarzą na pół zakrytą.

— A! wam — przebaknęła, — wam się zdaje, że na Sieciecha iść, choćby we dwu na jednego, mało znaczy! Wojewodzie wy nie uczynicie nic! Z nim wam albo razem iść, albo od niego ginąć. On tu pan.

— A tego właśnie ja nie chcę żeby on tu był panem! — zawołał Zbigniew.

Greta nieśmiało rączkę mu położyła na ramieniu, poczynając go głaskać i podpieszczać.

— Po cóż wam samym iść! — szepnęła, poślijcie z lichem, gdy chcecie, Król się na was rozsierdzi, Sieciech mścić się będzie.

Milezał Zbigniew i te niewieście fortele nie pomagały.

Na podwórcach tętnieć zaczynało. Odzywały się rogi, nawoływali się ludzie, pędzono konie z bliższych łąk, biegli żołnierze znosząc broje i wlokąc oszczepy. Dowódcy krzyczeli, ruch coraz większy się zrywał. Greta nie wiedziała już co dalej poczynąć.

— Wy Bolkowi wierzycie — rzekła w końcu. Któż to wiedzieć może czy to nie zasadzka, nie zdrada? — Może na was zastawione sidła?

— Magnus jest z nim, — nie może to być — odparł Zbigniew.

— O! Magnus, — gniewnie poczęła niemka — taki dobry jak Bolko, jak oni wszyscy. Wy so-

bie sami kamień do szyi przywiązujecie! — Mówiła długo jeszcze, ale książę zdawał się jej nie słuchać.

Zjadłszy, wyjrzał oknem na komorników — zawolał i wyszedł z izby, zostawiając ją zaperzoną, nieprzytomną prawie z bezsilnego gniewu. Za wychodzącym podniosła dwie pięści zaciśnięte, zakreśliła się i do swój izby pobiegła.

Nie było już sposobu powstrzymać go. Marko siedział w ciemnicy, Gretę przepędzono, w podwórcach ludzie się gromadzili, nowe oddziały z okolicznych gródków przybywały, ale w tak prędkim czasie nad kilkaset głów zebrać nie było podobna.

Najgorzej na swej wierności Siciechowi wyszedł Sobiejucha, któremu pozostać zamkniętemu na cały czas niebytności pańskiej, nie korzystać z wyprawy, stracić zaskarbioną łaskę tak niespodzianie, było klęską straszną.

Jednego ze stróżów wysłał do Zbigniewa, prosząc pokornie o uwolnienie, ofiarując się iść gdzie mu każą, — a książę rozśmiał się złośliwie i przykazał tylko z ciemnicy do izby przeprowadzić, a w niej go trzymać do powrotu o chlebie i wodzie, aby się pana szanować nauczył. Nie pomogły ponawiane błagania i prośby innych sług, królewicz śmiał się szydersko, czyniło mu to rozrywkę, że mógł nieco niezuchwalonego poskromić.

Przy pożegnaniu Greta się za nim także wstawić próbowała, Zbigniew się jej w oczy popatrzył i rzekł przez zęby.

— Młodszego sobie znajdziesz!

Tem ją do milezenia zmusił.

Ku wieczorowi pan, dwór i oddziały były w gotowości, drużyna przybrana cndaeko, Zbigniew pierwszy raz występujący rycersko i z wielką ochotą. Nie omieszkiał nakazać aby wyciągając z zamku w rogę dęto i śpiewano.

Szedł królewicz nie kryjąc się z tem, że wyprawa była mu po myśli. Obalenie wojewody Siciecha, znaczyło dlań wiele, nie obawiał się nikogo prócz niego. Znał jego rozum, przewagę nad królem, siłę w kraju; wołał ażeby mu pozostał młody Bolko, którego się chytrą i podstępem pozbyć spodziewał. Dlatego chętnie nśluchał areybiskupa, nie dał się powstrzymać nikomu i wyjechawszy z Gniezna, kazał iść na wprost lasami, dopóki by konie spoczynku nie potrzebowały.

Przewodnicy spędzeni z osad, wiedli na Wrocław z największym pośpiechem.

Tu przygotowania wojenne nie ustawały; Szlązacy, część Krakowian Siciechowi i rodowi jego przeciwnych, ściągali się zbrojni do zamku. Ludzi zbierano zkaąd tylko wziąć ich było można—pulki Strzegonia, zmieniwszy starszyznę w części przeciągnięto dla królewicza, Magnus czynny słał

na wszystkie strony, pomagał biskup, a z nim i duchowieństwo całe, bez którego niebył się uczynić nie dało. Gród starano się na wszelki wypadek umocnić.

Wysłani szpiegowie na granicę, potwierdzili to, że u Czechów nikt się nie myślał nawet [na Polskę sposobić.

Gdy Zbigniew po przyspieszonym pochodzie stanął pod zamkiem z ludźmi swemi, Magnus i Bolko gotowi byli nie tylko się bronić w miejscu, ale wyruszyć przeciwko Siciechowi, nie czekając na niego.

Dochodziły wieści z Plocka, że wielki wojewoda rąk też nie opuszczał i zabrawszy chorego króla, pościągawszy wojsko ile go mógł znaleźć, szedł już na spotkanie królewiczów, bo mu oznajmiono że i Zbigniew pojechał się z Bolkiem połączyć.

Nie było czasu do stracenia, Magnus oblężenia w mieście rad był uniknąć.

Dwaj bracia powitali się w bramie, jakby najczulsza miłość ich łączyła.

Ze strony Bolka uczucie było szczere, wdzięcznym się czuł bratu za to, że w pomoc mu przybywał. Rzucił się na szyję Zbigniewowi i ująwszy się za ręce, przeprowadzani przez tłum Służaków, wśród okrzyków szli na zamek.

Znowu w tej wielkiej izbie, pamiętnej Zbigniewowi, po pierwszém wyjściu z klasztoru, po-

wtórzyła się tłumna i wrzawliwa narada z panami Wrocławian i Szlązakami, ze starszą woj-skową, ze wszystkimi co przeciw Sieciechowi iść się gotowali.

Bolko dał głos starszemu, który łatwiejszą i obfitszą miał wymowę, a umiał to okazać że nie przeciwko ojcu oręż podnosili, lecz w obro-nie króla, na wspólnego wroga.

Okrzyknęli wszyscy:

— Idźcie! my z wami! — dosyć panowania wielkiego wojewody! — precz ze zdrajcą!

Wprost z izby, Zbigniewa zdawszy na ręce Magnusa, Bolko pośpieszył do swoich oddziałów do drużyny, sposobiąc się ze zwykłą gorącością na tą wyprawę, w której widział tylko upragnio-ną wojnę.

Pomimo że wszystko zdawało się gotowem, z największym przysposabiając się pośpiechem, Bolko nim Zbigniewa doczekał, nim zebrał ludzi, tygodnie upłynęły. Chociaż nie szybko naówczas przez wielkie obszary puste i lasy wieści prze-chodziły po kraju, po chatach, osadach, miastach, wszędzie już wiedziano o tem, iż synowie oba z wojskami się przeciwko ojcu przysposabiali.

Przyjaciele Sieciecha obwoływali — dzieci się podniosły przeciwko rodzicowi własnemu.

Nieprzyjaźni wojewodzie głosili że chciał syna królewskiego zgubić i zabójców nań nasadził.

Brali jedni stronę Sieciecha, drudzy królew-

czów. Duchowieństwo różnie było usposobione, ale znaczniejsza część otwarcie lub tajemnie szła za areybiskupem, przeciwko wojewodzie.

Dnia jednego wreszcie, gdy już coraz bliżej o nadciągającym Siciechu słyhać było, pułki połączone Bolka i Zbigniewa ruszyły z Wrocławia, przy wielkiem zbiegowisku ludu, z Magnusem razem ku Żarnowcowi, dokąd i królewskie siły zmierzać miały.

Gdy już wyciągać przyszło a miasto opuszczać, Bolko pobożniejszy, z konia przed kościołem zsiadł aby od kapłana wziąć błogosławieństwo. Zbigniew jechał tak obojętny jakby na wilki się wybrał lub na dzikich Pomorców — w duszy młodszego dziecka, kochającego ojca, rodził się niepokój, azali nie było ciężkim grzechem, z orężem występować przeciwko niemu.

W ostatniej godzinie myśl ta gryzła go mocno. Gdy Ojciec Tyburey wyszedł na próg ze święconą wodą i krzyżem, aby im pobłogosławić, Bolko przypadł doń tak poruszony, że staremu łza się zakręciła w oku.

— Ojeze! — odczuwał się — błogosławić, ale proście Boga aby się ta wojna nieszczęsna bez krwi rozlewu skończyła. Ojca naszego, króla ujął zdrajca i przeciwko nam prowadzi! Idziemy, zmuszeni jesteśmy iść przeciw rodzicowi własnemu.

— Starcowi leż, sobie zgryzot oszczędźcie — odezwał się O. Tyburey. — Jeżeli zgoda możliwa, jednajecie się.

Niech Bóg prowadzi i błogosławi a da pokój i zgodę między pany chrześcijańskimi.

Z temi wyrazy pocieszającemi Bolko siadł na koń, wojska już przodem wyciągały milczące. Zbigniew jechał wesół, szyderski, choć dokola miał zasepione czoła i ludzi niespokojnych a frasobliwych.

Z jednćj strony dzieci, z drugićj król, Ojciec, z obu wojsko jednćj ziemi. bracia i powinowaci. Każdemu na myśli było, iż własną krew przelewać będzie. Przeklinano człowieka, który ten rozdział uczynił i nieszczęścia był przyczyną.

Im dalćj wojska się posuwały ku Żarnowcowi, tćm w Bolku rósł niepokój. Z drogi już chciał przodem do króla ślać, ale nikt się na to poselstwo nie ofiarował. Znane w wielu razach Siciecha okrucieństwo odstraszało, przewrotność jego o skutku wątpić kazala.

Już byli o półtora dnia drogi od Wrocławia, gdy nie znajdując nikogo coby do króla chciał jechać, Bolko, z Magnusem się naradziwszy, wyprawil do Wrocławia nazad, aby O. Tyburego uproszono i przywieziono go. A że drogi po długich deszczach rozkisle były, zatrzymano się spocząć i obozowano, póki by staruszek nie przybył.

Duchownemu przystawalo najlepiej być pośrednikiem do układów.

Zbigniew nie wiedział o niczem, gdyż zgody żadnej nie pragnął. Powtarzał ciągle jedno, że Siciecha precz wygnać trzeba, albo mu głowę wziąć, iż śmiał stawać między ojcem a dziećmi.

Wielu zapalczywych mu wtórowało, o królu zresztą, jakby go na świecie nie było, nikt nie myślał, wiedziano, że narzędziem stał się posłusznym.

Drugiego dnia wezwany staruszek przybył do obozu, Magnus go niemal po niewoli zabrać polecił, jechał więc mniżej wesół, niż zwykle...

Dopiero gdy go z konia zszadzano, Zbigniew zobaczył księdza i pytał:

— Coż to tu ten stary klecha ma robić i po co on nam potrzebny!

— Potrzebny jest, — rzekł Bolko, aby się swoja krew nie lala. Poślemy go do króla ojca, niech Siciecha od siebie odeгна precz, a wojny nie będzie.

Zbigniew pomyślał i zamruczał szydersko:

— Król tego nie uczyni, bez swojego kochanka się nie obejdzie. Wojna musi być, na gardło mu nasiąść trzeba, inaczéj spokoju nie będziemy mieć nigdy.

Nie chciał się z nim sprzeczać, ani Magnus, ni brat, swoje czynili.

Wysłani za językiem donieśli tego dnia, że

król i wojsko Sieciechowe pod Żarnowiec się już ścigało.

— Pójdziemy i my ku nim — rzekł Zbigniew.

— A jeżeli pójdziemy my — odparł Bolko, — niech Ojciec Tyburey jedzie ze słowem pokoju, niech powie, że nie na ojca ani na króla godzimy, ale na zdrajcę, który pokój maćci i gubić nas chce.

Niech Sieciecha oddali.

Nie sprzeciwiał się Zbigniew, ale na stronie wysydział te próby.

— Próbujcie — mówił, — ja nie przystanę na nie, dopóki wojewoda na tej ziemi choć jedną stopą stać będzie.

Z małym, skronnym orszakim, danym mu dla bezpieczeństwa, wyjechał Ojciec Tyburey przodem ku Żarnowcowi. Obóz też ruszywszy się po spoczynku, wolniejszym pochodem za nim się posuwał.

Choć lud to był rycerski, ochotny do boju, posłuszny, widzieli wszyscy że ociągając się i nie sporo szedł na tę wojnę. Począwszy od Bolka do ostatniego z ciurów, nikomu ona miłą nie była, a wielu straszną się wydawała i bezbożną. Każdy to w pamięci miał, że gdyby przyszło do walki stanąłby przeciw druhom, z którymi nieraz pił, jadł i legał po obozach, — myślał każdy, że ręka mu zadrży i opadnie, gdy ją na jednego ze swoich podniesie. Ani śpiewów, ani

okrzyków, ani rażnego ducha nie było — pośpiesznie się wlokło wojsko, wzdychali ludzie, wielu przeklinało.

Można było przewidywać że wielu rzuci oszczerpy, gdy je przyjdzie broczyć we krwi własnej, jednego Sieciecha, gdyby się im w ręce dostał, niktby pewnie nie żywił i nie miał nad nim litości.

Rachowano, że ojciec Tyburey powróci nim do Żarnowca dociągną. Tak się też stało. Drugiego dnia ujrzeli zmęczonego i obmokłego starszka, którego obok na koniu jadący pacholik podtrzymywać musiał, a inny mu konia za uzelę prowadził, bo nim sam O. Tyburey nie mógł kierować. Zaledwie się pokazał zdala, poskoczyli ku niemu Bolko, Zbigniew i Magnus. Zdjęto go z konia i posadzono pod drzewem aby odpoczął; obstała starszyna.

— Cóż król? — co Sieciech? — Jak poselstwo przyjęto? — zarzucono pytaniami.

— Król? — król płacze, — odpowiedział starszerek, — nie mówi nic, ręce lamie — Sieciech za nim stoi, Sieciech za niego odpowiada, Sieciech tam jeden jest, reszta nie waży nic.

Sprawilem poselstwo. Król sam nierychło mi dał podyktowaną sobie odpowiedź, że oszczerstwo żywe jest co o wojewody zdradzie i przeniewierstwie ludzie głoszą, że bez niego on żyć ani być

nie może, nie chce, że go nie porzuci, ani się go wyrzeczy.

Usłyszawszy tą odpowiedź zamilkli wszyscy. Nie było więc ratunku, wojna się stawała nieuniknioną. Załamywali ręce pociechu wodze i żołnierze. Ociagać się nie było już powodu, Magnus dodawał serca.

— Cofać się nam zapóźno — rzekł — trzeba ginąć lub na swém postawić. Sieciech nam nie przebaczy nigdy.

Dano hasło do ciągnięcia, wojska ruszyły znowu takim pochodem żałobnym jak szły wprzód. Już i Pilica była blisko, a gdy z lasów pierwsze się oddziały wysunęły, a zamek okazał nad wielkim stawem usadowiony, wodami oblany, Bolko wskazał u brzegów rozłożone szeroko namioty białe, stada koni, ogniska i chorągwie powiewające nad niemi. Królewski obóz w niewielkiej znajdował się odległości, tak, że uciszywszy się, głosy i gwary od niego dochodzące posłyszeć było można.

Magnus w odległości takiej, aby się z sobą ludzie stykać nie mogli i zdrady nie knowali, wojsku pod lasem położyć się kazał. Stanęły dwa zastępy oko w oko przeciwko sobie.

Królewski obóz miał zamek, staw i groble, o które się opierał, królewicze jeno las poza sobą, z którego się wydobyli. W milczeniu poczęto się rozkładać na równinie, a namioty tak rozwi-

nięto, aby Sieciechowi zdać się mogło, iż wojsko liczniejsze było niż w istocie mieli.

Słońce zachodziło, gdy Szlązacy i Krakowianie położyli się i ogniska rozpalać zaczęto. W drodze wyraźne milczenie i smutek, tu się jeszcze stały bardziej uderzającemi; ludzie pociehu legli na ziemi spoczywać, jakby z niej wstać nie mieli.

Bolko nawet zapal wojenny utracił, Magnus siedział ponury, Zbigniew za wszystkich poruszał się, szydził i odgrażał.

Już się ku nocą brało, gdy spostrzeżono ludzi kilku od Żarnowca groblą jadących na koniach, którzy galeźni zielonemi wiewali nad sobą i w róg przed nimi trąbiono.

Magnus i Bolko, którzy konie zawsze mieli gotowe, skoczyli na nie i wybiegli przeciwko poselstwu temu. Na kilkadziesiąt kroków przybliżywszy się, poznali O. Lamberta z kilką komornikami królewskimi, jadącego ku nim powoli. Stanęli na łące, a Bolko z konia zsiadł, aby księdza pozdrowić.

Kapelan królewski z twarzą jechał tak bolesną i zachmurzoną, iż zrazu słowa dobyć z niego nie było można. Poselstwo mu to ciężyło, rozwarł ręce szeroko i zawołał.

— Upamiętajcie się! Co czynicie! Azali dzieciom przeciwko ojcu iść się godzi.

Nie dając Bolkowi słowa odpowiedzieć, Magnus wojewoda podchwycił śpiesznie.

— Nie przeciwko królowi, ani przeciw ojcu idziemy, ale przeciw Sieciechowi! Nie złożym oręża aż pójdzie przez ten, który królewską władzę sobie przywłaszczył i na życie królewskich dzieci godził.

— Oszezerstwo jest! — zawołał z oburzeniem O. Lambert.

Magnus wnet zwrócił się powołując ku sobie opodał stojącego Strzegonia, którego zobaczył szczęściem w chwili, gdy mu był najpotrzebniejszy.

Rozmowa się przerwała, aż stary nadbiegł konno i na zawołanie się stawił.

— Mów — odczuwał się Magnus — świadeż o prawdzie. Nie nakazano ci, nie zapłacono ciębie i innych, abyście królewicza na zasadzkę prowadzili.

— Tak jest — począł stary w piersi się bijąc — tak jest, Boże mi dopomóż, gotówcem to poprzysiądz w kościele. Oprócz mnie niech wezwani zostaną do przysięgi i na sąd Boży Halka, Strzepa i Zabój Żelazny. Nie chcę gubić duszy, prawdę powiem, choćbym cierpieć za nią miał!

O! Lambert spójrzał przerażony, spuścił głowę i zaniłkł.

Zbliżył się ku niemu Bołko.

— Ojciec mój — rzekł — znacie mnie zdawna, że ojca miłuję a życie zań dać byłbym gotowy. Nie przeciwko ojcu idę, ale dla wyzwole-

nia go z rąk złego człowieka. Sieciecha niech odeгна precz, z nim zgody nie ma! Zdrajcą jest!

O. Lambert długo wyrazu nie mógł znaleźć na odpowiedź, aż się cicho odezwał:

— Stójcież obozem jak stoicie, nie ruszajcie się, niech się krew nie leje na próżno. Jadę do króla...

— Cóż to pomoże? — przerwał Magnus. — Sieciech ze swych szpon na chwilę go nie wypuszcza. Nie uczynicie nic!

— Mnie to zostawcie — rzekł Lambert — nie podnoście oręża, póki jest najmniejsza nadzieja. Kto pierwszy krew przeleje bratobójstwa winien będzie.

— Stać więc mamy a czekać aż nas wojewoda otoczyć każe, wypatrzywszy miejsce i czas, naskoczy i wyrzeże? — zapytał gniewnie Magnus.

— Król tego nie dopuści — przerwał Lambert. — Czekajcie azali mnie i innym duchownym zgody się wymodlić nie nda.

— Weźcie z sobą O. Tyburcego — dodał Bolko — ten jest świadom wszystkiego i pomoże wam, a gdy się co stanie, wiadomość nam przyniesie.

Posłano po starego. Dwaj duchowni wkrótce razem się oddalili, do Żarnowca wracając.

W obozie czaty postawiono, surowo zakazując, aby u wodopoju w Pilicy, u stawu na łąkach, gdzieby się kolwiek przyszło spotkać z króle-

wskiem, nikt ani zaczepiać, ani wdawać z niemi się nie śmiał.

Magnus białe koły pozatykać kazał daleko, poza które przechodzić nikomu nie było wolno.

Z drągiej też strony nie kwapiono się do napaści, i tam panowała cisza. Noc padła na dwa obozy, w których tylko rozrzucone gdzieś ognie błyskały; noc, w czasie której ze starszyny nikt, oprócz Zbigniewa, niebardzo się troszczącego o wojnę, nie zasnął.

Bolko, Magnus, półkowodzcy, starszyna poprzypadała, ledwie helmy pozrzucawszy, na ziemię, aby każdej chwili gotową być ruszyć, jeżeli by ich w nocy napadnięto.

W zamku także świeciło przez noc całą, czaty chodziły z obu stron, okrzyki ich tylko słychać było, rżenie koni na pastwiskach i obozowych psów szczekanie, których każde wojsko, wiele za sobą prowadziło.

Długa jak wiek, czarna, posępna, smutna noc przeszła nareszcie, na brzask się zabierało, patrzano w stronę zamku, ani O. Tyburcy ani Lambert nie przybywali.

Rozwidniało, zarumienił się wschód, ukazało słońce, konie poić prowadzono i jadło warzyć dla ludzi, rozbudzili się wszyscy, a na grobli ciągle jeszcze pusto było i pusto — nikogo.

III.

Gdy się dzień wielki zrobił, Magnus wojsko objeżdżać począł, Bołko drużynę swą zbierał. Jawną zdawało się być rzeczą, iż się już zgoda nie sklei i gotować się trzeba było do walki. Starszyzna na łękę przed obóz wybieżawszy, stała przypatrując się królewskiemu, licząc ich, poznając pulki, które gdzie stały i czekała.

Ojciec Tyburey przynajmniej co chwila wrócić był powinien, a i on się nie pokazywał.

W miłczeniu ponastawiano kociołki, aby żołnierza podkarmić zawczasu, dzielono chleby; cisza i smutek, jak wczora, panowała w obozie.

Słońce się już było podniosło dobrze, gdy na haci przez moczary idącej, ujrzano jezdnych. Bołko poznawszy O. Tyburcego po czapce, siadł na koniu i ku niemu się puścił cwałem. Miał jeszcze

jakąś nadzieję, że król ulituje się i przelew krwi nie dopuści. Zdala zobaczywszy królewicza starsuszek ręce podniósł do góry i zdawał się dobrego coś zwiastować.

Na głos przybieżawszy, Bolko posłyszał wołanie.

— Sieciech z częścią wojsk uszedł na zamek swój do Sieciechowa, nie ma go! Król czeka na was! przebaczyć gotów wszystko!

Tuż i Magnus, choć ciężki, dopędzał Bolka, obawiając się, aby bez niego młody pan, jak zwykle, nie uniósł się zbytnią serdecznością.

Usłyszawszy co ksiądz zwiastował, krzyknął wojewoda zdala.

— Z wojewodą więc rozbrat na wieki?

— Jużci go nie ma! do dnia odciągnął z obozu! — rzekł Tyburey — oplakał go król. Co najrychlej spiescie się panu pokłonić!

Chociaż bardzo się było można obawiać zdrady, ręczyło słowo kapłańskie za prawdę. Bolkowi dosyć tego było, natychmiast po Zbigniewa słał i po panów szlążkich a starszyznę, żeby do niego przybywała.

Na wieść o oddaleniu Sieciecha radość wielka wybuchła w obozie całym. Wolać zaczęto i wykrzykiwać. — Nie ma wojewody! musiał iść precz!

Zbiegli się starsi rozpytywać jak i kiedy uszedł Sieciech, i jak się to stać mogło.

O. Tyburey opowiadał, że nocą widząc króla

zachwianego, obawiając się, aby przy zgodzie z dziećmi nie ujęto go, Sieciech sam się zażądał oddalić, ze swemi wiernemi puszczając się nagle ku Wiśle i Sieciechownu.

Nie byłby pewnie ustąpił, gdyby duchowieństwo nie stało przeciw niemu i nie starało się króla nakłonić do zgody.

Co rychlej poczęli się gromadzić starsi z wojska, których Magnus prowadził. Bolko odżył, śmiała mu się twarz rozradowana. Zbigniew, który wprzódki niemal wesół był, teraz pochlumniał i mruczał gniewnie, ale się cofać sam jeden nie mógł.

Siadła zaraz na koni starszyczyna, a na jej czele królewicze oba z Magnusem. Dzień piękny i jasny przyświecał szczęśliwej zgodzie.

Nie dojeżdżając do zamku, Bolko stanął i zawołał swojego Pruszynekę.

— Nie godzi się nam — zawołał — stawać przed ojcem z bronią, którąśmy przeciwko niemu podnieść byli zmuszeni, rozbrójmy się.

Zbigniew zakrzyknął z początku i słuchać o tem nie chciał, dopiero gdy młodszego zobaczył, przykład mu dającego z siebie, miecz odpiął i oddał słudze, przykazując go nieść za sobą.

Tak się mileżąc ku zaunkowi zbliżali. Ludu przy królu, oprócz dworu, nie pozostało wiele, znacniejszą część wojska i to najlepszego Sieciech uprowadził z sobą.

Na zameczku lichym dość i ledwie ogrodzonym, który tylko głębokie ze czterech stron przekopy bronily, cisza panowała straszna. Część dworu Władysława w podwórzu stojącą widać było. Zsiedli z koni królewicze, Magnus, starszyzna i pieszo się udali ku panu.

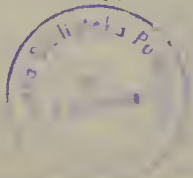
Do izby królewskiej synów naprzód samych puszczono.

Smutny widok oczy ich uderzył, gdy drzwi się otwarły przed nimi. Król chory leżał na lichem dosyć posłaniu na ziemi, blady, dysząc ciężko, zmieniony dziwnie, bo zwykle dobrotliwy i powolny, zdął się być gniewnym i z bólu prawie nieprzytomnym.

Drgnął usłyszawszy otwierające się drzwi, podniósł głowę i zobaczywszy synów, opuścił ją na posłanie zamykając powieki, jakby na nich patrzeć nie chciał. Twarz, którą Bolko znał tak dobrze uśmiechającą mu się zawsze z wyrazem czułości i dobroci, była jakby przestraszona i napiętnowana cierpieniem. Błede ręce wystające z pod kożucha, którym był okryty rzuciły się i drgały konwulsyjnie.

Bolek pierwszy przypadł do nóg ojcowskich, nie ujął go jak zawsze, nie uściśnął, zbył obojętnym milczeniem bezwładnym. Surowiej jeszcze popatrzał na Zbigniewa. Oba poczęli się korzyć przed ojcem, a starszy rzekł.

— Ojcie miłościwy, nie obwiniaj nas, żalu



nie mniej, mamy świadki jawne, które poprzysięgną, że zdrada knowana była. Sieciceli na królestwo twe godził, dlatego nam życie chciał odebrać.

Napróżno czekali odpowiedzi, potrząsnął tylko głową milcząc król.

Dopiero gdy przez okno zobaczył cisnących się panów szlacheckich i Krakowian, których Magnus z sobą prowadził, jakby się ich nłaki, belkotać coś począł. Ponieważ ci eo na króla czekali w ciasnej izbie pomieścićby się byli nie mogli, król skinął na komorników, aby mu rękę podali i z synami razem wystąpił do przedsienia. zgarbiony, z głową zwieszoną, jakby zawstydzony był i upokorzony.

Na widok tego schorzonego starca drżącego, wszyscy odkryli głowy, a Magnus się przybliżył ku niemu.

Rozpoczął mowę do króla. w której gdy zdrady, uciski, przekupstwa i tyranie wojewody opowiadał, otaczający przerywać, wołać, pokrzykiwać jeli ze wszech stron. Króla przeraziło to widocznie, pobałdl, powiódl oczyma i eo podniósł głowę, to ją spuszczać musiał, jakby przestraszony tem hukaniem i głosami.

Słowa z niego dobyć nie mógł nikt. Synom nie dawał przebaczenia, panom przyzwolenia na nic; oczyma osowiałemi wodził po zgromadzeniu, na wszystko przystając, nie pożądując nic. Za-

cięte usta, brew namarszczona, czoło sfaldowane okazywały, że dusza się jeszcze nie uspokoiła, że uległ sile, lecz przekonani swoich nie zmienił.

Napróżno Bolko i Magnus odzywali się doń kilkakrotnie, wywołując choćby słowo — milczał.

Bolko go całował po rękach, cofał mu dłoń i chował je przed nim, na zapytania nalegające, głową obojętnie potrząsał... Usta mu się poruszały czasem, głos z nich nie wychodził.

Wrzawa i mowa Magnusa nieprzerwana, trwająca w podwórzu czas dosyć długi, znużyły w końcu króla tak, iż się już ledwie na nogach mógł utrzymać, komornicy zaprowadzili go do łóża, albo raczej na rękach zanieśli.

Tymczasem oba wojska pod zamkiem się połączyły, starszyzna zeszła obradując co dalej czynić przystało.

Magnus pierwszy rzekł.

— Zdrajca pociągnął do Sieciechowa, tak twierdzą wszyscy, dopóki on na tej ziemi, pokoju w niej nie będzie. Ścigać go musimy i iść za nim, póki nie wyżeniem precz.

Zgodnie zaczęto wolać. — Do Sieciechowa! na Sieciechów!

Wolanie to tak było głośnie, iż się obito o uszy króla, przy którym był O. Lambert.

— Czego oni chcą? co to za krzyki? Sieciechów? co oni mówią? — odezwał się niespokojny.

— Na Sieciechów ciągnąć pono wybierają się, aby go oblegać — odparł kapelan.

Zadumał się król mocno, ale nie powiedział więcej nic. Był znów jakby bezmyślny i bezwładny. Sam pozostawszy albo sobie modlitwy czytać kazał, albo głowę zanurzywszy w dlonie siedział milezący, i łzy mu się toczyły po twarzy.

Bolko, którego tak kochał dawniej, uścisku u niego nie mógł wyprosić, spoglądał nań ukradkiem, ale dawne objawy czułości ojcowskiej nie powracały.

Tak samo jak wprzód rozkazywał mu Sieciech, teraz Magnus, synowie i starszyzna czyniła co chciała.

Cały ten dzień zszedł na przygotowaniach do wyprawy na Sieciechów, która postanowioną została. Oznajmiono królowi, iż nazajutrz rano ciągnąć potrzeba; nie sprzeciwił się, szepnął tylko O. Lambertowi, aby o świcie ze mszą był gotowy.

Do dnia połączone siły ruszyły naprzód z pod Żarnowca, króla wsadzono na konia, a dwór cały, O. Lambert, Magnus, synowie kolem go otoczyli. Dnia tego i następnych nie zmieniło się prawie w królu to milezenie i zanurzenie w sobie.

Dopiero gdy Wisła się ukazała, a za nią na przeciwnym brzegu mury Opactwa Sieciechowskiego i zamku, król drgnął żywić, poruszył się, otaczający go ujrżeli jakby promyk jaśniejszy na twarzy jego.

Od ludzi pochwycenych na pastwiskach dowiedziano się zawczasu, iż wojewoda z całą siłą swą do zamku swego się schronił, a wojska do obrony miał podostatkiem.

Bolko znów już czuł tylko i widział przed sobą to, co najwięcej mu było npodobaném — wojnę; dla walki zapomniał o wszystkiém, biegł po szeregach i pierwszy z drżyną swą, wyprzedzając innych, poskoczył ku brzegowi rzeki, która od zamku dzieliła, aby przeprawę i bród opatrzyć.

Zamek silnie był opasany wałami, tynami, przekopy, Wisła tuż pod nim płynęła szeroka i do przebycia niełatwa. Brodów, dawniej pozatykanych, teraz trzeba było szukać dla przeprawy, a czółen ani promni po tej stronie nie było. Poniżej i powyżej zameczyska musiano ludzi ślać, aby próbowali, gdzie najmniejsza była głębina.

Przeprawiwszy się wreszcie zamek niełatwo zdobyć było, oblegać go musiano. Wojewoda ostrożny we wszelki zapas opatrzył gniazdo swoje, które długo bronić się mogło. Na wałach wiadać było ludu mnogi, zbrojnych rycerzy, a między niemi i czarne suknie benedyktynów.

Nim coś postanowiono o przeprawie, obozem z tej strony Wisły położyć się musiano, obrawszy miejsce suche i nieco wznioślejsze dla rozbicia namiotów. Cieszyli się wszyscy, że król tego dnia gdy się go najsmutniejszym widzieć lękali, do

siebie przychodzić poczynął. Nie był już tak w sobie pogrążonym i milejącym.

Przodem wysłana czeladź królewska u samego niemal brzegu Wisły namioty pańskie rozbila. Nie zdało się to dobrem Magnsowi dla chłodu od rzeki i wilgoci, chciał je kazać cofnąć nieco na suchszy pagórek opodal, ale przybywający Władysław ręką dal znać, iż chce tu pozostać.

Przypisano to znużeniu i chęci przedszego spoczynku, a że poraz pierwszy niemal wolę jakąś objawił, poszanowano ją.

Mrok już padal, gdy się oddziały rozkładać poczęły, Bolko i Magnus, wyręczając w tém o nie się nietroszczącego Zbigniewa, posłali natychmiast ludzi brodów szukać, drzewo sposobić, tratwy zbijać, aby nazajutrz począć przez rzekę przeprawę.

Bolko późno już wśliznął się do ojcowskiego namiotu i uradował się wielce, znalazłszy go nie siedzącym i zadumanym, jak tych dni ciągle bywało, lecz przechadzającym się z twarzą rozjaśnioną. Zobaczywszy syna stanął król, drgnął i jak pochwycony na uczynku, spuściwszy oczy powłókł się na swe siedzenie.

Słowa już z niego dobyć nie było podobna. Widząc zaś, że Bolko zabiera się dłużej przy nim pozostać, po chwili król wskazał mu przez otwór namiotu niebo czarne, gdyż noc się stała ciemną bardzo i zamruczał.

— Noc, noc, dajcie mi spocząć! Potrzebuję odpoczynku.

Zimną rękę ojcowską ucałowawszy, cofnął się Bolko.

Namiot dla niego opodal trochę od królewskiego rozbito. Zbigniew ze swemi stał też w tej stro- nie. Ludzie pomęczeni wszyscy spiesznym pocho- dem, weześnie się na spoczynek zabierali.

Zrzucił Bolko zbroję i ciężką odzież, drżynę spać odprowił, sam też wesolo zabrał się na po- słanie oczekujące nań, nakazawszy Prnszynce, który u wnijscia sypiał, aby go zbudził jak na brzask, o świcie.

Cisza coraz większa objęła wkrótce obóz ca- ły; w Siecieelowie też światła gasnąć poczynaly na zamku; jedno tylko jakieś czerwone na górnej polaci, niby lampa u obrazu płonęło jasno.

Czarna noc, wilgotna, chmurna, o krok pra- wie nie widzieć nie dozwalała. Po zunżeniu twar- dym snem usnęli wszyscy.

Krzyk i wrzawa zbudziły Bolka nagle. Prn- szynka się porwał, schwycił królewicz, wprost biegnąc do zbroi i miecza, bo sądził, że Siecie- chowi żołnierze na czołnach się podkradli i na obóz napadają. W tém Magnus wpadł w opończy jednę, z głową nienakrytą, zdyszany.

— Król! — krzyknął — król!

Nie mógł wymówić więcej, zatamowanym, głuchym głosem powtarzał.

— Król!

Struchlał ze strachu Bolko, porwał się biedz, wstrzymał go Magnus.

— Króla nie ma! Król uszedł do Sieciechowa!!

Wiadomość ta była tak niespodziana i dziwna, że Bolko jęj wierzyć nie chciał, jak stał wybiegł ku królewskiemu namiotowi.

Widok był straszny, resztę ludzi królewskich, którzy pozostali, jęczących, klękających, wypraszających się, wiazano i bito.

Namiot dokola oblegala starszyzna wściekla z gniewu, obrywając z niego płótna, krzycząc i odgrazając się. Napróżno komornicy króla zaklinali się, iż o nieczcie nie wiedzieli, słuchać ich, wierzyć im nie chciało. Zbigniew chwyciwszy się pół nagi ze swego legowiska, latał gniewny, odgrazając się i jęcząc drugich jeszcze.

Cale wojsko biegło po konie, jakby nieprzyjacieli zagrażał, ludzie wdziawali zbroje, szykowano się, trąbiono, potracili głowy wszyscy.

W tém jeden z czeladzi króla, zagrożony mękami, bo go już na ogień brać chciało, pokłakiwszy opowiadać zaczął, jak się to stało.

Władysław już musiał mieć umowę jakąś przez tajemnego posłańca z Sieciechem uczynioną; gdy się wszyscy rozeszli, nie chciał dać z siebie sukni zdejmować, ludzi poodprawiał i trzech tylko zaufanych przy sobie zostawił. Pacholę, które spało u opłotków namiotu, widziało potem prze-

lękliwie, jak od zamku cicho podpłynęło czołmo i u brzegu stanęło. Król wysunął się z namiotu i samoczwart pośpieszył co prędzej ku łodzi, która z nim natychmiast odbiła. Chłopiec krzyknąć nie śmiał z obawy, aby go trzej ludzie przy królu będący nie zamordowali.

Zdrętwiał Bolko z żalu po biednym ojcu, inni na króla jako na zdrajcę eiskali pioruny. Niewypowiedziany zamęt w całym obozie, poruszył wszystkich. — Co poczynać! — Wojna zaledwie ukolysana i zażegnana groziła znówu.

Nim z tego krzyku, nieładu i przekleństwa przyszło do rady i rozmysłu, południe już na niebie było. Magnus najprzytomniejszy, zawczasu człeka pewnego i zręcznego przez rzekę posłał do Sieciechowa, aby dostał na podzamezu języka. Widziano, że co wczora tłumy stały na wałach zamkowych, dziś prawie tam pusto było. Kilku mnichów, niewiast kilka i z prosta odzianych ludzi pokazywało się kiedy niekiedy z poza ostrokolów.

Wojsko znikło.

W parę godzin dano znać, iż król i Sieciech z silami niezbyt wielkimi, jakie koło siebie mieli ruszyli, ciągnąc po nad Wisłą, jak się zdawało ku Płockowi.

Potwierdził to człek przybyły z językiem, który na podzamezu słyszał, że w Płocku bronić się zamierzano i trzymać.

Opadły ręce Bolkowi. Zbigniew przeklinał, obwiniając brata, Magnusa i wszystkich, że się królowi wymknąć dali.

Stary namiestnik wrocławski, choć ciężki i powolny na oko, jeden przytomności i odwagi nie stracił.

Na łące około pustego i na pół zburzonego namiotu króla zebrano radę. Ci co już pokoju się spodziewali rychłego i powrotu do domów, zachodzili się z gniewu na Sieciecha i na króla.

Gdy do rady przyszło, każdy ze starszyzny co innego mówił, a kończył na tém, że zbiegli zdrady są winni. Sieciech na śmierć zasłużył. Łajano więcćj niż obradowano, aż wojewoda milczenie nakazawszy, rzekł.

— Nie ma tu co poczynać, tylko tak kończyć jak się zawzięło zrazu. Wojna to wojna. Król nas zdradził, my się bronić musimy; niech królewicze dzielnice swe zajęczdżają i grody biorą w swą moc. Bolko krakowskie i sandomierskie, ja Wrocławia mu ustrzegę, książę Zbigniew niech spieszy na zamki swoje zajmować, aby Sieciechowi nie wpadły w ręce. Co zostanie nam ludzi, z tém wszyscy na Płock.

— Na Płock! — poczęli wolać za nim — do Płocka!

— Sieciech ma swoich ludzi wszędzie, grody trzeba ubiedz, bo je pobierze...

Sprzeciwili się jedni, drudzy potakiwali, jedni

chcieli zaraz z królewiczami ciągnąć do Płocka, drudzy grody zabierać. Magnus niemal za ramiona chwytając i siłą przemagając obalanneonych wrzawą i postrachem, potrafił ponaznaczać, gdzie któremu ruszać i co robić było trzeba.

— Na Plock! Do Płocka — grzmiało po obozie. — Na Siciecha!

Z tego poswamu ntrapionego Bolko późno się wyrwał do swoich. Stali dwunastu jego drużów przy namiocie tak posepmi, jak on, czekając rozkazów; królewicz, którego odeszła ochota i wesołość, zwłókl się milczący i siadł na pułku, jakby wszelką stracił nadzieję w tym zamęcie.

Patrzala nań drużyna smutna, aż się jej serce ścisnęło. Żal było królewicza. Naradzali się długo około namiotu, i wysłali dwu z między siebie, Pruszyne i Sambora, którzy weszli, stanęli naprzeciw Bolka i czekali aż ich zobaczą.

Spojrzał Bolko na ulubieńca.

— Miłościwy królewiczu — odezwał się Pruszyne — co wam jest? Jeszczeż ostatnia zgnuba na nas nie przyszła? Co tak biadacie?

— Ojca mi żal! — odparł królewicz. — Wojna mnie ta niepocziwa nie cieszy. Rycerska rzecz iść na zbójów, gdy nam granice szarpią, ale z sobą się borykać i nękać — psia sprawa. Na Boga milego aby temu raz koniec był.

— Stoją wszysej przy was! Idziemy na Plock, skończy się rychło! — dodał Sambor.

— Skończy się krwią i wojną ze swemi — krzyknął wstając Bolko. — Przeklęty niech będzie człek, co nam to nieszczęście sprowadził, a struł życie!

U wuijscia namiotu stał już chwilę Zbigniew i słuchał.

— Dalibyście pokój narzekaniu — odezwał się. — Oczyścimy z chwastu rolę, toć jawny zysk. Król, panie odpuść, sobą nie włada, stał się dzieckiem. Sieciech szubienicy wart, porządek uczynimy, niechaj się krew toczy, aby raz pozbyć się złego. Nie ma co stękać, tak lepiej, panami będziemy.

Spojrzał nań Bolko, stał Zbigniew tak obojętny jak zawsze i śmiał się krzywo.

— Hej! — mówił przedrzwiewając — stary nie-
dolega do kochanka swojego aż po nocy się wy-
kradł! Zapłaci nam za tę zdradę.

Zerwał się Bolko gniewny i przypadł do niego groźnie.

— Na króla mi ani słowa! Ojca szanuj! Słyszysz!

Zbigniew zamilkł przelekły, oczy mu tylko zapalały złością, znikł z przed namiotu.

Bolko dając Magnusowi i innym rozporządzać jak chcieli, nie mieszał się do niczego, z miłości dla ojca pozostał obojętnym i za wojewodą szedł posłuszny, gdzie wskazano.

Nazajutrz do dnia część sił ruszyła na krako-

wskie grody, reszta znaczniejsza posuwała się wślad za Sieciechem i królem, przeciwnym brzegiem Wisły.

Zbigniew też posłał rozkazy do Gniezna, Poznania i mazowieckich grodów, aby je na jego imię zajęto i obsadzono, lecz tu nadzieja była mała, Sieciech je wprzódę nbiędz zdążył.

Jesień sprzyjała dosyć wyprawie. Magnus dowodzący główną siłą, ciągnąc za sobą Bolka, który szedł z nim posłuszny ale beczwolny, pospieszał ku Płockowi. Krótkie noce dawano na spoczynek, stając późno na noclegi, budząc przed brzaskiem do pochodu. Obawiano się, by Sieciech znacznie ich wyprzedziwszy, nie wzmocił się zbyt na plockim zaniku i Mazurów więcéj nie ściągnął ku sobie.

Gdy pod Płock przywlokły się oddziały, wojsko tak było zmęczone pochodem, tyle go jeszcze z gorszymi koniami podbitych i bezsilnych zostało na tyłach, iż strach brał, aby Sieciech wyrozumiawszy słabość, nie napadł a nie rozproszył.

W Płocku nie myślano o tém jednak, tu także ludzi brakło na wojnę domową. Zbiegało wielu zniechęconych, szemrano; króla niewola i uległość zniechęcała starszyznę, równie jak rosnąca srogość i ucisk Sieciecha. Wojewoda ratował się jednym placąc, drugim grożąc.

Jesień jakby czekała na to tylko, gdy się wojska królewiczów pod Płock dostaną, slotną i zi-

mną być poczęła. Niebo się chmurami oblokło, wiatr wionął mroźny.

Magnus, który wszystkiem kierował, widząc jak się mnogo ludu na zamek zbierało, jak rozpaczliwa gotowała obrona — czuł, że zdobycie go łatwem nie będzie. Było to ostatnie wojewody schronienie; nie miał nic do stracenia już, tu giąć musiał lub pożyć nieprzyjaciela.

Dzień i noc obwarowywano gród, sypano wały, bito tyny, gotowano kłody, kamienie, pociski wszelkie dla odpierania oblegających.

Stojąc we drzwiach swojego namiotu Bolko na Płock spoglądał i w duszy mu było smutno, jakby znów dzicciem się stał. Snem wydawało mu się to życie terażniejsze, wojna z ojcem, obleganie gniazda, w którym się wychował, które kochał, bój z temi, do których się przywiązał i żał mu ich było. Dzwonek odzywający się na kościółku do łez go niemal poruszał; poznawał zdala ludzi, odgadywał co się tam działo, ojciec mu stawał przed oczyma z twarzą smutną, zalzawioną, z usty co go przeklinały może.

Wszystko do wojny odbierało ochotę i siłę. Siedział po całych dniach otoczony drużyną, na zameczysko patrzył i skarżył się na los swój oplakany.

Ledwie się też obóz rozkładać zaczynał, gdy drugiego dnia o mroku zjawił się chłopak co był przy dworze, a Bolkowi sokoly nosił. Zosta-

wiony w Plocku, gdy ujrzał namioty a poczuł w nich królewicza swego blisko, nie wytrzymał i uszedł do niego. Mulezyk na małym dziurawym czółenku, bez wiosła. kawalkiem polana robiąc, Wisłę przepłynął, aby się dostać do dawnego pana.

Gdy się zjawił obmokły a szczęśliwy i śmiejąc się padł do nóg Bolkowi, obstąpili go wszyscy wolając.

— Mulezyk! Tyś to? Zkąd? jak?

A Mulezyk za nogi królewicza ścisnął i śmiał się z wielkiego szczęścia mówić nie mogąc.

Chłopię było niepoczesne, brudne, i jakby do zwijania się w kłębek przywykłe tak przygarbione, ale roztropne i rozgarnione. Dowiedziawszy się o tym zbiegu, pościgali się zaraz i starsi, aby jakiego takiego języka dostać — co na zamku słyhać.

Mulezyk potroszę widział, słuchał potroszę, ale rozpowiadał po swojemu, słowa mu się w gębie urywały.

— Na zamku! a! na zamku — wołał ręce składając to do góry podnosząc — aj! strach wielki, bieda! Królowa gniewa się i laje, ludzi pędzą. Król płacze, a pan wojewoda się zbiesił, ludzi wnet gotów wieszać i ścinać, byle mu się kto przeciwil.

— Dużo ludzi ma? — pytał Magnus.

— A! a któż ich tam policzy! — odparł Muleczyk — kto ich policzy to mrowie!

— Więcej niż u nas? obejrzyjno się, pomędruj, jak ci się zda? — rzekł Magnus.

Chłopak, który obóz przebiegł, potrząsał głową.

— Kto to może wiedzieć? — rzekł — mnie się zdaje, że mniżej. Po zamkach dużo rozesłali, potroszę na każdy.

Ten i ów rzucał pytania jeszcze, Bolko badał o ojca. Muleczyk czasem starszych wyręczając u króla ogień podpałał, i podłogi posypywał kościami, mógł więc coś zobaczyć.

— Król pan nasz! ledwie żywy — rzekł chłopak. — Żal bierze patrząc na niego, to się modli, to płacze. Pana wojewodę ciągle trzyma przy sobie, ledwie odejdzie na chwilę, ślą za nim zaraz, aby go na krok nie odstępował. Gdy dali znać, że królewicze ciągną, poszedł do okna pan, o ściany się opierając, patrzył, drżał, zalewał się łzami, a Sieciech lajał i wyklinał. Królowa czasem przyjdzie, stanie i wola na jego miłość a krzyczy, aż stary sobie oczy zasłania i płacze jeszcze gorzej. O! bieda, wielka bieda na zamku!

Z opowiadań Muleczyka to najjaśniej się okazywało, iż na zamku zbyt przeważającą siłę nie miano, rozsypawszy ją dla utrzymania się przy grodach i należących do nich opolach.

Nabrano otnchy. Zamek miano nazajutrz zacząć osaczać dokoła, aby go choć nierychło,

bodaj głodem do poddania się przymusić. Spodziewano się z nim i Sieciecha wziąć, a na głowę jegostawiali wszyscy.

— Poki on żyw, u nas pokoju nie będzie — wolano — niech głowę da!

Deszcz lał przez noc całą, nadedniem dopiero rozjaśniać się zaczęło, ale rozkisle drogi, wezbrana rzeka nie dawała jeszcze nie przedsiębrać; posłano zbierać łodzie górą rzeki i dołem, promy pochowane łapać, tratwy zbijać, przeprawę sposobić. Brodu dla wielkiej wody znaleźć nie było można.

Z zamku widzieć też mogli jak się tu czynnie krzątano, bo Magnus z lasów drzewo ściagać kazał ogromne, aby do bicia ostrokołów i bram sposobić tarany i baby.

Łatwiej tu było dla wielu wynaleść co potrzebowano, bo okolica była lepiej im znajoma, niektórzy najnniejszą dróżynę, mieliznę, bród, starą hać i w lasach każdą ścieżkę wiedzieli. Zamku też słabe strony znali dobrze.

Zbliżało się nazajutrz południe, gdy na rzece duża łódź się pokazała. Pobiegli wszyscy ku brzegowi, gdzie i ludzi z kuszami zwołano, ale szła nie strzegąc się wprost na stojących i Bolko pierwszy poznał, iż biskup Filip w niej siedział. Tak było w istocie, jechał z ojcem Lambertem i kapelanem swoim ku obozowi i namiotom królewiczów.

W miejscu, gdzie przybić było najłatwiej, czekano na nich, Bolko na przedzie stał niecierpliwy. Biskup po obozie okiem ciekawem rzucał, twarz okazując spokojną. Podano mu rękę na ląd i królewicz przypadł z powitaniem.

— Ojcie mój — zawołał — zaprawdę, gdyśmy się żegnali, mógłże z nas kto spodzierać się że tak się jak dziś spotkamy, gdyby nieprzyjacie!!

Biskup Filip, niegdyś Sieciechowi dosyć powolny, teraz był przeszedł do jego przeciwników, za arcybiskupem.

— Wszystkiego się było można spodziewać — rzekł cicho — od ludzi co dla własnej korzyści krajem wiechrzyć gotowi. Byli tacy co to zapowiadali.

Przybywałem do was — dodał — z przestrogą, abyście nie poczynali zbyt spiesźnie. Nie godzi się przelać i kropli krwi, gdy ją można oszczędzić.

— A jak? — zapytał Magnus.

— Radzę wam, poślijcie do arcybiskupa Marcina do Gniezna, niechaj przybywa. Król w sumieniu swém niespokojny, powaga Pasterza wielka, posłucha go. Ojciec to naszego kościoła, stanę ja przy nim, duchowieństwo całe pójdzie za nami; potrafimy zapobiedz wojnie bezbożnej.

— Niech nam tylko zdrajcę wydadzą, wojny nie będzie! — odezwał się Magnus.

Starszyzna, która się już ściagnęła, obstała wojewodę i słuchała, poczęła zaraz za nim powstawać.

— Niechaj go nam wydadzą.

— Powiesić go! — wołali drudzy.

Biskup milczał zwiesiwszy głowę.

— Nie zemsty szukać trzeba — rzekł wreszcie — ale pokoju. Chrystus kazał przebaczać.

— Jemu gdy się dziś życie daruje, on jutro pocznie swoje! — wołano.

— Po co mu życie odbierać, dość siłę wziąć — rzekł biskup.

Bolko się nie odzywał. Zbigniew, który stał za nim, mrknął.

— Póki dysze taki zwierz niebezpieczny, przyczai się, ducha zaprze a potem ukąsi.

— Jeszcze go w rękę nie macie — odczuwał się biskup — a już się on targujecie. Niedźwiedź w lesie, nie sprzedawajecie skóry.

A obejrzawszy się wkoło po przytomnych dokończył.

— Po tom tu przybył, abyście arcybiskupa wezwali w pomoc. Królewicz Zbigniew jechać po niego może.

— Gniezno, mówią, Sieciechowi zajęli, ja tam nie mogę iść — odparł Zbigniew. — Słijcie wasza przewielebność od siebie.

— O zajęciu Gniezna nie wiem — rzekł biskup. — Nie poczynajcie wojny, ja do arcybi-

skupa sam wysłę jednego z duchownych. — I powtórzył. — Nie poczynajcie wojny.

— Z wojowaniem spieszyć nie będziemy — odpowiedział Magnus — ale osaczać musimy, bo się posiłki ściągać mogą.

Stali jeszcze chwilę u brzegu, aż wojewoda do namiotów na spoczynek prosić zaczął, i pociągnęła gromada cała za biskupem...

Tu gdy usiedli znowu się tażsama powtórzyła rozmowa i to samo upominanie. Królewicze, jak im przysłało na uboczu się trzymali. Magnus za nich i za wszystkich mówił, iż z Sieciechem skończyć chcą i gotowi na największe ofiary, byle się go pozbyli.

Zaledwie dotknął téj strony drażliwej, gdy za nim wkoło krzyżeć znowu zaczęli wszyscy niemal.

— Na sosnę z nim!

— Na pień z nim, pod topór...

— Niech ginie!

Ledwie się nierychło rozkolysane namiętności uspokoiły.

Mógł biskup poznać co w obozie myślano i czego żądano.

Nawzajem z tego co mówił O. Filip widać było, iż zamek plocki w żywność zaopatrzony był dostatnio, a król dla ocalenia ulubieńca do ostatka bronić się był gotowym. O wydaniu go po dobrej woli mowy nawet być nie mogło. Magnus zaś

i starszyzna o przebaczeniu i wypuszczeniu na wolność słuchać nie chcieli.

— Jak się to skończy, co Bóg da, jaka jego wola, ani wy, ani ja — rzekł biskup — nie zgadujcie. W mocy Najwyższego wszystko. To tylko pewna, że gdy wy tu wojujecie, a granice stoją otworem, Pomorcy już około Santoka się gromadzą i na zamek godzą. Wiedzą oni co się u nas dzieje i że dla nich pora sposobna.

Wstrząsnął się Bolko.

— Dajcie mi ludzi — wykrzyknął — niech tu sobie wojuje kto chce, mnie puście na rubież! Nie spodziewają się nas, uderzę i pobiję pogan!

Oczy mu się iskrzyły...

— Moje miejsce tam nie tu! — zawołał gorąco — ludzi mi dajcie.

Magnus się oparł.

— Ludzi nie mamy tylu, aby się niemi dzielić było można. Z zamku na osłabłych łada wybieczkę robią i wszystko przepadnie. Na Pomorców czas będzie, wtargnąli, pomścimy się srodze...

Bolkowi twarz się zachmurzyła, usiadł po swoich spoglądając. Sieciecha teraz więcej niż kiedy nienawidził jeszcze za to, iż Pomorcom dał wtargnąć i grozić granicom.

Zwolna gorące w początkach rozprawy, słowa kapłańskimi łagodzone przeszły w spokojniejsze utyskiwanie nad nieszczęściem ogólnem. Postanowiono natychmiast dwu duchownych do Gnie-

zna wyprawić błagając, aby stary Pasterz na pomoc przybywał.

Magnus, choć niechętnie przyrzekał ze swęj strony, iż boju nie rozpocznie i starcia unikać każe, byle go nie napastowano. Warował tylko, iż posilków żadnych na zamek nie wpuści.

Ojciec Lambert, który biskupowi towarzyszył, słuchał rozinów, ale się wcale do nich nie męszał. Trwały one do wieczera, poczem O. Filip przeprowadzany uroczyście do swęj łodzi, pobłogosławiwszy starszyznę i królewiczów, nazad do Płocka powrócił.

W Bolka wstąpiła nadzieja, iż do zgody przyjsię może, Zbigniew nie był od tego także, bo wojna mu nie smakowała, stał jednak uparcie z najzgorzalszemi domagając się Siciechowej zguby.

Magnus nie mówiąc, na następny dzień poniżej zamku przeprawę gotował tajemną, aby posilkom przeciąć drogi.

IV.

Dni kilka upłynęło, z jednéj strony sposobiono się ciągle do obrony, z drugiejj do oblegania i szturmu. Magnus się troszczył tylko o to, co uczyni, jeżeli się rokowania i zwłoki przedłużą, a mrozy i zima nadejdzie.

W obozie wojnę, na dworem biskupim duchowieństwo zgodę i nkłady gotowało. Wieść o tém, co zaszło i posły przcz O. Filipa rozesłane do Gniezna, Krakowa, Kruszwicy, zgromadziły znaczny zastęp pralatów do Płocka. Na czele ich stał nieprzyjazny Siciechowi arcybisknp Marcin, zastosowujący się doń Lambert krakowski i Paulin Ciołek kruszwicki. Pospiesznie podążyli na zawołanie wszysey, bo i sprawie kościoła zawihrzenie to szkodliwém było.

Na zamku królowa i wojewoda gotowi byli

bronić się do ostatka, ślać do obozu królewiczów, aby starszyznę przeciągać na swoją stronę, użyć wszelkich środków, by się przy władzy utrzymać. Spiskowano tu, nocami wyprawiano ludzi poprzez bieranych, czynność była gorączkowa, zapamiętałość coraz większa; tymczasem na dworcu biskupim zebrani duchowni zgorszeni, zatrwożeni, przez O. Marcina podbudzani mocno, postanowili nie dopuścić walki.

Przed ich potęgą korzyło się ostatecznie wszystko.

Arcybiskup Marcin załedwie zsiadłszy z konia, głośno zapowiedział, że między ojcem a dziećmi dla jednego ambitnego człowieka boju nie dozwoli, kościelną władzę zagrozi i powstrzyma go.

Gdy na zamku Siciech i królowa dowiedzieli się o przybyciu biskupów, wojewoda uląkł się i zwątpił o sobie, arcybiskupa obawiał się najbardziej.

Nie dając czasu O. Marcinowi do widzenia się z królem, wojewoda natychmiast z poczem pojechał sam na dworzec biskupi.

Właśnie na radę około arcypasterza gromadzili się duchowni, gdy ujrzano nadbiegającego wojewodę.

Zdaleka palcem nań wskazując, zmarszczony starzec zawołał:

— Ten ci to jest, przez którego zgorszenie i nieszczęście na nas przychodzi.

Gdy w progu Siciech się ukazał, trzeci pa-

sterze siedzieli już milezący, otaczając w pośrodku nich, zajmującego pierwsze miejsce arcybiskupa. Twarz jego zwykle łagodna, teraz była gniewną, surową, straszną. Samo milezenie, którem na pozdrowienie odpowiedział, groźnem było i pełnem znaczenia.

— Ojcie najprzewielebniejszy — zawolał dumnie Sieciech — choć nie powołany staję tu, jakby na sąd wasz dobrowolnie. Obwiniają mnie wszyscy wrogowie moi, chcą abyście sądzili między mną a nimi.

— I sądzić musimy a będziemy — zawolał arcybiskup uroczyście — sądzić będziemy nie ludzkim sądem, ale Bożym.

Tak — naszą rzeczą jest nie dopuścić zgorszenia. Wy wyjewodo, jesteście kamieniem obrażenia, wy słabym królem władnicie, wy królową, wy przekupionemi ludźmi.

Sieciech stojąc zarmieniony, zlekka uśmiechać się próbował szydersko.

— Tak — rzekł — teraz tu nie ma winowajcy jeno ja, nie ma zbrodniarza, tylko ten — wskazał na siebie — ten jest zbójca, łupieżca, zdrajca, cudzołożnik. Lecz posłuchajcież obwinionego, bo sąd i rozbójników słuchać winien.

— Gdy nie są pochwyceń na uczynku! — odparł arcybiskup.

Oczyma surowemi mierzyli się duchowni. Zachęcając do wytrwania w tém usposobieniu.

— Cóż możecie mieć na obronę waszą? — dodał starzec.

— Ja? króla mam, króla i jego słabość — zawołał Sieciech. — Gdyby nie ja, rozpadłoby się królestwo to na kawały, zajechaliby je nieprzyjaciele, Pomorcy by krzyże powywracali, Czesi znowu łupili kościoły. Gdy nie było władzy i dłoni musiałem panować ja, aby bezkrólewie nie nastało. Nie na króla, nie na królewiczów, nie na mnie patrzcie, którzy wszyscy śmiertelni jesteśmy, ale na państwo to i losy jego.

Arceybiskup i towarzysze jego milezeli długo, począł w końcu ojciec Marcin pomyślawszy.

— Nie o państwo to ani o ziemię szło wam wojewodo, ale o własną sprawę. Chcieliście korony dla siebie. Maciliście wodę, aby łatwiej w nią łowić. Znamy was nie od dziś dnia. Nie będzie was kosztowało nie przez krew dojść do panowania. Aliści władza świecka w tym królestwie, jako w innych pod naszą jest, pod Bożą, my stoimy jako kapłani na straży sprawiedliwości.

Papież korony rozdaje i z tronów strąca, my wiążemy i rozwiązujemy Piotrową mocą, myśmy sędziami, my nie dopuścimy, aby się srom dział panu, a dzieciom krzywda.

Myślicie się opierać? Stawajcież jako Masław z pogan i po pogańsku, bo po chrześcijańsku nie możecie.

Ustąpić musicie z królestwa tego, a my pokój uczynimy.

Wojewoda ostatnie wyrazy posłyszawszy zbladł i zachwiał się.

— Ja mam więc za wszystkich winy odprawić pokutę? — rzekł.

— Bo wy zgrzeszyliście najwięcej — dodał areybiskup.

Sicciech spojrział na biskupa Filipa, który mu groźbą odpowiedział wejrzeniem, potem na Lambert, który oczy miał spuszczone i milczał, patrząc na otwartą księgę, na Paulina w ostatku, a ten się nie odzywał i z założonemi na piersiach rękami ku stropowi poglądał.

— Ustąpić musicie — powtórzył areybiskup — za granice Królestwa tego, któreście zabużyć pragnęli — zgoda i pokój nastaną, gdy wy odejdziecie. Wojny nie dopuścimy, klątwą w ostatku zagrozę królowi, klątwę cisną na was...

Wojewoda nie mówił nic, oczy mu zachodziły krwią, która ze zbladłych warg ustępowała.

— Idźcie! — dorzucił o. Marcin -- dopóki możemy ocalić wam życie. Idźcie!

— Gdybym chciał -- odczuwał się niewyraźnie Sicciech — król odejść mi od siebie nie da. Król się nie obejdzie bezemnie, ufa mi. Wię, że nawet własnym dzieciom wierzyć nie może, że tylko ja mu byłem wiernym. Ja!

— Tak! — odpowiedział areybiskup — król

w rękach waszych jest jako ciasto, które urabiać na taki placek, jaki wam do smaku! Wiemy o tem. Mnie królewska moc nie zastrasza, ponieważ Bożym on nie jest, korony nie miał, pannaował z przyzwolenia naszego i ziemian, gdy cofniemy je my i oni, ustanie moc jego.

Wojewoda, któremu wyrazów na obronę zdało się braknąć, stał przybity.

Dano mu chwilę namysłu, o. Marcin mierzyl go oczyma.

— Wy, ojcze przewielebny — odezwał się — nie od dziś dnia jesteście mi nieprzyjacielem.

— Tak, bom ja was poznał zawczasu — mówił starzec — bom patrzył na sprawy wasze i w sercu czytał. Ujęliście sobie sromotnie królowę, niewiaстę nieopatrzną i płochą, króla ujarzmiliście, Zbigniewa chcieliście się pozbyć klasztorem i więzieniem, Bolka zabójstwem.

— Potwarz jest! — wybuchnął Siecech.

— Ci, którym płaciłeś za to, świadczą przeciw tobie — przerwał arcybiskup.

Idźcie, sprawa wasza osądzona. Myślcie, aby ustąpić dopóki czas.

Starzec ręką wskazał na drzwi, ale wojewoda stał nieporuszony.

— Takli ma być — przebaknął — ani król ani ja nie ustapiemy, wojny się nie ulękniemy. Będzie wojna.

— Ja nie dopuszcze wojny! — powstając,

krzyknął arcybiskup — ja, com od was obu silniejszy Chrystusowem ramieniem, świętokradzkiego tego krwi przelewu nie dozwolę. Rzucę między wojska łaskę moją, krzyż Pański, na który nikt się nastąpić nie waży! Nie wyzywajcie tej potęgi, od której zginął królewski brat, pominiecie na los jego...

Wojewoda spuścił głowę, jak złamany tą groźbą.

— Ojcie — odezwał się głosem słabym — nie ojeowskie, nie pasterskie są to słowa.

— Bo nie synowskie, nie owieczek posłusznych są czyny wasze — wołał arcybiskup.

— Jam dla wiary chrześcijańskiej pracował, klasztory uposażałem, krzewilem ją, rozprzestrzeniałem — rzekł Sieciech. — Władzy pragnąłem tylko dlatego, abym pogaństwa resztę mógł wytępić. Kościół...

— Kościół i bez was stać będzie! — odparł, unosząc się starzec. — Nie troskajcie się wy o Chrystusa, a korciecie się przed mściwą ręką Jego.

Nie skażonego nie wnijdzie do królestwa Bożego i was za sługę nie potrzebujemy, chyba w pokutniczej szacie.

Wojewoda jeszcze się z wyjściem ociagał, gdy ojciec Lambert wzrok skierowawszy ku niemu, wskazał mu oczyma, aby izbę opuścił.

Starzec zarnmieniony był i gniewny. Słowa nie mówiąc, ustąpił wojewoda.

Po wyjściu jego milczenie panowało długą chwilę, aż biskup Filip się odezwał:

— Kto wie, czy nas teraz do króla dopuści wojewoda?

Arcybiskup wstał żywo.

— Mnie? — zapytał — śmiały?

Od dworca do zamku nie było daleko, mała przestrzeń je dzieliła.

— Idziemy natychmiast do króla — dodał o. Marcin.

Przywołano kapelana i kleryków, arcybiskup wdział suknie swe uroczyste; krzyż wzięty z kościoła krucyferowi rozkazując nieść przed sobą. Duchowieństwo i pralaci towarzyszyć mieli i poprzedzać pasterza.

Biskup Filip w dzwon kościelny rozkazał uderzyć.

Arcybiskup nie dał się powstrzymać na chwilę, natychmiast ustawił się orszak duchowieństwa przyodzianego w komże z krucyferem na czele; biskupi otoczyli o. Marcina, nienstraszone starzec skinął, aby szli ku zamkowi.

Zdała już musiano widzieć ten pochód uroczysty. Dziedziniec około dworca królewskiego pełen był ludzi, wojskowych koni, dowódców, żołnierzy. Sieciech nie miał czasu wydać rozkazów, a gdyby nawet był zalecił niedopuszczać

arcybiskupa, próżnembymy to było, bo poprzedzanemu krzyżem idącemu w ubiorze pontyfikalnym, nikt w świecie nie byłby śmiał drogi zapierać.

Rozstępowali się coprędzėj wojskowi, niektórzy na kolana padali, inni cisnęli się do rąk biskupów, całując je i dopraszając się błogosławieństwa. Sędziwy pasterz doszedł tak do drzwi dworca bez najmniejszej przeszkody.

Tu komornicy, dworscy, czeladź, wszystko co nad miarę pobożnego króla otaczało, rozstało się posłusznie, nikt nie śmiał wątpić nawet, iż król przyjąc msi duchowieństwo, dla którego przystęp doń zawsze był wolny.

Otwarto szeroko podwoje izby, w której siedział Władysław; starzec ze swym otoczeniem całém ukazał mu się niespodzianie. Na widok jego król zmieszany podniósł się naprzód z siedzenia ruchem gwałtownym i upadł na nie wół omłdaly.

Wojewoda tylko co był wszedł do niego, nie mając jeszcze czasu na rozmowę, gdy duchowni we drzwiach się zjawili.

Arcybiskup z towarzyszami swymi, resztę prałatów zostawiając w przedsieniach, śmiałym krokiem zbliżył się do króla.

— Miłościwy panie — odezwał się surowo, spoglądając na wojewodę — przychodzimy do ciebie samego i pragniemy rozmowy bez świadków.

Oczyrna przełękłemi, jak litości prosząc, król Władysław mierzył arcybiskupa, a razem za rękę

pochwycił Sieciecha, dając znak, że nie chce, by się oddalał.

— Ojcie, ja bez niego nie mogę nic, proszę was!

— A my z nim i przy nim nie nie możemy — odezwiał się o. Marcin surowo. — Dziecię z matką będąc, piastunki nie potrzebuje. Kościół jest matką waszą miłościwy królu.

Wojewoda stał jeszcze, gdy arcybiskup dodał lagodnie:

— Błagam was panie, oporu kościółowi nie stawcie, władzy jego nie sprzeciwiajcie się, bo dobra waszego chce i pokój przynosi z sobą.

Bądźcie pamiętni na los brata waszego.

Strwożony król tém przypomnieniem załamał ręce, puściwszy dłoń wojewody, pochylił się, zdając tracić przytomność. Potém wzrokiem nieśmiałym Sieciechowi wskazał, ażeby ustąpił. Wojewoda cofnąć się nareszcie był zmuszony i postąpił kilka kroków, gdy majestatycznie, dumnie, z gniewem na twarzy weszła królowa Judyta. Widać w niej było ową siostrę cesarską, ufającą w brata potęgę.

Wstrzymała się niedaleko od progu.

— Król a małżonek mój — poczęła — chorým jest na ciele i umyśle. Dlaczego przewielebność wasza o sprawach państwa z nim mówić chcecie, gdy ma namiestnika i zastępcę!

Arcybiskup weale nie zmięszany zapytaniem — odpowiedział z przyciskiem.

— Dlatego miłościwa pani, że namiestnik ten nie króla zastępuje, ale sam nim chce być. Wasza miłość zechcecie nam bez przeszkody dozwolnić mówić z panem naszym, potrzeba jest tego wielka.

Twarz królowej oblała się rumieńcem.

— Wy tu ojeze przewielebny nie najwyżsi jesteście — zawołała — Rzym nad nami i wami jest, a biskup rzymski papież. Ja poślę do papieża, do cesarza.

— Ślijcie miłość wasza do kogo się podoba — rzekł spokojnie arcybiskup — ja też ślać będę. My w królestwie tém cesarzowi nie podlegamy, chociaż go szanujemy, poddani jesteśmy Rzymowi i ojcu naszemu jednemu tylko. Z rąk jego odebrałem instytucję i paliusz, Boga tylko i jego znam nad sobą.

Zagniewana królowa chciała mówić jeszcze, gdy przerażony coraz bardziej król rękami gwałtownie poruszając, dał znak, by ona i Siccich odeszli.

Zmierzywszy złośliwemi oczyma duchownych, Judyta razem z wojewodą znikła za zasłoną.

Arcybiskup zwolna i łagodnie przybliżył się do króla, a widząc go drżącym i aż do omdlenia prawie strwożonym — rzekł doń:

-- Niech się uspokoi dusza wasza, miłościwy

panie. niech błogosławieństwo Boga pokoju, zgody i miłości zstąpi na nią, w Imie Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.

Król przeżegnał się z pośpiechem.

— Gałąź oliwną niesiemy ci, miłościwy królu — mówił dalej arcybiskup — nie wojnę. Sieciech was kusi do niecnój walki z dziećmi własnymi i poddanyimi, my jej nie dopuścimy w imie kościoła.

Król nie odpowiadał nic, brak mu było doradcy, patrzył dokoła, jak gdyby Sieciecha szukał.

— Nie sądźcie miłościwy panie — ciągnął dalej arcybiskup — ażebyście po sobie mieli siłę; wojewoda mami was tём, jako mamul i oszukiwał w rzeczach innych. Tyle macie ludu, ile on go złotem kupić zdołał. Ludzie się brzydzą bratobójstwem Kaina i rzucą broń przy pierwszém spotkaniu. Sromotnie pobijają was dzieci, a ten sam wojewoda, którego ocalić pragniecie, zginie w walce albo gorzej — od oprawcy.

Król jęknął.

— Tak, Sieciecha i zdrady jego wyrzec się trzeba — mówił starzec. — Błagam was o to w imie kościoła, Matki naszój! Nie zgodzicie się li, ja krzyż mój rzucę między szeregi, aby depeąc świętokradzko wizerunek Zbawiciela musiały iść na siebie, tak, jak ewangielie depeąc pójda zabijać braci.

Na królu mowa areybiskupa uczyniła wrażenie wielkie, płakać począł, pochylił się do rąk starca i całując je, wołał.

— Ojczy moji! — ojczy — nie nastawajcie na Sieciecha, proszę za nim, ja bez niego żyć nie mogę.

— Grzechem jest obcego człowieka przekładać nad krew, nad dzieci własne — rzekł areybiskup. — W grzechu śmiertelnym jesteście, nikt was nie rozgrzeszy. Nie chcecie li gubić duszy, wyrzeknijcie się tego szatana, który was wkiął w sieć swoje.

W tém biskup Filip łagodniejszym głosem się odezwał.

— Królu a panie, ulitujcie się tysiącom ludzi którzy zginą za sprawę niegodnego! — Wyrzeczcie się go!

Powtórzył to za nim O. Paulin.

Wszyscy obstąpili króla, który w niepewności największej belkotał coś niewyraźnie i zdawał rozpaczać, niewiedząc jak się ratować.

— Zdacie mnie na łaskę synów wyrodných — rzekł — a którzy śmierci mej dla panowania pragną.

— Nie dzieci ale Sieciech panowania pożąda a śmierci Waszój życzy — rzekł areybiskup.

— Oddacie panie, wojewodę — nalegał Filip — niech dla jednego człowieka nie ginie królestwo.

To mówiąc biskupi ujęli ręce króla wystygłe i drżące.

— Uczynicie jako prosimy, uczynicie. Kościół radzi, kościół nakazuje, — mówił O. Marcin — Nie usłuchacie, kościół matka wasza, sięgnie po miecz i po tę siłę jaką ma, aby nie dopuścić zgorszenia i zguby!!

Groźby te powtarzające się ciągle, złamały wreszcie króla. Sam zostawiony sobie, strwożony w sumieniu, przestał się opierać, ngął głowę, zdawał godzić na wszystko.

— Ocalcie mu życie! — począł błagająco — wrogowie na nie nastają. Jeśli ja go opuszczę zamordują mściwi.

— Niech uchodzi z życiem, byle szedł precz z królestwa tego, odezwał się arcybiskup.

Król głowę osłonił rękami.

— Dajcie mi czas! — miejcie litość — nie naglijcie! Nie chcecie śmierci mej!

O. Marcin ustąpił nieco, niepodobna było nad nieszczęśliwym panem nie mieć politowania.

— Dzień i dwa weźmijcie do rozmyśln, — rzekł powolnie — lecz nie ustąpię ztąd dopóki państwu pokoju nie ubezpieczę, a dzieci skruszonych do nóg waszych nie przyprowadzę.

Dalsza rozmowa niemożliwą już była, siły chorego wyczerpały się, O. Marcin błogosławił go.

— Bóg niech będzie z wami, — rzekł. — Pominijcie, miłościwy królu, że w rękach waszych są losy królestwa tego i że przelana krew spa-

dnie na sumienie wasze... Niech Bóg odwróci, niech Bóg oświeci, niech Bóg doda siły!

— Amen! — dodali towarzysze arcybiskupa.

Wzruszony król chciał do drzwi odprowadzać duchownych, lecz sił mu brakło; podniósł się z siedzenia i padł na nie z niemocy wielkiej. Zimny pot czoło mu oblewał.

Duchowienstwo ustępowało gdy królowa weszła znówu Sieciecha wiodąc za sobą. Zmieniona jej twarz stała w płomieniach gniewu; niemoc królewska nie obndzała w niej litości ale niechęć i pogardę. Zbliżyła się do omiłalego na polu i wskazując go odezwiała głośno do wojewody.

— Co czynić z takim człowiekiem, który żadnej nie ma siły, chwije się i pada, słucha każdego, lęka się wszystkich, rozumn i wolę postradawszy — poświęci was, mnie, dzieci trwodze jednej, da się prowadzić gdzie go te klechy powiodą. Na skargę na nich do Rzymu śłać trzeba.

Król słysząc to nie odpowiadał, wyciągnął ręką szukając dłoni Sieciecha i pochwyciwszy ją szeptać mu coś żywo poczał na ucho.

Spostrzegłszy to Judyta ruszyła ramionami i wolnym krokiem nazad się ku drzwiom zwróciła.

Sieciech pozostał sam z królem. Przez cały wieczór niemal, trwały jakieś między nim a Władysławem narady tajne. Po kilkakroć woje-

woda do królowej odechodził i natychmiast nazad go powoływano.

Nadeszła wreszcie godzina wieczornych modlitw i jak zwykle, powołano kapelana królewskiego, aby je z królem odmawiał.

Nim przystąpił do nich, O. Lambert, który arcybiskupowi posłusznym być musiał, wezwał króla, ażeby oczyścił swe sumienie przypomnieniem grzechów, i roztrząsał w sobie azali przeciwko Bogu i władzy kościoła a tym co ją sprawiali nie czuł się winnym.

Milezającemu Władysławowi powtórzył kapelan że najwyższy pasterz, brat tego, który zasiadał na Rzymskiej stolicy; wezwał go do uczynienia zgody i spytał jak spełnił to żądanie? Nalegał na posłuszeństwo, zbawienie czyniąc od niego zawisłem.

Król nie opierał się już, do wszelkich ofiar oświadczył gotowość, otrzymał błogosławieństwo i modlitwy się rozpoczęły. Wojewodę musiał poświęcić. Jakkolwiek przywiązany doń duszy swój zań oddać nie mógł.

Nazajutrz rano jak świt obudziwszy się, król rozkazał przywołać znowu Siececha i sam na sam pozostał z nim długo. Wojewoda od wczoraj zmieniony i posępny, zdawał się sam widzieć konieczność ustąpienia dla ocalenia życia.

O wszystkiem co na dworcu się działo wie-

dział arcybiskup. Z jego ręki czuwał tu posłuszny O. Lambert, grożąc interdyktem i klątwą.

Z zamku widać było maszyny oblężnicze, które w obozie Magnus kazał przygotowywać, ściągające się oddziały, zbijane promy i łodzie, które lada chwilę przeprawę przez rzekę zapowiadały.

Wojewoda myśleć już musiał tylko jak wczas uciec, aby nie być pochwyconym. Co chwila donoszono mu iż z pulków jego gromadami ludzie przechodzili do obozu za Wisłę, inni zagrożeni przez duchownych po lasach się rozpraszali.

Na pozostałych też coraz mniej rachować było można, tak wpływ księży onieśmiał ich i ochotę do walki odbierał.

Rosła trwoga na zamku, której nikt oprzeć się nie mógł.

Ostatnie króla wysiłki wstawiania się za Sieciechem, którego chciał przy sobie, bodaj bez władzy żadnej zatrzymać, nie powiodły się. Odpowiadano od arcybiskupa, że w takim razie za życie wojewody ręczyć nikt nie mógł, tak nań nieprzyjaciele byli zażarci.

Przez cały ten dzień naprzemianny rozpacz, narzekania, nadzieje pozyskania sobie duchownych darami i obietnicami nadań nowych, ofiarami które odrzucano: zwątpienie wreszcie i trwoga panowały na dworze. Po kilkakroć nproszony O. Lambert od króla i wojewody chodził i wracał do

arcybiskupa, nie otrzymać nie mogąc nad to co zapowiedziano — wygnanie.

Gdy upływał czas dany do namysłu królowi, trzeciego dnia arcybiskup z towarzyszami znowu się udał na zamek, aby usłyszeć odpowiedź stanowczą.

Wojewoda po raz pierwszy sam stracił nadzieję i wiarę w to ażeby się mógł dłużej utrzymać. Kościół stawał przeciwko niemu, a król z nim walczyć nie mógł.

W izbach królowej lament był i narzekanie a groźby. Sieciech tu przesiadywał teraz, bo do Władysława przystęp nawet mu tamowano. Judyta jedna przyszłości się wyrzec nie chciała i starała pocieszać skazanego, który zupełnie zwątpiwszy o sobie, siedział złamany i przybity a pół martwy.

— Ustąpić im dziś potrzeba! — mówiła królowa, lecz nie koniecznie na tém! Niech robią co chcą, poślę do Rzymu skarżyć, będę słała do cesarza o pomoc, niech przyjdzie i zawojuje ten kraj a zagarnie. Wy uchodźcie abyście się przechować mogli do czasu. Do Niemiec wam potrzeba, tam was przyjmą i schronią.

Wojewoda, mający przez żonę stosunki na Rusi, tam się spodziewał znaleźć skuteczniejszą pomoc, — odparł że na Rusi woli przebywać.

— Chronicie się gdzie chcecie — odparła królowa, — ale nie oddalajcie się od granicy aby być

pogotowiu. Ja nie zaśpię a królowi też pokoju nie dam, aż się to wszystko odmieni... Stary arcybiskup nie pożyje, następca inny być musi, przysła go z Niemiec lub Rzymu... Wy powróćcie, wy musicie powrócić — dziś trzeba najdroższe ratować życie.

O tem też tylko myślał Sieciech i o zemście którą gotował... Zmniejszony dwór sposobił się w drogę do Sieciechowa, zkał uchodzić musiał na Ruś, nie widząc się w kraju bezpiecznym. Co godzina zmniejszał się orszak skazanego na wygnanie.

W obozie za Wisłą wiedziano tegoż dnia, że król musiał się zgodzić na opuszczenie Sieciecha, a gdy uroczyste dał na to, wobec świadków, słowo arcybiskupowi, padł zemdlaly, tak że go na łoże przeniosłszy, ledwie słudzy mogli do życia przywrócić.

O. Lambert, który jak wielu duchownych naówczas potroszę lekarzem był, pozostał przy chorym, niosąc mu razem religijną pociechę.

O wygnaniu wojewody w chwili piorunem po obu obozach wieść się rozeszła, wszędzie ją przyjmowano okrzykiem radośnym.

Wojsko, starszyzna, duchowni, lud dla którego wojna była najstraszniejszą klęską, ciesząc się powtarzał, iż Sieciecha już niema!

Gdy wojewoda wyszedł z komnat chcąc sobie zapewnić orszak liczniejszy do granicy dla bez-

pieczeństwa; wszystkich znalazł już świadomych wypadku.

Pierwszego Halkę spotkał w podwórzu.

— Pójdziecie ze mną, odezwał się do niego — na czas nastąpić muszę za granicę.

Halka stał zafrasowany.

— Miłościwy panie, — odrzekł mruczając — bierzcie kogo innego, ja nie mogę. Rodzinę liczną mam, stary jestem, a gdybym raz wyszedł, wrócićby mi było trudno.

Poklonił się i wysnął spiesźnie.

Powołany Strzepa, który zdala stał, przywłókł się z wolna z głową spuszczoną.

— Wybierajcie się ze mną! — rzekł do niego.

— Ja? z wami? — odpowiedział pokręcając głowę Strzepa. — Rozważcie no. czy z tem dobrze będzie? a kogóż tu zaufanego zostawicie, aby waszego mienia i sprawy strzegł? Nie tylem ja wam indziej, jak tu potrzebnym. Pozostać muszę nie dla siebie, a dla was.

Siecieli nani spojrział z pogardą.

— I wy więc coście mi winni wszystko opuścić mnie chcecie?

— Opuszczyć? — podchwycił szwagier — ja? ale ja właśnie dla was zostanę w miejscu na straży.

Nie widzicież, iż tego potrzeba?

— Zostańcie! — odparł oburzony wojewoda tyłem się do niego zwracając — nie potrzebuję was.

— Zabój nietutejszy, nie osiedział się jeszcze,

może laćniój wędrować — dodał Strzepa — czemu jego nie przybierzecie?

Sieciech w istocie zwrócił się do Zaboja, który coś około ludzi swych i rysztunku przysposabiał.

— Jedziecie ze mną, Zabój — rzekł spozierając na niego.

— Ja? odwracając się odparł Czech — albo już nie macie kogo z sobą zabierać, abym ja miał wszystko opuszczać, ledwie się osiedliwszy. Dom nieskończony, — trzebicze pod osady ledwie począłem! Szalonybym był z micjsea się ruszać!

Dumny Sieciech, przed którym niedawno płaszczyło się wszystko, nie miał teraz tylko czeladź i niewolnych ludzi przy sobie.

Co się w duszy nagle upadłego człowieka dziać musiało — któż wypowie?

Jedni drugich ostrzegali, aby się nikt nie ważył iść z nim i na niepewne puszczać losy, bo mu wszystkie posiadłości i ziemię zabrać miano i wywołanym być miał na wieki.

Przechodzącego przez podwórza omijano zdaleka, niektórzy kryli się przed nim do przedsieni i po szopach, aby gwałtem nie pociągnął ich z sobą.

Wojewoda chciał raz jeszcze do króla iść. Komornicy, którym arcybiskup i duchowni surowe wydali rozkazy, stanęli u drzwi nie dopuszczając wnijsćia. Zażądał, aby ktoś od niego z posel-

stwem udał się do pana, nie znalazł człowieka coby się go podjął.

Niektórzy ze śmielszych dworzan króla, do-
brali tę chwilę, aby mu przypomnieć jak się da-
wniej z niemi obchodził i wyrzucać mu na oczy
prześladowanie, które cierpieli od niego.

Odegnany ode drzwi, ujść musiał z niczem. Po-
zostawała mu jedna królowa, która wyrzekając,
płacząc i przeklinając, swojemi ludźmi, Niemcami
i Węgrami otoczyła go dla bezpieczeństwa.

Ze szczupłą garstką ezekadzi Sieciech puścić
się nawet nie śmiał do granicy i wahał się co
począć, gdy ze dworu Judyty dano znać o po-
słuchu, że spisek był uczyniony, i jeśliby pozo-
stał dłużej, miano go wydać w ręce Magnusa.
Królowa sama zaklinała i nagliła do odjazdu.
Nadchodził wieczór, nie było chwili do stracenia,
wojewoda w konnacie królowej wdziawszy opoń-
czę szarą i czapkę prostą, pobiegł do koni swych
i ludzi.

Kilkudziesięciu ledwie zastał w miejscu, bo
wszyscy wygnaniem zastraszeni, kryli się i ucho-
dzili. — Przed nocą trzeba było zamek opuścić.
Jeden gościniec ku lasom pozostał jeszcze wol-
nym, i tym o zmroku musiał Sieciech pospieszać
na zamek swój, nimby do Sieciechowa nadeszła
wiadomość o jego upadku, aby żonę, dziecię
i skarby ocalić.

Zaledwie wyjechał za bramy, niepoznany szczę-

ściem, gdy arcybiskup Marcin wysłał kapelana swego do Zbigniewa, aby zwiastował pokój, przebaczenie i wygnanie wieczne Sieciecha, którego król wyrzec się musiał.

Zarazem panowania się Władysław zrzekał dobrowolnie, zostawiając sobie tylko Płock i kilka grodów na Mazowszu. Z płaczem prosił O. Marcina o spokój, aby za grzechy mógł Boga przebłagać i reszty dni dożyć w ciszy, nie jako król, ale jako człek znękany, który umrzeć pragnie w zgodzie z sumieniem.

Późno w noc już przeprawiwszy się czołnem za Wisłę, kapelan arcybiskupi dostał się do obozu i namiotu Magnusa. — Czekano tam niecierpliwie się już wiadomości z Płocka, gdyż Zbigniew i część starszyny nagliła o rozpoczęcie oblężenia, aby raz dobić się do końca.

Od łodzi już na widok posłańca biegły tłumy przeprowadzając go, ciekawe co przynosił.

Magnus wstał badając oczyma w trwodze, aby nową zwłokę nie żądał. Lecz z twarzy wypogodzonej księdza domyśleć się było można, iż z dobrą przychodził nowiną.

Zaledwie usta otworzył, gromada, która biegła z nim, zasłyszawszy — pokój, — rozpierzchła się po namiotach. Krzyki odzywały się zewsząd, radośne, ochocze, wesołe. Ludzie z dalszych stanowisk porzuciwszy kotły, ognie, konie, lecieli aby się dowiedzieć i odnieść swoim wieść dobrą.

Wołano: — mir! mir!

— Boże zmiłuj się nad nami! — Bogu chwała!

O Sieciechu rozpowiadano różnie, jedni że uszedł z pomocą królowej, drudzy że był w ciemnicy, zkał go na stracenie jutro wydać miano.

Bołko i Zbigniew razem prawie znaleźli się u namiotu wojewody w chwili, gdy posłaniec kończył już zdawać sprawę.

— Sieciech oddalony! Sieciech na wygnanie skazany — król pokój przyrzekł — wołano do królewiczów.

Rzucił się Zbigniew.

— Gdzie ten zdrajca?

— Dozwolono mu iść na wygnanie — odpowiedział ksiądz.

Magnus i starszy królewicz zakrzyknęli oburzeni, iż się go pnszczać nie godziło, gnać i imać było potrzeba. zabić lub oślepić, aby uszedłszy na Ruś nie naprowadził nieprzyjaciela.

Gdy jedni radowali się niepomieranie z jakiej takiej zgody, drudzy zaraz na koni się chcieli sposobić, w pogoń iść, oblawy sprawić na Sieciecha, wołając, że póki on żyw, pokój niepewny.

Tymczasem ciemna noc nadeszła i pogoń tę wstrzymała, a nazajutrz gnać już było napróżno.

Noc cała spłynęła w radości wielkiej, ochocie i śpiewach, co było czólen, promów i tratów chwycili wnet ludzie do Plocka płynąć, aby co-

prędzej swoich zobaczyć. Z zamku też od króla spieszyli niektórzy do królewiczów i Magnusa, a co było młodzieży do Bolka. Ten radował się tylko tém, że ojca zobaczy znówu i rękę jego ucałuje. O niego dowiadywał się u wszystkich, uad nim bolał i rad był pospieszyć ku niemu.

Zarazem Pomorecy, którzy się o Santok knsili, niepokojem go nabawiali; chciał biedz brouić granicy.

— Jutro do króla,— wołał do swoich,— a gdy o niego będziemy spokojni. pojutrze kto żyw z moich, na Santok, na pogany!

Młodzież wtórowała mu ochotnie powtarzając:

— Na pogau! na Pomoree!

Zbigniew stał obojętny i słuchał.

— Mnie — rzekł — pilniej do Gniezna, aby precz wymieść tych, co mi tam gospodarowali, ład zaprowadzić i spocząć po tych utrapieniach.

Wojna ta a raczej włóczęga, spanie pod namiotami, żołnierskie jadlo, sloty, zimna, niewygody srodze Zbigniewowi doknezyły. Nieczém były benedyktyńskie posty i twarda pościel w klasztornej celi — obok głodu w pochodzie, śnie na trawie przemokłej, niepokoju dniem i nocą, z dodatkiem konia, który nogi rozlamywał i zbroi co ramiona ciężarem swym dusiła.

— Na Pomorców uaprzód pójdziemy! — rzekł do niego Bolko.

— Nie ja — odczuwał się Zbigniew — ja pod

dach na spoczynek — wy! jak wola — mnie się siły wyczerpały.

Drużyna Bolkowa odwróciła się od niego, poszedł się pocieszać z Zahoniem do swojego namiotu.

V.

Lat kilka upłynęło od wygnania Sieciecha, który z Rusi ruszyć się, ani przedsiębrać nic nie mógł.

W zamku płockim na kilka dni przed wniebowzięciem Panny Maryi wielkie czyniono przygotowania. Ściągały się zewsząd wozy, jechały gromadki zbrojne, gościeńcami lud płynął gwarząc a niewidać było niepokoju ani postrachu, jaki zwykł wojnę poprzedzać i zwiastować niebezpieczeństwo.

Owszem ludzie się radować zdawali, około grodu śmiechy i śpiewy słyszeć było.

Stary Strzeżon, który dowódcą był królewskiej załogi na grodzie, siedział pod izbą swoją, w tylnych zabudowaniach dworca królewskiego. W podwórcach krzątano się wszędzie, umiatano

drogi. oczyszczano kąty, ustawiano brzoźki zielone przywiezione z lasu, pancernicy pod szopami zbroje czyścili i odzież odświeżną otrzepywali.

W ruchu tym, swobodnym, wesołym, ożywiającym ludność zamkową czuć było byt dobry i pokój, jakiego tu dawniej nie widziano. Śmiechy się rozlegały różne, tylko bliżej zabudowań w których król Władysław przebywał, sprawiano się ciszej. bo służba pańska stojąca w progu pilnowała, by wrzawy nie wszczynano.

Człowiek, który z postawy na wojaka wyglądał, konia w miejskiej zostawiwszy gospodzie, powoli posunął się ku zamkowi. Nie młody już był, włos miał na wpół z siwym zmieszany, brodę też pasami po bokach siwą. Szedł i pilno się rozglądał jakby tu obcym był, choć dobrze znał drogi i ścieżki i nie pytał o nie nikogo. — Ludzi kręciło się dosyć, więc nie zwracano nań uwagi, nikt go też nie zaczepiał, jakby ci co go mijali, nie znali go weale. Ten i ów spojrzął na przechodnia i obojętnie się mu przypatrzywszy, do swęj roboty powracał.

Przychodzień wsunawszy się na zamek, pobłądziwszy po dziedzińcach, siedzącego na kłodzie pancernika, który zbroję wycierał, zapytał o Strzegonia. gdzieby go podówczas szukać było potrzeba. Żołnierz zaledwie podniósłszy głowę wskazał w stronę izby, na której progu właśnie spo-

czywał stary, piwa kubek na w pół wypróżniony mając przy sobie.

Dzień letni już się miał ku wieczorowi, a że skwarny był, napój się przydał dla ochłody.

Zdała zoczywszy Strzegonia przybyły stanął nieco, obejrzał się dokoła, a widząc wszystkich zajętych, przybliżył się ku niemu. Ten też już mu się pilno przypatrywał czas jakiś, jakby go poznawał, a pewnym nie był czy się nie myli.

Gdy przychodzić też podszedł, stanął i uśmiechnął się — Strzegoń aż się zerwał, aby mu bliżej zajrzeć w oczy.

— Czy mnie stary wzrok nie myli? zawołał.

— A nie — jam jest — ja — dziwnie się uśmiechając i wkoło oglądając rzekł przybyły.

— A coż wy tu porabiacie? lat tyle widać was nie było? Ludzie prawili żeście na Ruś poszli z Sieciechem?

— Na Ruś? hm! mało to ludzi na Ruś i bez Sieciecha ciągnie — a zamtąd tak samo wrócić można jak pójść! — zaczął przybysz...

— Coż was tu przyniosło? pytał Strzegoń.

— Ot tak, z ciekawości może się przywlokłem — rzekł podróżny oglądając się bacznie — a nielepijby do izby na rozmowę?

Strzegoń się odrobinę zawahał.

— W izbie bo skwar i mnech tyle, że wyżyć trudno, pójdziemy gdzie w chłód do szopy.

— Idźmy i w chłód, jak wola — zgodził się przybysz.

Tak we dwu pociągęli niedaleko, w otwarte wrota odryny, gdzie świeżego siana właśnie nabito aż pod dach, że ledwie z przodu miejsca trochę było, aby się na niém położyć.

Patrzyli na siebie dawni znajomi napatrzeć się nie mogąc.

Tyś utył ale postarzał — rzekł podróżny.

— A tyś schudł i podupał trochę — odpowiedział Strzegon.

— Co za dziw włączając się między obcemi! — westchnął pierwszy.

— Wróciliście do nas? — pytał dowódca.

Podróżny głową potrząsnął, nachylił się do ucha Strzegoniowi i począł.

— Myśmy się z Sieciechem niedaleko od granicy odbili — a uwierzcie, że choć siedzim blisko, nie wiemy prawie co się u was dzieje, jakby mur nas przedzielał. Sieciech zawsze powracać ma nadzieję. — Powiem wam prawdę, posłał mnie abym mu przyniósł języka.

Strzegon strząsnął się cały, spojrzał z ukosa, głową poruszył.

— A cóżście za języka dostali? — rzekł szeptem.

— Jeszcze żadnego, bom i pytać się lękał, — mówił podróżny. — Myślałem, że tu znajdę niepokój, zwady i biedę, a no dotąd nie widzę.

— Bo ich nie ma — rzekł Strzegon.

— Cóż robicie?

— Potroszę wojujemy, a czasem się spoczywa — odezwał się dowódzca.

— A król?

— Król? stare panisko! w kozuch zawinięte tylko żywe, dogorywa modląc się Bogu.

— A któż mu Sieciechuje?

— Nikt chyba.

— Któż u was rządzi? — badał ciągle przybyły.

— Królewicze po grodach, wojewodowie po ziemiach — mówił Strzegoń cedząc słowa niechętnie.

— Bracia z sobą w zgodzie?

Strzegoń na to pytanie głową pokiwał — musiał przybysz czekać na odpowiedź.

— Bolko czasu nie ma sporzyć, to rycerz prawy, ten dnia nie usiedzi. Zbigniew gnuśny i tchórz, boi się go, knuje poeichu, wystąpić nie śmie, kretowiny nam po gościńcach sypie, czasem kto na nich utknie, i nogę roztrąci.

Toć przecie wiedzieć musicie.

— Zkąd wiedzieć! — rzekł przybysz. — Tyleśmy o was znali, że gdy Sieciech na was Połowców nasadził, posłał na pewne ręcząc, że łupu nabiorą i popłochu naczynią — toście wy ich natłukli i spędzili!

— Któżby tego dokazał, jeśli nie nasz młody pan, Bolko — odezwał się dumnie Strzegoń. — Mnie

się zda, że gdyby na nas djabły wyszły z piekiel, tenby i ich zwyciężył.

Obydwa na wspomnienie to przypadkowe nieczystej siły przeżegnali się trwożliwie.

— Hej! hej! i bez Sieciecha żyjecie, jakby go już na świecie nie było — dodał przybysz.

— Ani pamięci już u nas o nim — zakończył Strzegoń.

— A król?

— Bolał dużo i przeboleć musiał — mówił dowódca. — Długo nawet Bolka odpychał, teraz znowu go miluje jak oko w głowie, któżby mógł inaczej?

Podróżny skrzywił się słuchając.

— Przecie i Zbigniew nie wiele gorszy! — wtrącił.

— O! o! — przerwał Strzegoń — za się! kleryk czasem zrywa się do mieczyka, a no mu się z nim nieszcześci. Co go wyjmie, to schować musi nie umoczywszy chyba w wodę. — Radby on, żeby się zań ludzie bili, sam woli Niemki gładzić po twarzy. Język ma mocny a pięść słabą.

Począł się śmiać Strzegoń stary.

— A cóż powiecie? — dodał poważniejąc — nie dalbym zajęczej skórki za to, że ten słaby klecha naszego mocnego pana zwycięży, — Bolko nieopatrzny gorączka, co w sercu ma to na języku. Tamten rozumny, co w głowie ma, nie powie nikomu, językiem mota, aby w błąd wprowadził.

Przyjdzie do ojca szeptać mu na brata, spotka się z bratem, podżęga na ojca.

Podróżny słuchając radować się zdawał.

— Bołko, złoty pan! — ciągnął Strzegoń, — ale chłopię szalone. Jemu tylko w lesie a w polu, pod namiotami dobrze i wesoło, klerykowi w chacie n ogniska.

Dwu ich jest jednego ojca, a do siebie niepodobni wcale.

— A królowa Judyta? — zapytał przybysz.

— E! e! — syknął Strzegoń — co mi tam w babskie mieszać się sprawy! Jak poczyniała niegdy tak i dzisiaj. Niemców młodych kręci się koło niej siła, baba w skoki chodzi, śmiechami żyje i zestarzeć nie chce... Siedzi w niej lich.

— A po wojewodzie nie zatęskniła? — dodał przybyły.

— Nie wiem. Pewnie dwa albo i trzy dni musiało jej być markotno — mówił dowódzca. — Co miała za jednym z tęsknoty umierać, kiedy ich dziesięciu mieć może na to miejsce?

— Przecie stara — mrknął obcy.

— Pomarszczona i straszna — dodał Strzegoń — a czém się garnek napoił zamlodu, tém skorupy jego cuchną.

Milezeń jakiś czas, przybyły wyciągał siano z pod siebie i gryzł je, jakby ze złości.

— Dziw a dziw! — wykrzyknął wreszcie — pa-

nem tu był! żyć bez niego nie mogli. Nie stało go, i śladu po nim niema!

— Pamięć bo została, ale niedobra — odezwał się Strzeżoń.

I trochę spoczęli znowu.

— Co tu u was tak wygląda świątecznie! zapytał podróżny.

— Niby niewiecie, że święto za dni pare przypada! rzekł Strzeżoń. A no, mało tego, uroczystość będzie znaczna, bo król stary Bolkowi i jego drużynie rycerskie pasy ma dawać.

— I Zbigniewowi też? — zapytał podróżny.

— Po co mu drugi, kiedy już jeden dostał sobie — odezwał się Strzeżoń. Choć nie bardzo wojował, ale zawczasu rycerstwo to wyprosił u czeskiego króla. Pysznił się niemi Bolkowi na złość, gdy ten krew przelewając pasa nosić nie śmiał.

— Kiedyż owo pasowanie?

— W samo święto! — rzekł dowódzca.

Mówili jeszcze z sobą, gdy na dziedzińcu Strzeżoń posłyszał wołanie i na sianie zostawiwszy towarzysza, rzucił się z odrywny dowiedzieć co się stało.

Na konin pianą i potem okrytym, leciał ku szopom młody, ciężką zbroją okryty cały, chłopak, w którym wysłaniec Siececha, Bolka poznał.

Lat kilka uczyniły go dorosłym, silnym mę-

żem, a więcéj nad lata ciągły trud wojenny go nkrzepił.

Choć złém okiem patrzył nań posłaniec, nie mógł się oprzeć wrażenin, jakie piękność, męztwo i siła wywierają. Puszek młodzieńczy okrywał twarz ogorzałą, zdrowiem kwitnącą, wśród którój bystrych oczów dwoje jak dwa czarne świecilo dyamenty. Widać było prawie, jak pod tą czerstwą skórą, krew żywo płynęła. Pańska i rycerska postawa budziła poszanowanie — królewskie dziecko znać w nim było zdala; dowódcę nawykłego rozkazywać i nicém się nie dać ustraszyć.

Strzegoń spotkał się z nim wśród podwórca— Bolko właśnie konia osadzał, i zeskoczył z niego.

— Stary mój! — krzyknął głosem doniosłym a drżącym — ludzi! ludzi!! Do koni! co jest najlepszego! kto żyw, dziś, zaraz ze mną!

— Cóż się stało? miłościwy panie?—podchwycił kłaniając się Strzegoń.

— A! psia gromada njada nad granicą!—wołał Bolko. — Zwęchały wilki wściekle, że my tu świętować mamy — Pomorecy znówu Santok oblegają!

Strzegoń stał pomiészany nie wiedząc, jak spełnić rozkazy.

— Miłościwy panie, święto wielkie tuż przed nami! Uroczystość wasza! Sproszone duchowien-

stwo, władcy, wojewodowie, król póki żyw chce was przepasać!

— Słuchaj! — krzyknął królewicz — czasu jest dosyć! natychmiast na nich, sprawim się hyżo, zbójów przegnany i wrócim żywi i zdrowi po pasy! Znam się ja z tą hulastrą, która pierzcha byle jej sięś na karki! Strzegoń! stary! na rany Boże! na całą noc w pochód — kto żyje! Trać na ludzi — dodał rozgorączkowany się — nim księżyc wnijdzie, na całą noc ruszamy.

W chwili poruszyło się wszystko na zamku, bo w rogi uderzono... Chory król posłyszawszy to hasło wojenne, uląkł się i komornika wysłał z pytaniem — co się stało.

Bolko biegł z nim do ojca zdyszany. Władysław siedział w swém krześle otoczony czeladzią z usty otwartymi i wargą obwisłą, która się teraz rzadko zamykała; oczy miał wlepione we drzwi czekając wylekły na syna.

Wyciągnął doń ręce...

— Wojna? napaść? — zawołał.

— Santok oblegają te pogańskie syny, ta tłuszcza zbójceka! — począł Bolko — iść muszę!!

Król się zmarszczył.

— A uroczystość nasza? a sproszeni goście? Rozśmiał się królewicz.

— Będą godowali tu, aż powrócę — zawołał, pierwsza rzecz na pas zarobić — wolę Santok od pasa. Gdybym ja tu rycerzem został, a oni mi

zamek ubiegli, gotówbych się na tym pasie obwiesić!

Mówiąc to, rękę ojca całował, który go do piersi przycisnął.

— O! ty! ty! rycerzu mój! — odezwał się pieszczotliwie — pociecho moja! Ilekroć ty idziesz odemnie, strwożone serce idzie za tobą. — Tyś mi jedyny, ty nie dasz spustoszyć tej ziemi a sławie naszej zagać — odżywisz ją!

Zaplakał król, ale z radości.

— Ojcie miły — rzekł ściskając go Bolko, — gości strzymajcie, niech poczekają mało, aż powrócę. Przyniosę na mieczu pogańską krew, blizny może — z niemi do pasa przystąpić milęj mi będzie.

Posmutniał stary, — tak ci odemnie pilno! — szepnął.

— Pilno, miłościwy ojcie! — rzekł Bolko. — Ta tłuszcza tam stoi i naciska, załoga słaba, ludzi mało... Na noe całą leczę z mojemi, któż wie? do dnia może na karkach im siedzieć będę.

Wiedział stary król, że wstrzymywać go byłoby napróżno, westchnął całując, i raz jeszcze spojrzął nań, a twarz mu się radością rozśmiała.

Dawnych żalów śladu nie było ni w sercu ojca ni syna, odkupił je Bolko miłością wielką i troskliwością o starego rodzica, którego jak piastunka sam jeden doglądał, bo królowa weale oń nie dbała.

Jeszcze byli na rozmowie, gdy w dziedzińcu

niezmierna wrzawa, rogów piskliwe granie, krzyki i śpiewy niesforne rozlegające się nagle, zwiastowały przybycie Zbigniewa.

Król mimowolnie przerażony drżeć zaczął, obłąkanemi powiódł oczyma i uspokoić się nie mógł, choć mu oznajmiano, że królewicz syn jechał z tym szumem rozpustnym.

Znano go z tych wjazdów, których zwyczaju pozbyć się nie chciał, choć go o nie strofowano. Otaczał się ludźmi, którzy posłuszni mu w każdej osadzie, do każdego gródka się zbliżając, swawolę tę powtarzali.

Dziwacznie wyglądał orszak starszego królewicza, który sobie dzikich a rozpasanych ludzi dobierał, a stroił ich osobliwie, w szaty jaskrawe, czuby i pasy, obwieszając konie i ludzi dzwonkami i trzęsidłami. Mile mu było, co najgłośniej brzęczało. Na prostym gminie wrzawa ta pańskiej czeladzi czyniła wrażenie, stawali na drogach patrząc nań zdumieni, przypadali i kłaniali się nisko, oglądali długo. Lecz gdy obok tej drużyny niesfornej a swawolnej, stanęła Bolkowa rycersko piękna a skinieniu posłuszna, widział każdy dwu panów różnicę.

Bolko wielce ciekawy obyczaju rycerskiego na zachodzie, pilnował między swemi porządku o jakim z Francji i Niemiec zasłyszał. Były to właśnie te czasy, w których się instytuēja rycerstwa, możnaby powiedzieć zakon rycerski, co taki

wpływ wywarł na złagodzenie obyczajów, rozwijał i kształcił. Wszystko co szlachetniej czuło, co miało pragnienie wyjścia z dzikości, garnęło się do praw i zwyczajów rycerskich, które i w boju i wśród największych zawiechrzeń nbezpieczaiy słabych, obowiązywały do szanowania miejsc, osób, niewiast i istot bezbronnych.

Kościół też widział w rycerstwie, które stawało w jego obronie, domagało się od niego błogosławieństwa, dzielny środek do poskromienia wynzdzanych namiętności.

Do tego nowego porządku, który szlachetnym celem i poetycznym wdziękiem do dusz przemawiał, garnęli się ludzie najlepsi, dusze rycerskie, serca poczciwe.

Było ono znamiętem ówczesnem postępu, i wszystko co pragnęło podnieść się do jakiegoś ideału szło pod rycerskie chorągwie.

Na dworze Władysława Hermana razem z przybyciem siostry cesarskiej poczęły się krzewić pojęcia rycerstwa, których już Kazimierz przyniósł z sobą nasienie.

Bolko był jednym z tych młodych wojowników, dla których nrok niezmierny miało wszystko, co się wiązało z nowym obyczajem.

Zbigniew, choć już dawniej przez króla czeskiego pasowany, był i należał do tego wielkiego bractwa rozszerzającego się po całym Zachodzie—lekce sobie ważył i swój pas i przywiązane doń

obowiązki. Nie lubił nie takiego, co by go wiązało i wymagało posłuszeństwa. Drużyna też jego wcale na pachołęta i rycerzy nie wyglądała, choć strojem niby rada była za nich uchodzić.

W Bolkowej drużynie ducha rycerskiego szczepił sam wódz, aż do drobnostek w nim rozmiłowany. — Zbigniew wyśmiewał go z tego, mówiąc że owo niemieckie rycerstwo dla Polan nie przystało, którzy inne mieli nawyknięcia.

I teraz na ojcowski jadąc zamek po swojem wystąpił królewicz z owym piskiem i wrzawą, a okrzykami wedle starodawnego dzikiego obyczaju, z rogami, które więcej hałasu czyniły, niż do gędzby były podobne.

Wybiegł Bolko w podwóree dając znaki rękami, aby się ta czereda uciszyła wolając, że król chory.

— Zawsze chory, — odparł z konia Zbigniew — przecież królewiczom na zamek, jak złodziejom pociech wkradać się nie przystało!

Zsiadł z konia starszy, podali sobie ręce witając się chłodno, Zbigniew przybrał wyraz szyderski i dumny.

— Cóż, młody rycerzu! — odezwał się — gotujesz się, słyszę, do pasa, pilno ci być musi go dostać!

— Nie przedćj, aż na niego zarobię, — odparł z równą dumą Bolko, — właśnie się zręczność na-

darza, bo Pomorcy Santok oblegają. Za godzinę ruszają. Chcesz ze mną? Rad będę.

Zbigniew się zadumał.

— Jam się na wyprawę nie przysposobił rzekł, ludzi mam garść małą, na niewieleby się przydali. Patrzeć zaś na twoje bohaterskie dzieła nie potrzebuję, bo wiem, żeś mężny i nieustraszony. Zostanę przy ojcu.

— Więc nawet ochota cię nie bierze samemu poharcować z niemi? wtrącił Bolko z rodzajem politowania.

Starszy zmieszany nieco oczy spuścił belkocząc.

— Nie wziąłem z sobą ludzi wojennych tylko dwór, nie mam z kim iść. Zbroi też nie wiozłem z sobą.

— Znajdzie się i u mnie — rzekł Bolko.

Zbigniewa to nastawanie niecierpliwiło.

— Ja przy ojcu będę, nie godzi się go samym porzucać, aby się o obu nas niepokoił — począł chmurno.

— Sam nie będzie, królowa jest! — mówił Bolko.

— Nie wybrałem się na wyprawę! rzekł Zbigniew.

— I ochoty nie masz do niej! wtrącił Bolko śmiejąc się.

— Takiej jak ty, nie miałem nigdy — zawołał starszy z gniewem tłumionym. — Na Pomorców ty jesteś stworzony, oni cię szanują.

Słyszałem — dodał — że gdyśmy ostatni raz

byli oba razem przeciwko nim, dzieć się ze mnie wyśmiewała, zowiąc klerykiem... Tak *twoi* ludzie opowiadali, pocóż ci kleryk do pomocy?

Rzekłszy to Zbigniew nie patrząc już na brata, posunął się ku dworcowi królewskiemu uroczyście ciągnąc z drużyną, która nań oczekiwała. Władysław już wrzawą zawiadomiony o przybyciu, przyjął syna kwaśno i zimno. Nie pierwszy to raz hałaśliwość podobną wyrzucił Zbigniewowi, który jej wyrzec się nie chciał. Nie czynił im teraz wyrzutów, ale mileżeniem dał poznać złą wolę i Zbigniew niewiele troszcząc się o nią, powitawszy ojca, wyszedł natychmiast zająć dla siebie przeznaczone izby.

Bólko już się do pochodu sposobił.

Ludzie oczom prawie nie chcieli wierzyć widząc go w przededniu wielkiej uroczystości, wyrwującego się na niebezpieczną wyprawę.

Mrok padał i skwar dzienny znacznie się zmniejszył, gdy młode pachoł w zbroi już, przy mieczu, w całym rynsztunku przyszło ojca pożegnać i wziąć błogosławieństwo jego na drogę.

Nie śmiał wstrzymywać go ojciec, uściśnął i szepnął.

— Wracaj cały i zdrow, szczęśliwie a prędko! niepokojem srogim mrzeć będę za tobą.

Starzy komornicy pańscy, wszyscy miłośnicy wieley królewicza wyszli w przedsienie aż gromadnie patrzeć, jak wyciągać będzie. Blask za-

chodniej łuny oświecał ten pochód rycerski. Część wojska już bramami wyciągnęła w pole, gdzie się szykowała. Bolko miał z sobą dwunastu swych w jednakich zbrojach i hełmach. Ci stali czekając nań. Jeden z nich wioził chorągiew, na której widać było wyszytego jeźdźca na koniu z podniesionym mieczem w ręku.

Zatrąbiono — królewicz wdział hełm, przeżegnał się i dosiadłszy konia otoczony drużyną, ruszył z twarzą rozpromienioną — szczęśliwy!

Po wyjeździe jego zamek zdawał się pustym, brakło mu tego życia, które z sobą przynosił. Z nim też najdzielniejsza młodzież zniknęła. Leez w tejże godzinie prawie sproszone duchowieństwo, władcy, ziemianie przybywać zaczęli.

Wielu starszych wiodła ciekawość, bo choć wszyscy znali i wiedzieli czem był pas rycerski, obrzędów nroczystych przy wkładaniu go mało kto z nich był świadkiem. Obchód podobny ledwie na cesarskim i królewskich dworach na Zachodzie wchodził w użycie z właściwemi mu obrzędami. Tłumaczono różnie tę dostojność, jaką chciał król nadać młodszemu synowi, a wielu mniej świadomych widziało w niej jakby zdanie władzy i naznaczenie następstwa po sobie.

Nie słyszało wielu, iż Zbigniew był pasowanym przez Czecha, a w wywyższeniu Bolka miłość ojca i pierwszeństwo nadane mu widzieć chcieli.

Zrana w wigilję Wniebowzięcia zamek już

był pelen, izby gośćmi nabite. Arcybiskup Marcin siedział z królem razem, przychodzili przed nich wojewodowie, starostowie, żupani, władcy, ziemianie z poklonami ręce ich całując, jedni po drugich wprowadzani, ustępując sobie miejsca i przechodząc ztąd do izb w których stoły przez cały dzień nakryte dla nich były.

Zbigniew korzystał ze zjazdu, a nieobecności brata, aby do starszyny się zbliżyć i starać się ją jednać sobie. Nie garnęli się do niego.

Z ludźmi obejść się nie umiał i gdy dobrym chciał być nawet, stawał się uprzykrzonym, obrażał szyderstwą od których się wstrzymać nie mógł.

Ze śmiechem na ustach niby wesołym, z dumą i lekceważeniem przystępował do ziemian, którzy go milczeniem przyjmowali, a gdy odszedł oddychali swobodnie.

Niezręcznie też przedrwiwał przed nimi z ojca i brata, tak, że nie jeden słuchać nie chcąc go, wysuwał się i uchodził.

Ani on ani dwór jego, który w Plocku tak się rozgaszczał jak w przyszłej swjej stolicy—nie mieli tu przyjaciół. Wiedziano z Gniezna co się tam działo, że od królewiczowskiego rozpasanego dworu nikt spokoju nie miał, że tam nie i nikt go nie szanowano, a gdy na skargę szli pokrzywdzeni, Zbigniew ich zbywał śmiechami i groźbą.

Bólko inaczej obchodził się z ubogimi i bie-

dnemi, a choć gniewny był czasem i prędko, nigdy się na bezbronnych nie porywał i słabych nękać nie dopuszczał.

W nim był prawdziwy duch tego rycerstwa szlacheckiego, które we Francji się krzewiło i społeczeństwu oświeconszemu prawa dawało.

Dzień cały po wyruszeniu Bolka, wieści o nim nie było. Nazajutrz następowało Wniebowzięcie Panny Maryi na tę roczystość wyznaczone. — Królewicza oczekiwano niecierpliwie. Król, choć chory, kazał się nieść na nabożeństwo do kościoła katedralnego, gdzie arcybiskup z towarzyszami celebrował.

Brakło mu syna, a myśl, że on tam dnia tego świętecznego być się musi i nie ma spoczynku, smutkiem mu oblekała twarz pomarszczoną. Zbigniew z tego niepokojn ojcowskiego szydził, jeśli nie słowy to szyderskim wyrazem — który go nigdy nie opuszczał.

Odprawiono nabożeństwo poranne, nastąpiło wieczorne, Bolka jak nie było tak nie było, na koniec i noc zapadła — słychu żadnego nie miało o nim od granicy.

Niepokojąc się król wysłać kazał jednego z najsprawniejszych ludzi swych, aby się starał dostać języka. Goniec miał już wyruszać pod noc, gdy za bramami zahuczano, jakby wichur się zrywał, Bolko biegł w kilkadziesiąt koni,

z drużyną swą i czeladzią, pierwszy na zamek wracając.

Wszyscy wybiegli przeciw niemu z pochodniami, z radością, wołaniem głośnym, tak że i Zbigniew musiał wyjść przeciwko brata, choć z gotowem szyderstwem na nstach.

Powracający Bolko miał na sobie ślady zwyciężkiego boju, który stoczył odpychając Pomorców od Santoka; jechał z hełmem porąbanym i pogiętym, w zbroi potłuczonój, na której ciężkie razy widać było, na koniu jak on sam poranionym i pobitym. U siodła żelazne rękawice wisiały pogruchotane, oszczep pokrwawiony i nadłamanym sterczał, miecza pochwy całe krwią były zbroczone, płaszcz i kaftan miał podzinrawiony. Dość było spojrzeć nań aby widzieć że sam brał udział w najgorętszej walce i musiał z niej wyjść zwyciężko.

Ci co się znali na rycerskiej sprawie, zobaczywszy go, wyczytali na nim wypisaną całą historję walki, podnosili ręce z podziwem i uwielbieniem, obwołując młodego pana. Zbigniew patrzył nań z gniewem, mając mu za złe że przybył nie przyodziawszy się, chwalić temi jawnemi dowodami swojego męztwa.

Gdy wszedł tak do ojcę, znnowu powstały okrzyki na widok zbroi, hełmu i miecza. Król wstał aby go nścisnąć i do piersi przycisnąć.

Duchowni z poszanowaniem patrzali, wracał jakby z wojny krzyżowej.

— Bóg niech wam błogosławi, -- zawołał arcybiskup Marcin, i niech da abyście tego męstwa zawsze na obronę wiary i kościoła używali.

Niemal cała ludność zamkowa zbiegła się do Bolkowej drużyny, która jak on poznaczona była krwawo, ale śmiała się szczęśliwa ze zwycięstwa.

I oni mieli pocięte zbroje, pocięte ręce i nogi krew na mieczach, krew na twarzach, a wielką dumę i radość w sercach.

— Co, my! — wołali uniesieni — patrzajcie na królewicza, ten nad wszystkich był dzielny!

Większa część wojska pozostała przy odsieczonym Santoku, Bolko sam tylko z drużyną przybieżał wskok, aby nim się panowie dnehowni rozjadą otrzymać dobrze wysłużony pas rycerski.

Nie było już jednak podobna dnia tego rozpocząć przygotowań do obrzędu, bo i królewicz i towarzysze jego śmiertelnie strudzeni potrzebowali odetchnąć, przysposobić się, nimby spowiedź poprzedzającą uroczystość odbyć mogli.

Stało też na tem aby dopiero dnia następnego rozpoczęły się ceremonie, które ściśle zachować chciano tak jak się gdzieindziej odbywały. Oprócz królewicza drużyna jego zasługiła równie na zaszczyt, o który on się dla niej domagał.

Wieczór zszedł na opowiadaniach o wyprawie.

Pomorey, którzy szpiegow mieli wszędzie, bo im lud do świątyń ich pogańskich neczęszczający potajemnie o wszystkim donosił, śledzili pilno każdy ruch królewicza. Zawczasem dowiedzieli się o mającym nastąpić zjeździe w Plocku i zdało im się że potrafią ubiedz ten gród tak dla nich groźny, naprzeciw którego już raz byli twierdzą zbudowali, aby go ciągle trzymać na oku.

Twierdzą tę ledwie wystawioną Bolko dobył i zburzył.

Gdy królewicz niespodzianie nadbiegł z odsieczą, nikt z oblegających, którzy zajadłe tłukli bramy i zrozpaczoną naciskali załogę, ani przewidzieć mógł posilków z tej strony,

Dosyć było prawie samego ukazania się Bolka, którego postawę, głos, chorągiew, konie i ludzi znali Pomorey, aby rzucić popłoch na nich.

Nie o obleganiu już myśleli, ale o ocaleniu się, gdyż w tej samej chwili z zamku ośmielona załoga, uczyniła wycieczkę, i wzięci zostali z obu stron, tak że mało co ich wyrąbać się i ucieść mogło.

Przyparto ich do rzeki częścią, tak że ci tylko co lepsze konie mieli przepłynąć ją zdolali i żyć nieśli. W rozpaczliwym tym boju, gdy Bolko jak prosty żołnierz walczył, wściekle napadli nań poganie, nastając na jego życie, miał jednak

głos i miecz młodego królewicza tę potęgę, że trwogę siał, której się nie nie oparło. Pierzchnęła resztką dziezy, Santok na długo od nowej napaści był ubezpieczony.

Zbigniew obojętnie słuchał opowiadania.

— Ha, — rzekł do Bolka w końcu — Santok obroniony i obeszło się bez guzów na moich plecach, bez sińców i bez ran! — Tém ci lepiej. Sławy rycerskiej, choćbym jęj żądny był, nie dojdę nigdy takiej jaką wy sobie pozyskaliście, miłościwy bracie. Zawsze mnie klerykiem nazywać będą, choćbym i guzów dostał — po cóż mi one?

V.

Na dworze króla Władysława był już zdawna Michmo z Zadora, wielce Bołkowi ulubiony, ciekawy mąż, którego losy różne i własna wola po świecie szerokim nosiły długo tak iż znaczniejszą część życia przebył na dworach królów Francyi i cesarzów niemieckich.

Rodzinę miał w Krakowskiem; siostry tam za mąż powychodziły, on sam, gdy po długiej włóczędze zestarzał, siwy, potłuczony, oknłały, wrócił kości złożyć na własnej ziemi, musiał swęj mowy się neżyć na nowo, bo jój był prawie całkiem zapomniął.

Majątności były zdawna rozechwycone, schronienia nie miał gotowego, przyszedł więc na dwór pański; a choć rękę już miał niezdatną do boju, bo go wloch jakiś szpetnie porąbał, że mu kości

wychodziły, choć jedną nogą powłóczył, przydał się bardzo...

Bolko mu, młody naówczas, szczególniej rad był, i przyjąwszy sobie za mistrza i nauczyciela, używał go do kierowania rycerskimi sprawami i nauki porządku ich, której nadzwyczaj był żądny.

Michno dobrze rzecz znał, długo patrzył na to jak na zachodzie odbywały się turnieje, gonitwy zapasy, sądy Boże i wszystko co do rycerstwa należało. Na każde zapytanie odpowiedź miał pewną i przykłady.

Wiedział on jak się tam dobijano rycerskiego zaszczytu, jakie doń idąc przechodzono stopnie, z jakimi obrzędy pasowano na rycerzy pacholęta; miał wedle wszelkich prawideł urządzić gonitwę, turniej, walkę na tępe, a gdyby dwór był miał niewiasty tak wprawne do prowadzenia na paskach panów swych miłych, jak gdzieindziej, Michno by był chętnie tu, na wzór francuskich miłosne dwory wystroił. Tego jednak surowszy obyczaj, dawne wspomnienia, skromność niewiast, nie dawała zaprowadzić. Ani myśłano o tém. Bolko tylko pragnął koniecznie aby drużyna jego zupełnie po zachodniemu była uzbrojona, zarządzona, wyuczona i w karności wielkiej utrzymana. Michno tego pilnował...

Wielką powagę w tych rzeczach miał stary, nabywszy doświadczeniem świadomości ich, nałóg

sobie uczyniwszy z ładu surowego, pilnował nie-
litościwie wszystkiego co się do spraw rycerskich
odnosiło.

Calemi nieraz wieczorami Bolko opowiada-
niu kazał, słuchał go, uczył się, zapamiętać sta-
rał, obdarzał, a gdy wielkie, bohaterские, baje-
czne niemal czyny odwagi i siły, postęпки męzne
opisywał, z przesadą wielką i ozdobami kraso-
mówskimi, Bolko rwał się miesiony, aby je na-
śladować! — Wzdychał on zawsze za wyprawą
do ziemi Świętej, trzymano go tём tylko że po-
gany, nieprzyjacioly krzyża pod bokiem miał,
więc się ich szukać za morzami nie godziło, póki
by osie gniazdo wytepieno nie zostało.

Po raz może pierwszy w Polsce pasowanie
na rycerzy, tak uroczyście się odbywać miał.
Michno niem kierował w kościele i na zamku,
bo obrzęd ten na wpół religijny, pod okiem i opie-
ką duchowieństwa dopełnić się musiał.

Strzegł kościół tego, aby w życiu ludzkim
żadna czynność ważniejsza bez jego błogosła-
wienia i uczestnictwa się nie obchodziła.

Następującego dnia Bolko z dwunastu towa-
rzyszami swojemi szli naprzód na nabożeństwo,
odziani skromnie jak pokutnicy, a przy mszy
świętej wszyscy spowiedź odbywali. Nie godziło
się dnia tego żadnej zażywać rozrywki, ni wspól-
nie z innemi biesiadować. Stół mieli osobny, ja-

dło skromne i niewytworne. Dzień nłynął na skupieniu ducha i nabożeństwie.

Wysłuchawszy nieszporów wszyscy pozostali w kościele, gdzie przed wystawionym w oltarzu wielkim Sakramentem i płonącej lampie, noc całą przebyli na czuwaniu i modlitwach.

Bolko i towarzysze jego, jednako odziani, suknie mieli z prostego sukna grubego, bez ozdób żadnych, naksztalt sutany, którą duchowni nosili.

Jak tylko rozedniało, wyszedł biskup Filip ze mszą świętą, po której przystąpili wszyscy do stołu pańskiego.

Szli potem do przygotowanej łaźni, w której wyparzywszy się i obmywszy, zmienili odzież, biorąc bogatszą. krojem świeckim zrobioną, krótką i bramowaną.

Zwyczaj, którego Michno pilnował, wymagał aby po łaźni położyć się do łóżka i w niem przyjmować odwiedziny przybywających z powinszowaniami.

Oprzeć się chciał temu przymusowemu spoczynkowi Bolko, lecz stary choć na chwilę go ledz przymusił, aby się obyczajowi zadosyć stało. Wpuszczono ciekawych i przynoszących życzenia na których nie zbywało — przybył i Zbigniew raczej by bratu doknezyć, niż by mu się pokłonić.

— E! e! — zawołał od progu — mnie w Pradze mój ojciec a król tak nie męczył, nie wy-

dziwiał z wymyślnemi obrzędami. Poszliśmy do kościoła, uderzył mnie mieczem po ramieniu trzy razy i tyle było wszystkiego.

Sztuki te wasze śmiechu są tylko warte.

Mielno się mocno obraził.

— Miłościwy panie,—rzekł gniewnie.— Wolno było Czeskiemu królowi postąpić sobie z wami jak mu się żywnie podobało, my prawa strzeżemy, bo u nas rycerstwo nie na żarty.

— A mojęz to czem było! — podchwycił obrażony Zbigniew.

Mielno ramionami ruszył.

— Albo ja tam wiem! — odparł.

U nas mówią, z pieśni słowa nie wyrzucić.

Wyszedł starszy królewicz pomruczawszy. Gdy się odwiedziny te skończyły, Mielno, Strzegoń i Leliwa Nenka, stary wojak też przystąpili do odziewania królewicza, wedle obyczaju.

Podał mu pierwszy gźło u szyi i pięści złotem wyszywane, białe jak śnieg, bo szatę niewinności oznaczające, przyozdobioną enotami. Drugi przyniósł koszulę z drutu żelaznego jak siatkę dzianą misternie i plecioną. Ta oznaczała jakby włosieniec rycerską, godło trudn, bolu i wstrzemięzliwości.

Na ono drugie gźło żelazne, wdziewano mu kaftan losiowy, który pierwsze okrywał, tak jak człowiek enotę swą i boleść winien przed oczyma bliźnich osłaniać skromnie. Na kaftanie po-

częto opinać zbroję, całe ciało osłaniać mającą, aż do rękawic i nagolemników.

Na nią Strzegoń narzucił mu płaszcz na ramiona rycerski, szczęściem z lekkiej tkaniny, gdyż skwar sierpniowy, na potłuczonym świeżo ciele, sińcami po boju okrytym, ledwie ciężar ten cały dawał ndźwignąć.

Tak samo przyodziani zostali towarzysze Bolkowi wszysey, dla których on gźla, zbroję i miecze jednakie zawczasu przysposobił.

Przybrani wszysey młodzi, pacholęta jeszcze uroczyscie szli do kościoła, gdyż król chciał aby pasowanie, ani w izbie, ani w podwórzu, ale w katedrze się odbyło.

Na wielkim oltarzu złożone były miecze z pasami, które sędziwy arcybiskup pobłogosławił.

Gdy orszak królewiczowski ruszył ze dworca, podwórza, waly, okna, pełne były ciekawego ludu, okrzykującego młodego pana i klaskającego w dłonie radośnie.

W uroczystym pochodzie szli wszysey do tu-
mu, starszyzna, kumy za nimi.

Króla już tu wprzód zaniesiono i posadzono na wężglowiu pod baldachymem. Duchowienstwo licznie zgromadzone chór, ławy i prezbyterjum zapelniało. Lud tłoczył się do kościoła.

Szedł naprzód królewicz przed oltarz wielki, a tu, odprawiwszy modlitwę krótką, do ojca, przed którym składać miał przysięgę

Jedna dla wszystkich rycerska kłątwa brzmiała, jako krwią, życiem, mieniem, nie szędząc ich rycerz miał bronić wiary świętej i kościoła, walczyć z poganą, osłaniać sieroty i wdowy, stawiać w obronie wszelkiemu uciskniemu.

Po złożeniu przysięgi dopiero, przystąpili do królewicza Strzegań i Mielno, aby mu złocene przypiąć ostrogi.

Z ołtarza klerycy wzięwszy pobłogosławione miecze, z których każdy zawieszony był na bogato sadzonym pasie złocistym, a pochwę miał sianą w drobne krzyżyki złote; nieśli je przed króla.

Ukląkł Bolko u kolan ojcowskich, a Władysław trzykroć mieczem nderżywszy go po ramieniu, drżącemi rękami przypasał mu rycerskie znamię.

Uderzenia jak przy bierzmowaniu, oznaczać miały, iż rycerz znosić był powinien cierpliwie ciosy i razy — za wiarę i za prawdę. Wstał Bolko cały radością promieniejący, dziękując ojcu, a że król sił dosyć nie miał, aby wszystkim towarzyszom jego pasy nakładać, wyręczała go starszyzna dopełniając obrzędu.

Na dany znak odezwały się przed kościołem rogi, trąby i co było gędzby, nderzono we dzwony, ale okrzyki tłumów zagłuszyły wszystko. Lud cały w podwórzach stojący nowych rycerzy witał. Było to widowisko dlań nowe, po którym

obiecywały się otwarte stoły i beczki, co radość większą jeszcze czyniło.

Bołka też kochali wszyscy i cieszyli się tém, co w ich oczach miało większe znaczenie, niż król i starszyzna mu przypisywała.

Na Zbigniewa mało kto patrzył, ukryć więc mógł gniew, jakim palił, zazdrość i pragnienie zemsty. Zazdrościł młodszemu wszystkiego: oznak miłości powszechniej, mężstwa, serca ojca, sławy i rycerskiego pasa, choć i on dziś włożył swój kosztowny i lśniący, ażeby się nim pochlubić.

Nikt ani na niego ni na ten strój nie spo-
glądał...

Zaledwie nieczyło się nieco w kościele, gdy z presbyterjum, gdzie stali kapłani, z pośrodku ich dał się słyszeć głos, który wszystkich zdumiał.

— Książę panie, Władysławie pobożny. Pociężył dziś Bóg królestwo Twe, podeszłe lata twoje, chorobę twą, a ziemię tę przez nowego pokrzepił rycerza.

Błogosławiony żywot, który wydał na świat syna takiego! — Dotychczas Polska nękana była przez nieprzyjaciół, ten młodzian ją do dawniej przywróci potęgi ¹⁾.

Zdumiali się wszyscy temu głosowi prorocznemu, który wyszedł jakby mimowolnie natchniony

¹⁾ Gallus.

z ust mnicha stojącego za biskupami. Mniich ten, mówiono, Galleu był, a przybywszy przed laty kilka do téj ziemi, nieznane na Zachodzie dzieje jęj spisywał. Czelek był duży, opasły, twarzy szerokiej, rumianej, wesołej, ust i warg wydatnych, oczu wypukłych, śmiałego wejrzenia.

Gdy się nań wszystkie zaczęły zwracać oczy, głowę pochylił pokłon czyniąc biskupom, otarł pot rześisty z czoła i cofnął się nieco za kleryków, aby nań nie patrzano.

Zajadłe spojrzenie rzucił nań zdala Zbigniew, a gdy drudzy szli już na zamek do uczy i stołów, on wyrwał się z kościoła i zszedł na stronę jakby z intencją razem iść nie chciał.

Marko Sobiejucha wypuszczony dawno z kny za wstawieniem się Greta i znownu do dawnych łask przypuszczony, zdala stał, patrzył i czytał w twarzy znanęj swojego pana, gniewy i grozę. Gdy Zbigniew wyszedł, pośpieszył i on za nim na wały, gdzie kilka drzew trochę cienia dawało.

Chociaż i tu tłumu ciżba była wielka, na prostych ludzi wiele baezyć nie potrzebowali.

Zbigniew najrzawszy go, choć chciał mówić, długo z gniewu który go dusił, słowa nie mógł wydobyć.

— Gorąco straszne, miłościwy panie, — rzekł Sobiejucha, — czyby nie zrzucić tego żelaziwa i cięż-

kiej odzieży. Wszak już po wszystkim i strój ten niepotrzebny?

Zbigniew nie odpowiadał, pot mu się lal z czoła, lecz nie ze znużenia, ani ze skwaru, — ze złości.

— Wyrządzili na nmyślnie tryumfy te dla golowasa — krzyknął wybuchając, aby mnie upokorzyć! — Tak, nieinaczéj jest. Chciał król okazać, że on mu najmilejszym, że jemu po nim następstwo naznaczone, że ja z laski tylko ochlap ziemi dostanę.

— O! — uśmiechnął się cicho podszeptując Marko, który swojego pana znał. — O! niezawsze pięści wygrywają, często i głowa! Póki to było nadmorskie walić trzeba po lbach aby w cudze zboże nie lazło, dobry Bolko; jak przyjdzie co mądrze czynić, nie stanie rozumn, chyba go pożyczę, wiem ja u kogo!

— Gdybym się nie zdragał w ten dzień ojcę czynić boln — zawołał Zbigniew, — jechałbym ztąd jednéj chwili precz! — Nasadzili tego opasłego mnicha żeby mu na głos panowanie prorokował i królowanie nademną!

O mnie słowa nie rzekł, jakby mnie na świecie nie było!

Marko coraz już głośnieć wykrzykującego powstrzymał.

— Cyt, miłościwy panie — cyt! aby ludzie nie pochwycili. Niechaj się to wyburzy. Gnie-

wu pokazywać nie trzeba, jak miecza z pochew dobywać, dopóki się uim nie uderzy! — Zawczasu się wydać szkoda! — Niechaj sobie myślą, że śpiemy...

Zbigniew popatrzał nań, pomyślał trochę i gniew począł hamować.

— Dobrześ rzekł—odparł cicho,—gniew zdracą jest. Będę ostrożnym, niech go nie widzą.

Choć pragnął stłumić oburzenie, nie podolał jednak Zbigniew, i ledwie się nieco poskromwszy, rzucił się z żalem i skargą iść do areybiskupa Marcina, który jeszcze był w dworcu biskupim przy kościele.

Nie mówiąc o tem nie Markowi, który jak ciciu włókł się za nim, pospieszył Zbigniew do starego opiekuna swego.

Właśnie był O. Marcin, zdjawszy uroczyste szaty, przyszedł nieco w izbie odpocząć, gdy królewicz wpadł doń z twarzą zaognioną i gniewną. Spojrzał nań zdziwiony kapłan.

— Dziecko moje — coć jest? — zapytał.

— Ojciec mój! — nie ezujecież wy obrazy mój, upokorzenia mego! — wybuchnął wchodzący. Jam dziś nogami strątowny i zgnieciony, sporniewierany jestem, zepchnięto mnie precz, w błoto, zszarzano! — Młodszy brat górą, nawet w kościele, pod bokiem waszym prorokują mu bohaterstwo i panowanie! — Czémże ja? Sługą i podnóżkiem?

Arcybiskup chłodno za rękę go ujął.

— Uspokój się — rzekł łagodnie. — Mnichowi, który się bez wiadomości starszych wyrwał z tym głosem, a który obcym jest i kraju nieświadomym, naganić kazalem tę samowolą.

Zawróciła mu głowę okazała nroczyść, czuł się, jak powiada, natchnionym. *Spiritus flat ubi vult.*

— Natchniony! — rozśmiał się złośliwie Zbigniew. — Tak oni powiadać będą na swe uniewinnienie, w rzeczy inaczej być musi. Mnicha nasadzono, opłacono go, aby ludziom zwiastował, że Bolko jeden tu godzien być królem i panem, że bohaterem jest! Cheiano mnie upokorzyć i poniżyć!

— Dziecko moje! upamiętaj się — przerwał starzec. — Niechaj cię zazdrość nie obłąkiwa, niech ci serca nie psuje. Dwu was jest równych u ojca i w tej ziemi, a kto więcej uczyni i zasłuży, ten pierwszym będzie.

— Tak! z goryczą podchwycił Zbigniew. On od kółki się nosi z mieczem, mnie rzucono za klauzurę, związano ręce, uczono pacierzy nie wojny. Cóżem winien, że mnie ten młokos wyśeignie! Ja paś muszę!

Arcybiskup podniósł rękę i przeżegnał go.

— *Par tibi! par!* — powtórzył kilka razy. — Spowiadał się z tego coś uczul i co rzekłeś, bo niesprawiedliwie obwiniasz ludzi, którzy złej woli nie mają.

Uspokojony cokolwiek wyszedł wreszeie królewicz od arcybiskupa, gdy tuż w progu spotkał oczekującego nań Marka.

— Wasza miłość naradzasz się z księżmi, a tu co innego jest do roboty — rzekł, nalegając. — Chodźmy do ludzi. Mazurów tu dużo, trzeba ich sobie jednać, bo i tych Bolko i jego młokosy pobałamneą. Przecie to kiedyś oni do dzielnicę waszój należeć będą.

Królewicz nie odpowiedział nic, szedł pogrążony w siebie i ciągle jeszcze gniewny. Nim doszli do dworca stanął, kopiąc nogą ziemię.

— Sieciech słuszność miał — odezwał się — gdy chciał zgładzić tego młokosa. On tu wszystko chce posiąść. Jemu mało Krakowa, Sandomierza, Wrocławia, jutro pożąda Płocka i Mazowsza, a dalej Poznania i Gniezna!

Zgubić go trzeba! zgubić!!

Zawołał to tak głośno, że Marko przestraszony za suknię go pochwycił.

— Miłościwy królewiczu — rzekł żywo. — Słyszałem to, nie wiem już gdzie i kiedy u Niemców czy Czechów, że kto słowami zabija, językiem morduje, ten miecz ma tępy. Język najstraszniejszym ręki nieprzyjacielem. Nie mówcie nic, a czyńcie co chcecie. Zgładzimy go, albo on się sam zgładzi, a no o tćm, cicho. Mówił mi stary Strzeżoń, że gdy wczoraj w łaźni się mył, strach był

nań spojrzeć, tak cały siny od pobicia. Kiedyś zbroja nie dotrzyma.

Poszli więc za radą Marka ku stolom. Króla nie było, spoczywał czy spał zmęczony i osłabły, królowa też ze swoim dworem jadła w izbie osobnej. Przy stołach podczaszowie, komornicy, wojewodowie gospodarzyli. Wrzawa i radość były niezmiernie.

Bolko ze swymi dwunastu nowo-pasowanymi rycerzami, osobno na podwyższeniu jadł, jakby mu już miejsce wyższe nad innymi należało. Zbigniew wprost poszedł do niego, i choć siedzenia dlań przygotowanego nie było, kazał je sobie obok Bolka postawić. Przybył tu już z twarzą nie tak zaognioną, został na niej tylko ów wyraz szyderski, który jej był zwykłym. Popatrzał na wesołego brata i rozparłszy się szeroko przy nim, kubek sobie przysunął.

— Pięknie wam ten mnich prorokował! — wyrwało mu się wkrótce. — Kapelan to wasz czy służka?

— Nie znam go wcale — odparł Bolko — i nie rad byłem, że tak nieopatrznie wystąpił. Brzemieniem jest przepowiednię taką nosić na sobie...

I wnet postarał się odwrócić rozmowę.

— Cieszy mnie — odczywał się — iż wszystko składnie szło. Wmieniłem to staremu Mielnic. Ani na cesarskim dworze piękniejby być nie mogło. Królowa nawet, co na nas jak wilki dzikie patrzy

z pogardą, dziś się, słysze, zdumiewała rycerstwu naszym.

— A! Mielno wasz! człek wielki! — odpowiedział Zbigniew, śmiejąc się — on ci to jest pewnie, co dla ozdoby obrzędu i mnicha nie zapomniiał z proroctwem postawić!

Bolko udał, że nie słyszy i wtrącił natychmiast:

— Zobaczycie, co Mielno mój umię. Gdy powietrze ochłodnie, gotuje stary turniej, gonitwę na sposób tych, które się co lat kilka na cesarskim odbywają dworze. Trudno się nam mierzyć z nimi, bo tylu rycerzy jeszcze nie mamy, co oni nad Renem, w Bawaryi, Szwabów i Franków. Na pierwszym takim turnieju, stary nasz Mieszko stawał we trzydzieści dwa hełmy, odtąd my nie chodzimy na nie, bo do cesarstwa nie należemy, choć Czesi na nie jeżdżą do Augsburga, Merseburga i Trewiru. Musimy sobie sami wyprawiać turnieje, tak, jak tam Szwaby, Bawary, Franki, Renanie, mybyśmy Krakowian, Mazurów, Szlązaków, Gnieznań stawić mogli — a no jeszcze ich mało!!

Westchnął Bolko, Zbigniew śmiał się.

— Mierzyć się myślisz z cesarzem! — rzekł — Strzeż się byś ludzi nie śmieszył.

— I na turnieju i w polu bym gotów z nim się mierzyć! — odparł Bolko. — A wy — dodał — chcecieli też stanąć z nami do gonitwy?

— Ja? Nie miałem Michny, co by mnie tej sprawy uczył — rzekł Zbigniew złośliwie. — Gdzie żeście widzieli, aby klerycy do turniejów się brali? a to wszystkim wiadomo, że mnie inaczéj jak klerykiem nie zwiecie.

— Nie ja — odpowiedział Bolko — ja cię zowie bratem.

— Bratem! bratem! — podchwycił Zbigniew cicho. — Dziś to jakoś tak wyglądało, jakbyś mi panem chciał być.

Bolko popatrzał nań.

— Ja?? — spytał.

Starszy odpowiedział mu wzrokiem, którym gniew się zdradzał.

— Hej! hej! mnich to rozumny — przecedził przez zęby — ale i kleryk nie tak głupi, aby się nie poznał, co weń godzi.

Wyrwało mu się to mimowoli prawie, i nim Bolko miał czas odpowiedzieć, Zbigniew dopiwszy kubka, wstał, idąc pomiędzy ludzi, a potem do niewieściego dworu królowej, z którym rad prze-stawał.

Wkrótce potem Bolko ze swymi wyszedł także, gotując się do turnieju zapowiedzianego. Choć Michno stary pragnął bardzo uczynić go prawdziwym turniejem na sposób zachodni, i czasu i miejsca i ludzi po temu nie miał, bo się na gonitwę nie przygotowano, a mało kto do niej miał wprawę.

Zamiast więc zwykłych dwunastu sztuk turniejowych i zapasów, w miejscu sznurami obwieszonym mieli tylko towarzysze Bolkowi i on sam z nimi, występować w całych zbrojach z włóczniami tępemi. Nie było ani listów zapowiednich, ani wójta turniejowego innego nad Michnę, ani wystawiania hełmów i tarczy, ani tego obrzędu, jaki był zwykł wielkim towarzyszyć turniejom.

I tak wszakże nowością było to widowisko dla wszystkich niemal, bo go dawniej na dworze nie sprawiano. Biegali i probowali się ludzie rycerscy często, wobec mnogiego tłumu, jeszcze za Bolka Wielkiego, ale wedle ochoty swój i woli, nie bacząc wiele ani na włócznię, ani na zbroję, ani na niebezpieczeństwo, i nieraz w takiej zabawie, gdy się zaciekli, jeden drugiego na śmierć przebijali.

Gdy naznaczony czas gonienia nadszedł, wyniesiono i króla do przedsienia, królowa też raczyła wyjść z niewiastami, nie żeby starsze panie do rozdawania nagród naznaczyła, lecz żeby się przypatrzeć. Śmiała się, ramionami ruszając i utrzymywała, że w Angsburgu i Halli saskiej, kędy turniejów była świadkiem, inaczej one wyglądały.

Nie było też tu ani tak wspaniale, ni tak gromadnie. Pole między sznurami ujęte, dosyć szczupłe, starezyło ledwie na dwie pary.

Wyjechał naprzód Bolko w całej zbroi, z tarczą i włócznią, na koniu kropierzem okrytym,

a przeciwko niemu jeden z drużyny, bo innego nie znalazł, coby się z nim chciał mierzyć.

Pobiegli na się, tknął włócznią swą Bolka Leliwa, ale się ośliznęła, sam zaś silnie pehnięty w środek zbroi, z konia się zwałił.

Poczém Bolko już więcéj nie chciał się próbować z nikim, aby nie sądzono, że go własna drużyna oszczędza, a obcych nie było. Między sobą z różném szczęściem ucierali się młodzi pasowani dnia tego rycerze, przy oklaskach i okrzykach ogromnych. Padali i dźwigali się, kruszyli kopije, szermowali mieczami, aż wesoło na nich patrzeć było.

Królowa przypomniawszy sobie obyczaj, wystąpiła niespodzianie z podarkami, które cztery najpiękniejsze panie z jéj orszaku rozdawać miały, ale Bolko nagrody odmówił.

Wszystko się powiodło dobrze, tylko zwykły po gonitwach taniec wieczorny, nie poszedł, jak był powinien. Młodzież trochę swawolna znięszala go, a nadehódzący deszcz i burza gwałtowna, zapędziły wszystkich pod dach. do izb, gdzie się już każdy jako chciał zabawiał i wesełił.

Król téż weześnie zniknął i zamknął się u siebie.

Wieczorem, gdy burza przeciągnęła, powietrze ochłódło, z izb znowu na podwórze się powynosili rozweseleni goście. Zbierały się gromadki, witali znajomi, bratali ci co dawniej się nie znali,

oehoczo i wesolo gwarzono i podśpiewywano. Bołko ze swymi siedzial osobno przy Michnie, który o lepszych rozpowiadał turniejach i o piękniejszych paniach, jakie widywał na nich.

Posłuszny radzie Marka Zbigniew po Mazurach chodził, zaczepiając ich i usiłując dobrém słowem a wielkimi obietnicami jednać ich sobie.

Nie wiele jednak ufając królewiczowi, Marko Sobiejucha, który teraz podkomorzego i ochmistrza urząd spokojniejszy wziął na siebie, sam Mazurów zaczepiał, karmił, poił i dwuznacznemi słowy próbował, a zyskiwać się starał...

Na zrzeczności mu nie zbywało. Gdziekolwiek kilku pochwyił, natychmiast rozmowę na pana swego naprowadzał, kłamstwy się posługując.

— O! — mówił poufnie dobrodusznym Mazurom — królewicza naszego Zbigniewa tak znać trzeba, jak ja go od małego znam dziecka. Wielki to mąż do rządzenia stworzony. Nie ujmuję młodszemu królewiczowi, wojak z niego dobry, ale rozumu tego nie ma co starszy! A co warta szabla bez głowy!

Niechno doczekający panowania jego, zrobi on z Płocka stolicę państwa i Mazurom da pierwszeństwo...

Bodaj żyły Mazury, rozumu i męztwa niema nigdzie, tylko u nich!

Klaniali mu się Mazurowie do kolan, a Marko prawil.

— O! o! mąż rozumu też wielkiego Zbigniew królewicz, dlatego arcybiskup Marcin, ojciec nasz duchowny kocha go jako syna, a drudzy nienawidzą.

Uczył się on na księdza, to dosyć powiedzieć. Wszystko umić, zna wszystko, mądry pan, dobrotliwy pan, męzny pan.

Śluchali go milezący ziemianie, niektórzy oglądając się ku Zbigniewowi, aby też zobaczyć, czy mu tak jasno z oczów patrzyło, jak głoszone.

Rozpytywano o życie; Marko opisywał, że był pan pobożny wielce, dobroczynny niezmiernie, gościnny i sprawiedliwy. Nie kosztowało go nic poprzysięgać na to. Sławił nawet męstwo jego okazane pod Kruszwicą, choć tam nie widzieć nie mógł zawczasu uszedłszy z placu.

Tak się tu powoli sposobila i przygotowywała przyszłość, a Sobiejucha, gdyby najmniejszą oznakę po temu schwycił, chętnieby był począł spiskować i znawiać się przeciw królowi i Bolkowi. Ludzie mu się wydali bojaźliwi nadto i ostrożni.

— Król pan nasz miłościwy — zagadywał do nich — tylko że już dysze. Nie wiele mu należy, a jak oczy zamknie — o! pogotowiu nam być wszystkim potrzeba.

Oglądał się czy kto nie mrugnie; Mazurowie popijali i oczy w piwie topili.

— Szkodaby Płocka — mówił dalej — gdyby młodszy górę wziął. Zaraz się wszystko do Kra-

kowa poniesie, a nasz gród opustoszeje. Jeden Zbigniew co to gniazdo kocha i szanuje.

Głowami potrząsali słuchający, ale ani ze słówkiem nie wyrwał się żaden.

— Zbigniew sto razy to powtarzał, że na Mazurach pośrodku państwa chce mieć stolicę — toć serce kraju.

Marko okiem mrugając dodał:

— Dziełnice dwie mogą się kiedyś w jedną połączyć!!

Ręką wskazywał wprawo i lewo, na północ, południe, wschód i zachód.

Trafiał dosyć dobrze w ową miłość, jaką każda ziemia miała ku sobie, więc ją niż państwo kochając. Właśnie się to czuć teraz dawało przy słabszych rządach Władysława, iż każda część, powiat niemal i gród czuł się odrębnym i chciał nim pozostać. Szląsk sobie, Kraków sobie, Mazury, Gniezno upierały się przy osobnym rządzie i bycie. Nicużnie spoglądano na tych, co przodować i skupiać chcieli.

W ten bijąc, mógł Marko pozyskać sobie ziemian tutejszych, obiecując, że oni innym rozkazywać będą.

Gdy Zbigniew i Marko myśleli już o jutrze, gromadka Bolesławowa zabawiała się jeszcze turniejem, zagadywano o Pomorzech, o łowach na dzikiego zwierza. Jeden opowiadał jako szczęśliwie zmógł tura, jak żubra osadził, jak z niedźwie-

dziem się borykał, jak losia pędził; drugi jak jelenie ścigał ze psy i sokoły swe nosił.

Rycerstwo młode nie marzyło o władzy, o panowaniu, ani o kupowaniu sobie ludzi.

Bolko potrzebował tylko swobody, aby mógł, gdzie niebezpieczeństwo się okaże, biedz a potykać się i dokazywać cudów rycerskich.

Tu rozpowiadano wyprawę ową przeciwko Polowcom (przez Sieciecha nasłanym) i o pogromie ich w odwrocie, gdy już łupami obciążeni spoczywali.

O wielkim wojewodzie, który niedawno pannał tu wszystkim, nikt teraz ani wspomniał.

Niepostrzeżony jego wysłaniec wsunął się pomiędzy goszczących, nasłuchiwał, wyzywał nawet przypomnieniem Pałatyna, ludzie się go niezdawali rozumieć. Ci co przypadkiem napomknęli o nim, sarkali nań. Co uczynił dobrego zapomniane było, co złego zrobił o tém dłużej zapamiętano. Nie żałował go nikt, szczególnież ci, co mu byli wszystko winni.

Tajemny poseł ostrożnie tu i ówdzie szepnął o tém, jak to on państwo chciał w jedno połączyć, a silném było; zahukano go, bo każdy lękał się, a ziemia jego drugim nie służyła i słuchać nie była zmuszoną. Przekonać się mógł wyprawiony na zwiady, iż nie miał po co jechać, bo Sieciecha nikt tu nie chciał.

Miał on i do królowej Judyty poselstwo tajne,

a korzystając z powszechnego zamętu, zbżył się z niemi do nićj, właśnie gdy młodemu Niemcowi wesoło się śmiała.

Szepnął jęj coś ostrożnie, sądząc, że bardzo wdzięcznie będzie przyjętym; królowa popatrzała nań zdziwiona wielce, a gdy Niemiec odszedł, zapytała od niechcunia o dawnego ulubieńca. Słuchała roztargniona odpowiedzi.

— Jeśliście od niego przysłani — rzekła — bądźcie ostrożni, nie bawcie tu długo. Gdyby was poznano i schwyceno, z ciemnicyby się wydobyć było trudno. Wojewoda wrogów zostawił dużo, a druhów nie ma. Dobrze mu tak jest, gdy więcej chciał, niżeli mógł.

Królowa miała doń żal srogi, a że oprócz tego poseł był stary i niepoczesny, długo z nim nawet mówić nie chciała. Pierścienia, który na znak przyniósł, oglądać sobie nie życzyła; poszedł więc i skrył się, lękając, aby nie był zdradzonym.

Późno w noc spotkał go Strzeżon w podwórzu, wlokącego się do miasteczka na gospodę.

— Nie mam tu co popasać długo — rzekł mu poseł — bywajcie mi zdrowi; miejsce po nas zarosło, znaków nie zostało... Trzeba na Rusi osiąść i o powrocie nie myśleć.

VI.

Lat dwa upłynęło od owéj pamiętnéj rycerskiéj uroczystości. Pierwszych dni czerwca na zamku płockim w kościele, słyhać było przez dzień cały bijące dzwony.

Nie wołały one na zwykłe modlitwy lud pobożny, ani na ucztę weselną, nie śpiewały tryumfu ani dziękczynienia; zwołna, smutnie jęczeć się zdawały, poruszając bez spoczynku.

W podwórcach widać było stojących ludzi z rękami opuszczonemi, z pochylonemi ku ziemi głowami; duchowieństwo w komżach i kapach czarnych ciągnęło z kościoła na dworzec, którego drzwi i okiennice otworom stały. Wewnątrz mnogie światła gorzały.

Na świecie wiosna była wesola, zieloność młoda, na zamku smutek i trwoga. Zdawano się ocze-

kiwać na coś, wyglądać z obawą, królowej nawet izby stały zaparte i około nich nie było ludno.

Król zmarł.

Dogorywał długo, życiem ciężkiem i tęsknem modląc się o śmierć szczęśliwą, płakał nad sobą i niepokoił losem ziem swoich. Żadnego z synów przy nim w godzinie ostatniej nie było. Bolko na Szlązku we Wrocławiu siedział, Zbigniew w Gnieźnie.

W chwili skonu, dopiero obu im znać dano.

Arcybiskup, którego wieść smutna bliżej zaskoczyła, poprzedził synów i zebrawszy duchowieństwo u zwłok królewskich odprawił za spokój duszy modlitwy.

Pięć dni mijało od śmierci króla, żaden z synów nie przybył jeszcze. Z dnia na dzień czekano na nich z pogrzebem. Sędziwy pasterz gońców za gońcami wysyłał.

Miało się ku wieczorowi, gdy orszak się pod zamkiem ukazał, a po jaskrawych sukniach, kitach i kołpakach, nieładzie, w jakim biegł ku wrotom, łatwo w nim było poznać Zbigniewa. On to był w istocie. Dniem i nocą pędząc bez spoczynku, udało mu się wyprzedzić brata.

Zgraja towarzysząca mu czwałem, z wrzawą wpadła jak do domu na podwórze zamkowe.

Królewicz zsiadł ze spienionego konia, o krok ode drzwi żałobnej komnaty, z której powolny śpiew księży dochodził.

Spoczywały w niej na marach zwłoki Władysława już przydodziane jak do pogrzebu.

Nieśmiano mu na skronie włożyć tej korony, której nie dostał za życia, ale tylko czapkę książęcą. Zamiast berła krzyż trzymał w ręku i tulił go do piersi. Pas rycerski świecił na biodrach, a ramiona osłaniał purpurowy płaszcz bogaty.

Dokoła rzędem stali i siedzieli biskupi, prałaci, kapłani, mnisi czarni, klerycy, pieśni na przemiany zawodząc żałobną.

Zbigniew przede drzwiami stanawszy, rzucił okiem we wnętrze i zawahał się, co miał czynić z sobą. Skinął na Marka, który mu towarzyszył, przyzywając go ku sobie.

— U drzwi skarbcza — odezwał się — straż natychmiast postawić, aby mi się go nikt tknąć nie ważył. Płock i Mazury są moim działem, a co w Płocku jest do mnie należy jednego.

Była to pierwsza myśl syna u zwłok ojcowskich.

Mówiąc to, wahać się nawet zdawał jeszcze, oddali zaraz cześć należną ciału ojcowskiemu, czy pójdzie, gdzie cieleńskość wołała.

W tém zatętniało głucho, drugi orszak konny wjeżdżał w bramy zamkowe.

Był to Bolko z ludźmi swoimi. Bracia zmierzli się oczyma, w których łatwo wyczytać było, że niewielką miłością technęli ku sobie.

Młodszy z konia zsiadłszy, wprost do izby żałobnej podążył, ukląkł u stóp katafalki i na mieczu oparty, modląc się, płakać począł.

Zbigniew, zamiast wniknąć z nim razem, w podwórce został, ani mu ojca żal, ani ludzi wstyd było. Nakazywał wszędzie stawieć strażę i rozporządzał się z nimi, jakby już gród obejmował we władanie.

Do izby, w której księża nucili po cichu, przez okna pootwierane wpadał głos jego chrypliwy, nakazujący, gniewny prawie. Głuszył chwilami modlitwy. Zbigniew zapowiadał bratu i wszystkim zawczasie, że się tu czuje i chce być panem.

Po skończonej modlitwie i ucałowaniu stóp zmarłego ojca, zwolna wyszedł Bolko w podwórze i zażawioném okiem potoczył dokoła.

Zbigniew stał, jakby na niego oczekiwał. W twarzy jego malowała się niecierpliwość człowieka, którzy się trwoży i radby co rychlój przebyć grożące mu niebezpieczeństwo.

Patrząc na Bolesława, umyślnie w głos powtórzył wydane rozkazy:

— Straż mi postawić u skarbcu, objąć zamek. Aby mi się tu nikt nie tknął nie ważył i nie śmiał.

Bolko zarumieniony, ręką wskazał na otwarte drzwi izby, w której zwłoki ojca złożone były.

— Nie pora nam myśleć o ojcowskich skar-

bach, ani o tém, co do kogo należeć będzie. Nie zmuszajcie mnie, abym i ja strażę stawiał, a o prawa się moje upominał.

— Jakie prawa? — gwałtownie wybuchnął Zbigniew. — Płock jest moją dzielnicą, a co w nim to moje. Starszym jestem i młodszego nie dopuszczę, aby mi przodował.

— Jam syn królewski — odparł Bolko — tyś syn ojca naszego z pierwszego małżeństwa swobodnego, z łaski przypuszczony do równości ze mną. Z łaski!!

Skarby ojcowskie do mnie należą!

Zbigniew zbladły, z oczyma zaiskrzonymi rzucił się na Bolka.

— Ani mi śnięj tego rzec raz jeszcze! — zakrzyczał. — Pochwycić cię każę i rozbroić, a nie będę w tobie znał brata!

Bolko zmierzył go pogardliwym wzrokiem.

— Ty! mnie! — rozśmiał się — ty! Zapytaj co ciebie czeka, gdy litość i cierpliwość moją wyczerpiesz. Ty przybłędo jakiś!

Zbigniew ręką chwycił za miecz, Bolko uderzył dłonią po rękojeści swojego i krok ku niemu postąpił. Kleryk cofnął się nieco strwożony. Oba drżeli z gniewu i oczyma na siebie pioruny ci-skali.

— Zdzisław Belina! — zawołał Bolko — straż mi postawić u drzwi skarbcu, a kto będzie śmiał

się zbliżyć do nich, wiecie co z nim czynić. Macie miecze u boku.

Ruszyli się natychmiast Bolesławowi, których, choć gromadka była mniejsza, nikt nie śmiał przeciw nim występować. Znano, co mogli.

— Nie ważcie mi się nie tknąć! — zahuczał Zbigniew. — Zamek mój, jam tu panem!

Nie słuchając tego wierna drużyna Bołka, na skinienie jego już się rozchodziła. Wzrok młodszego padł w tej chwili na otwarte drzwi, przez które ojca ciało i twarz zżółkłą widać było. Zawstydzził się i ocknął.

— Zbigniewie — rzekł łagodniej — nie pora przy zwłokach ojca, które na pogrzeb czekają, wyzywać się braciom i waśnić! Niech ciału oddana będzie cześć, rozprawiemy się później z sobą.

— Tak! Byś nim się pogrzeb odbędzie, opanował co należy do mnie — począł starszy. — Ja cię znam!

I znak groźny ręką zrobił Bołko wzruszył ramionami.

— Nie wyzywaj mnie! — zawołał — nie wyzywaj mnie w tej godzinie, gdy ból mój podwaja gniew i wzdargę dla ciebie. Powtarzam ci, nie wyzywaj, byś nie żałował.

— A ja ci mówię — krzyknął starszy — nie śmiěj następować na mnie i na prawa moje. Mam siłę większą od twojej, zgniotę cię. Ty tu stać

nawet nie masz prawa, zamek mój, ziemia moja, wszystko moje — precz!!

Uniósł się Zbigniew, lecz jeszcze słów tych nie dokończył, gdy Bolesław, który miecza nie dobył tylko przez poszanowanie dla zwłok ojca, poskoczył wołając:

— Precz ty ztąd, przybłędo nikezemny! Bez-wstydy chciwce i przechéro!

Natarł tak na Zbigniewa, że ten przelekły cofać się począł i na ludzi swych ogłędając, wołał:

— Ty! do mnie! do mnie!

Dwór Zbigniewa nie śmiał się przybliżyć, bo i Bolesława młodzież nadbiegała. Marko z towarzyszami opodał stał, miotał się, ruszał, ale przystąpić nie miał odwagi.

Bołko gnał tak cofającego się brata z nsty zacisniętymi, z twarzą wykrzywioną, aż do ściany przyparł.

— Jak ci nie wstyd! — wybuchnął, o krok się zbliżywszy, mierzając go oczyma pełnemi wzgardy — jak ci nie srom tych ludzi, jeżeli się nie wstydzisz sunienia własnego. Nie oddałeś nawet czei zwłokom rodzica, pierwsza myśl twoja łupież! Nie umiesz nic zdobyć na nieprzyjaciela, a chcesz wyrwać bratu. Ty! ty!

I groził mu ściśniętą ręką.

Zbigniew trząsł się, wołając ciągle na swoich.

— Sam do mnie!

Ludzie onieśmieleni stali, nie pornszając się, patrzali po sobie, nikt pierwszym być nie chciał. Bolesław oczyma go pałił i byłby zgniótł, gdyby majestat miejsca tego i godziny, nie osłaniał słabego przeciwnika. Wstrzymywał rękę, która ciągle na miecz spadała.

Wrzawa ta z podwórza doszła wreszcie do izby żałobnej, arcybiskup strwożony, przeczuwając co się stało, w czarnej kapie, w mitrze, z łaską pasterską w ręku, wychylił się na przedsięwzięcie — podслуchał spór, patrzył na wasń braci! przerażonemu tém, co oczy jego widziały, głos zabrakło.

Domyślał się, kto był przyczyną gorszącego sporu, ze słów, które podchwycił.

— W imię Boga ukrzyżowanego! — zawołał naostatek — hanńcie się! Upamiętajcie! kto z was wszczął ten spór, królewiczu Zbigniewie!

— Ojcie — odparł głosem drżącym, nie śmiejąc od śeiany odstąpić krokiem Zbigniew. Ojcie! jam nie winien! Upominam się o to, co mi należy! Skarby po ojcu są moje! Starszym jestem. Płock jest mojem dziedzictwem.

Nie nie mówił Bołko, patrzył na arcybiskupa.

— Kazałem strażę stawić u drzwi! — mówił Zbigniew dalej — bo wiem, że tu będą czyhać na własność moją.

Biskup w ziemię łaską uderzył.

— Królewiczu Zbigniewie — odezwał się — wie-

cie zaprawdę, iż wam sprzyjam. Ratowałem was z więzienia, wolność wam wyprosiłem, przyznanie synem, przebaczenie! Ilamujecie się, abym się nie stał sędzią waszym i nieprzyjacielem!

Nie macie słuszności za sobą!

— I wy przeciwko mnie jesteście! — wykrzyknął Zbigniew. — Wy, ojcze!

— Jestem za sprawiedliwością — rzekł arcybiskup surowo. — Porzućcie ten spór bezbożny, idźcie pożegnać ojca, aby nim cześć ostatnia oddana była, a mógł odpocząć w spokoju...

Ręką drżącą nakazująco wskazał na drzwi izby otwarte.

— Byliście świadkami — odezwał się Bolko — że zaledwie przybywszy powinność spełniłem u nóg rodzica.

Zbigniew stał ze spuszczonemi oczyma i gryzł wargi.

— Mnie nawet na modlitwę nie dacie spokoju! — zawołał — nie mogłem wniknąć! Drogę mi zaparto.

— Nie pora się tu rozpierać o prawa — przerwał ojciec Marcin — nie pora spór wszczynać. Oto pięć już dobieg czekają na was te zwłoki i proszą, abyście je pogrzebać dali.

Idźcie, idźcie!

Ręką ciągle na drzwi wskazywał.

Ruszył się Zbigniew, lecz zwrócił do swoich ludzi.

— Pamiętaście — rzekł — abyście mi na chwilę drzwi skarbcza nie opuszczali. Gdzie podskarbi?

Z tłumu, który ten spór zgromadził, wystąpił stary Zbilut Podkowa i w milezeniu się poklonił

— Klucze mi dajcie! — zawołał do niego Zbigniew.

— Nie waż mi się tego czynić! — zagrmiał głos Bolka.

Arcybiskup załamał ręce. — Była chwila groźnego milezenia. Żaden z braci ustąpić nie chciał.

W tém arcybiskup wystąpił z całą powagą wieku, dostojęństwa i nroczytęj chwili.

— Nim nowego pana dostaną te ziemie — odczwał się — jam opiekun ich i zwierchnik. Rozkazuję ci Zbilucie, abyś klucze zachował przy sobie, dopóki my, duchowni ojcowie i wykonawcy woli zmarłego króla, spornie rozstrzygniemy.

Podskarbi sklonił się i ustąpił natychmiast, aby więcej pozywany nie był. Bolko też oddalił się i kilka słów szepnąwszy swęj družynie, ani patrząc już na Zbigniewa, posunął się ku izbie, w któręj ciało wystawione było.

Sam jeden pozostawszy ze Zbigniewem ojciec Marcin, ręce podniósł do góry i odczwał się głosem przejętym żaloscią.

— Nad sobą miejcie litość! Ażali to postępek dziecięcia? Chcecie być synem królewskim, a rodzica uczyć ani oplakać nie umiecie. Ten synem

jest tylko, co pobożnym dlań był i posłuszném dziecięciem.

Zgromiony Zbigniew spuścił głowę, lecz widać było, że uległ raczej z musu niż skruchy. Patrzali nań ludzie zgromadzeni z obawą, a razem i wstrętem jakimś, on sam sromił się postępkowi swego, ale go się nie kajał. Wolnym krokiem począł iść za starcem ku drzwiom, namyślając się i ociągając, gdy arcybiskup pochwycił go za rękę i niemal siłą poprowadził przed ojcowskie zwłoki.

Nie można już było dłużej ociągać się z pogrzebem. Ludu tysiące oczekując nań stały pod zamkiem; Mazurów, Polan, Szlązaków, starszizny, ziemian, urzędników, zebrane tłumy zalegały wszystkie podwórza, przygotowania były uczynione, spieszono więc z ostatniemi obrzędami.

Nim wieczór zapadł, zwłoki złożono w trumnie dębowej i niesiono ją okrytą do kościoła.

Liczne duchowieństwo, dwaj synowie, córki, dwór postępowały za trumną przez komorników w czerni odzianych niesioną, królowej Judyty nie było tylko, o której powiadano, iż leżała chora.

Niesiono oznaki władzy, miecz królewski czapkę książęcą, laskę wodza, tarczę malowaną, broń pańską, wiedziono konia okrytego kapą czarną. Kościół napelił się pobożnemi i pamiętnemi dobroci pana, który choć słabym był, ani okrutnym, ani bezlitosnym nie okazał się dla nikogo.

Na całą noc, mieniając się, duchowieństwo pozostało przy ciele, nuąc psalmy i odmawiając modlitwy.

Sędziwy arcybiskup Marcin, obawiając się aby Zbigniew i Bolko znowu zwady nie rozpoczęli, pod klątwą zakazał im, aby się nie wazyli rozmowy nawet wszczynać z sobą.

Zbigniew jednak, jak tylko w kościele nabożeństwo się skończyło, pospieszył na zamek ku swoim. Stał tu na czatach, oczekując nań Marko, który zawsze był prawą ręką gnusnego pana.

— Straże u skarbeca? postawiliście? — zapytał pospiesznie książę.

— Podwójne stoją — rzekł Sobiejucha — pana Bolkowa u drzwi samych, a nasze trochę opodał razem ich i wnijsia pilnują.

Zagniewał się pięści podnosząc Zbigniew dlaczego nie dobiegli pierwsi!

— Byłaby się krew polala — odparł Marko, a nas by o to obwiniono. Gdyby choć kropla krwi wytoczyła się czasu pogrzebu, dusza nieboszczyka nie miałaby spokoju i mściłaby się na was.

To mówiąc, głową potrząsał Marko.

— Ta drużyna Bolkowa — dodał — to paskudny lud jest, bo milczkiem kąsa. Nasi zwykli krzyczeć, a z temi wrzawą nie zrobić nie można bez żadnego względu i pamięci od razu po łbach wałą.

Z niemi, trudno.

— Naszych przecie daleko więcej jest — zakrzyczał Zbigniew — zgnieliby tę garść! — Idź mi po mazowieckich ziemianach, przy mnie wszyscy stać powinni. Skarbów tych część jakaś i im się dostanie, gdy mi pomogą utrzymać się przy nich.

Sobiejuha stał zadumany. — Pomimo nadziei poparcia przez Mazurów, walka w tej chwili zdawała im się niedorzeczy.

— Miłościwy panie — rzekł cicho, gładząc się ręką, — króliewicz Bolko ma tu też swoich druhów, co z nim chadzali na Pomorców. — Ostrożnie się brać potrzeba — wszystko ludzie są tacy, że wnet rąbać się gotowi i nastraszyć się nie dają.

Nasi do bitwy nie bardzo wprawni. A tu w tych kątach i ciasnocie, jakbyśmy się poczęli ścinać, i dla was nie byłoby bezpiecznie, mógłby który naskoczyć zniemacka.

Skończyło się na tém, straże wszędzie zostały podwojone. Noc upłynęła spokojnie, ale drużyna Bolkowa i Zbigniewa ani usnęła, ni się rozbrajała; jedni z drugimi ucierali się na słowa, docinając sobie i swym panom wzajemnie. W powietrzu czuć było walkę.

Ci, którzy na straży nie stali, podzieleni na osobne gromady obozowali w podwórzach, podpatrując się i oczyma mierząc nieufnie.

Jak dzień odczwały się znowni dzwony żałobne. U trumny stał Bolko a opodal od niego Zbigniew, arcybiskup mszę uroczystą odprawiał,

a gdy ostatnie pieśni przebrzmiały, zabita już trumnę, na dany znak spuszczone do otwartego wśród kościoła grobu, nad którym kamienny pomnik miał stanąć.

Choć w ciągu lat ostatnich, chory król prawie zaponmiany dogorywał, gdy trumnę spuszczać miano, rozległy się po kościele jęk i płacz dworu, komorników, czeladzi, która starca kochała i litowała się nad nim.

Bolko upadł na trumnę i objął ją rękami zachodząc się od łkania; Zbigniew pozostał nie ruszając się chmurny i blady, jakby ten cały obrzęd nie obchodził go wcale.

Z kościoła wprost na stypę, ów chleb żałobny, który był w obyczaju, szli wszyscy ku zamkowi.

Arcybiskup Marcin, choć znudzony wielce i bezsilny, kazał się także prowadzić, chcąc czuwać nad porządkiem i zgodą dopóki by zwaśnionych braci nie przejednał.

Obecność jego hamowała wszystkich, nie śmiano poczynać nic. Bracia tylko osobne zajęli stoły, Bolko ze swemi jak najdalej od Zbigniewa, który też otoczyć się kazał drużynę, lękając napaści.

Dokoła arcybiskupa zgromadziła się zwołana przez niego, sędziwsza starszyzna, wojewodowie, starostowie, dostojnicy dworu, ziemianie i władcy. Chciał O. Marcin z ich pomocą spór o dział i władzę zwierzchnią rozstrzygnąć.

Dopóki uczta trwała mówiono pocichu, gło-

sząc tylko pochwały zmarłego, pobożność jego szczególnie, bo tą się najwięcej odznaczał.—Nikt też na nim krwi nie posznkiwał, bo przebaczał chętnie, a karał mało.

Dawszy znak swoim, wstał potem arcybiskup i przeszedł ze starszyzną do tej izby, z której wczora zwłoki króla wyniesiono. Tu osobne siedzenie dla arcybiskupa i duchowieństwa było przygotowane: ławy dla starszyzny, dla królewiczów stolki suknem okryte. Oba wiedzieli, iż zawołanemi będą jako przed sąd pod pasterską łaskę.

Obok O. Marcina miejsca zajęli Baldwin nowy biskup krakowski, francuz rodem, ciemnego wlosa, oblicza więcej ryeerskiego niż kapłańskiego, następcą po zmarłym od roku Lambercie, Paulin kruszwicki, Dyonizy poznański, Filip plocki. Za niemi zasiadali wojewodowie, starostowie i różnych inion i dostojności starszyzna, jaka na pogrzeb zjechać mogła. Wśród niej otyły Magnus wrocławski, jedno z pierwszych miejsc zajmował.

Zaledwie się tu zgromadzili, gdy Zbigniew choć niepowołany jeszcze, pospieszył pierwszy rozogniony i niecierpliwy, aby się nie dać uprzedzić.

Bolko zobaczywszy go wychodzącego, wstał także, wiodąc z sobą dawnego ochmistrza Wojysława, Żelysława Belinę mężnego dowódcę, Skar-

bimierza, Pawła i kilku innych mężów rycerskich a poważnych.

Zbigniew zaledwie się ukazał, nie zważając na areybiskupa, na duchownych, ani starszyznę, do której zagajenie sprawy należało, podniósł głos z butą wielką i hałasem, chcąc mówić za sobą.

Nie podobało się to wszystkim, i arcybiskup nawet niechętnie głową potrząsał.

Wśród rozpoczętej właśnie gwałtownej mowy, w której się o prawa do Płocka i do skarbów ojcowskich dopominał, wszedł zwohna z powagą rycerską otoczony drużyną swą Bołko i zajął przeciwną izby stronę, mowy bratu nie przerywając.

Zbigniew własnymi wyrazy rozogniał się coraz bardziej i głośno wykrzykiwał.

— Nie ustąpię, nie dam złąd ani pruszyny, pokrzywdzić się nie dozwolę. Co na zamkach w Krakowie i Wrocławiu jest, do tego ja nie rozszczę prawa, ale co mi należy, nie dam!

Wszystko tu mojem jest!

Gdy to mówił, ślina mu z ust pryskała, język się z gniewu plątał, pięści podnosił, nogą tupał, myśląc może, iż tém zastraszy brata. Bołko zachował się spokojnie. Gdy potok ten wyrazów wylał się cały, pomilczał trochę i ręką uderzył po mieczu, który zabrzęczał.

— Praw moich dowodzić nie potrzebuję, rzekł krótko, — wie cały świat, że jestem synem kró-

lowej, gdy ten oto dzieckiem jest niewiasty, którą ojciec miłował nie poślubiwszy. Wie to cały świat, że go do klasztoru dano, aby ukryć srom urodzenia. Z łaski go król przyjął, na prośby ojca naszego Marcina, z łaski mu dział dano. Ten ci dziś wszystkiego chce, gdy do niczego prawa nie ma!

Dumnie popatrzał Bołko.

— Hanuj się miłościwy królewiczu, — podnosząc ku niemu rękę, przerwał arcybiskup. — Ktokolwiek on jest, bratem twym uznał go ojciec, dział mu naznaczył, chciał abyście żyli w zgodzie. Na to przysięgałście żywemu, dotrzymajcie umarlemu, aby dusza jego spokój miała.

Jęczęc będzie utrapiony na świecie drugim niezgodą waszą.

Chciał król abyście się dzielili państwem, w tém i skarb objął, który do jednego nie należy, ale dwu wspólnym jest!

Baldwin biskup krakowski, który niedobrze jeszcze rozumiał polską mowę, kazał ją sobie tłumaczyć, i dodał po łacinie.

— Sprawiedliwa ze wszech miar jest, aby skarb królewski tak samo jak państwo był podzielony — a któremu ojciec dwie trzecie ziemi przysądził, ten i dwie trzecie skarba wziąć powinien.

Arcybiskup gnieźnieński zachmurzył się nieco usłyszawszy ten wywód, lecz krakowskiego pa-

sterza poparli wnet Paulin, a nawet Dyonizy. Zbigniew, który łacinę zrozumiał, zachnął się straszliwie za głowę porywając.

— Sprawiedliwém to jest, dodał Bolko, nie żebym ja przez chciwość skarbów więcej pragnął, ale przeto, że Zbigniew wojny nie zna, nie lubi i nie chodzi na nią. Mnie ludzi zaciągać, mnie kraj obraniać, mnie nieustannie na czatach stać potrzeba.

Potwierdzali biskupi, szmerem potakiwali ziemianie. Zbigniew bladej ogładał się wkoło, nikogo za sobą nie mając oprócz arcybiskupa, który choć był za działem połowicznym, sam przeciw wszystkim stawać nie chciał.

— Dzielcie wedle prawa Bożego i sprawiedliwości — dodał Bolko — co wyrzeczecie, ja jako posłuszny syn kościoła, przyjmuję za dobre.

Zbigniew zamilkł, dziki uśmiechł twarz mu krzywił.

— Słabym ja dziś tu się widzę, rzekł cicho — a no by drażnić i małego nie przystało, bo pokrzywdzony znaleźć może sojuszników i pomoc.

— Pomniście słowa ojca — odezwał się Bolko — które zapisane są, że kto z nieprzyjaciół i wrogami wiązać się będzie, temu dział jego i ziemie odjęte być mają.

I, jak miał zwyczaj, po mieczu ręką uderzwszy, stał milczący, a na pozór obojętny.

Skinieniem powołał ku sobie Zbigniewa arcy-

biskup, który ociągając się postąpił ku niemu. Otoczyli go tu duchowni i poczęli zeicha składać, a zmuszać niemal do zgody i pokoju.

Bolko ze starszyzną rozmawiał swobodnie jakby go ta sprawa cała mniej obchodziła. Cisnęli się doń z ław powstając niektórzy, przypominali mu, do kolan schylali, uśmiechali radzi, że go widzą i słuchają. Tu już o wojnie zagadywano.

— Niezawiele nas dwu na to państwo, — rzekł do otaczających Bolko, — waleczyć mamy z kim. Bodajem nie zgadł, Czechy na nas czyhają, Pomorcy nie śpią, a zemstą dyszą, z cesarstwem też przyjdzie się rozprawić pewnie, bo Niemcy sobie do hołdu roszczą prawa, któregośmy nie winni — ani Mieszko pierwszy, ani Bolko syn jego nie służyli z ziem zdobytych cesarzom. Szli im w pomoc jako druhowie i panowie chrześcijańscy nie jak słudzy.

Wszyscy się głośnie ozwali.

— Tak ci jest! tak! wolni byliśmy i będziemy! Swoich panów mamy!

Gdy się tu toczyła rozmowa biskupi naciskali Zbigniewa, który przynaglany opierał się coraz słabiej, złość biła z jego twarzy, chęć zemsty okrutna — lecz musiał się poskramiać, aby nie pogorszyć swęj sprawy.

Padł tedy wyrok wedle wyrzeczenia Baldwina krakowskiego, Zbigniew z zagryzionemi usty go słuchał. Bolko głowę skłonił.

Arceybiskup z siedzenia się podniósł.

— Nie dosyć na tém — rzekł. — Niechy uczy-
nioném nie było, gdybyście sobie jako bracia rąk
nie podali, nie poprzysięgli zgody i miłości.

Zbigniew cofnął się słysząc to.

Arceybiskup zmierzyl go wejrzeniem surowém.
Potrzeba było znowu namowy, próśb, nacisku
duchownych, aby go zmusić do zwrócenia się ku
bratu. Ruch ten postrzegłszy Bolko, sam wyszedł
przeciw niemu z pogodną twarzą i rękę pierwszy
wyciągnął.

Rad nie rad Zbigniew dłoń podać musiał.

— Bracie — rzekł — nie ostoi się ziemia na-
sza bez zgody, ja tobie, ty mnie pomagać bę-
dziesz... Jam człowiek miecza i wojny, pójdę na
wrogów za ciebie i za siebie, ty czuwaj w domu
i porządku strzeż.

Będę ci wiernym, skoro ty mi nim być ze-
chcesz.

Zamruczał kilka słów niewyraźnych starszy,
a widać było, że na nim polegać nie mógł Bolko,
rachowano na to, że czas gniewy złagodzi, a siła
sama spraw wspólnych zbliży braci.

Nazajutrz rano z obu stron do działu wyzna-
czeni panowie, weszli do skarbcza królewskiego,
ze Zbigniewem i Bolesławem razem.

Izba była wielka, ciemna, warowna, cała
z muru grubego, z kratami w oknach żelaznemi

i drzwi miała podwójne kute, drągami ciężkimi założone.

Nie były to owe niezmierzone skarby Mieszka i Bolka Wielkiego, ani się nawet ze Szczodrego bogactwy porównać mogły, ale skromne życie króla, wojny szczęśliwe za czasów Sieciecha, dozwoliły zebrać dosyć srebra i złota.

Leżały stosami sztaby grube i bryły, stały mnogie naczynia, misy, dzbany, kubki, blachy ozdobne; wisiały kosztowne szuby i suknie.

W osobnych skrzynkach co droższe ozdoby stroju, łańcuchy, pasy, kolce, pierścienie, złożone były i wysoko w owych czasach cenione wonności i balsamy ze wschodu przywożone.

Wzięto na wagę grzywien kruszce, na liczbę odzieże, opony, sukna w sztukach, jedwabne tkaniny, bisiory, kozuchy i skórki sorokami powiązane.

Pożądliwemi oczyma mierzył to wszystko Zbigniew, gdy Bolko po skrzynkach spojrzawszy, rzekł na jednej z nich kładąc rękę.

— Przysądzono mi dwoje trzecich bracie — tak li?

Głową potwierdził Zbigniew przeczyć nie mogąc

— Bierz połowę — odezwał się Bolko, — ale to niech będzie mojem.

W skrzynce leżały proste obręcze złote, korony przyniesione przez Kazimierza, Chrobrego

Szczerbiec, i włócznia św. Maurycego, która berłem była.

— Zgoda li? — spytał Bolko.

Zbigniew widział w tém tylko kruszcu wagę i cenę, nie obchodziły go uświęcone pamiątki, wzruszył ramieniem.

— Zgoda! — rzekł obojętnie.

Bolkowi zajaśniały żrenice i Szczerbiec ująwszy jedną, włócznię w drugą rękę, zdjął kołpak obie ze czciał całując.

— Dziełcież, mili panowie jako chcecie — zawolał, — ja mojej części najdroższą częśćkę zabieram!

To mówiąc, mieczyk przycisnął do piersi i pokłoniwszy się, wolnym krokiem wyszedł ze skarbcza, komornikom za sobą rozkazawszy nieść korony.

Gdy się odwrócił od Zbigniewa, ten szyderskiem okiem powiódł za nim.

— Polowa moja! — krzyknął radośnie — polowa moja!

Starszyzna potrząsała głowami, widząc w tém złą wróżbę, że przez chciwość królewicz sprzedał koronę i berło.

Szeptał mu coś Marko na ucho, który bardzo pilnie działu doglądał.

— Gdy kraj posiędę — rzekł pogardliwie Zbigniew, koronę mi złotnicy ukują, a arcybiskup ją poświęci. Potrzebniejsze mi złoto i srebro, niż stare żelaztwo.

Nie ustąpił troskliwy o swe mienie Zbigniew, dopóki mu część jego wydziclona nie została. To co Bolkowi należało, czeladź jego w skrzynie składając, natychmiast wynosiła.

Wieczorem już wiedzieli wszyscy, komu się korony obie, berło i drogi dar Ottona, włócznia, jak relikwia szacowana — dostała, arcybiskup westchnął i szepnął.

— Bądź wola Twoja!

VIII.

Od Szczodrego czasów nie widział Kraków takiego napływu ludu i takiej wrzawy wesołej, jaka tu teraz panowała.

Dwa lata już upływały od śmierci Władysława króla. Bracia rozstawszy się w Płocku po pogrzebie, przejednani na pozór, podawszy sobie dłonie, pokój poprzysięgłszy i zgodę, już prawie nie spotykali się z sobą.

Zbigniew siedział na grodach swoich beczynny a zazdrosny, poglądając zdala na brata.

Płynęło mu życie na strojeniu dworu i na przechwalaniu się przed swojemi, na okazalych występach i gnuśnym spoczynku, w którym roily się myśli ambitne. Chciano go żenić, lecz że po myśli nie mógł, bo za wysoko patrzył, a dla niepewnego urodzenia sięgnąć nie mógł do książęcych

córek, zwlekał z Niemkami czas spędzając, których oprócz Greta kilka młodszych było zawsze na pańskim dworze i w łaskach.

Z większych rodów królewskich nie chciano mu dać córki, z pomniejszych grafskich, których siła w Niemczech była, on brać nie życzył, w Rusi nie smakował, bo wychowaniem na pół Nieniec był. Beżennym więc pozostał i klerykiem go po staremu przezywano. Pocieszając się mawiał, że gdy korony dostanie, łatwo mu będzie i o królowę.

Postarzała Greta, młodsza Maria z Halli Saskiej zabawiały go, gdy się znudził z Markiem i jemu podobnemi, którzy słuchać i poklaskiwać mieli obowiązek. Zamknięty w Płocku, jak zwierzę w jamie, który na pastwę czatuje, Zbigniew ledwie z grodu głowę wychylał. Oslaniał się milczeniem od obcych.

Wiedziano przecie w Krakowie, że do Czech posyłał potajemnie, sam do Borzywoja jeździł i z Pomorcami miał porozumienie.

Na wojnę nie chodził wcale, ludzi swych na nią nawet dawał niechętnie; czyhał na to, ażeby Bolka pobili nieprzyjaciele, naówczas zbierając się nań uderzyć. Tak rachował i swoim pociechu rozpowiadał. Bolkowi zaś szczęściło się na podziw, wychodził z walk zwycięzko, złość, gniew i zadróść rosły w Zbigniewie.

Panowie duchowni, a szczególnie Baldwin bi-

skup krakowski, obawiając się, aby młody pan, bezzennym będąc, ciągle z żołnierstwem obcując, przebiegając kraje różne, nie nabrał złych obyczajów (choć pobożność od tego strzegła), ożenić go postanowili.

Niemki Bolko brać nie chciał, aby z nią na dwór nie wprowadzać obcych i nieprzyjaznych ludzi. Czeszki wziąć nie mógł dla blizkiego pokrewieństwa, a niczbyt przyjaznych stosunków, z Rusi więc musiał, choć także blizką krewną zaswatać, aby żony dostać. Rajono mu kijowską Zbislawę, a papież Paschalis II na wstawienie się Baldwina biskupa dał zezwolenie na te śluby.

Cieszyły się wszystkie ziemie, Kraków teraz stolica znown, dworami ziemian, rycerstwem i gośćmi był przepelniony.

Co chwila nowe poczty i nowi ludzie przybywali. Miasto, podzamecze, zamek, wsie okoliczne pełne ich były.

Starzy patrząc na Bolka, dawn dawnych Bolesławów przypominali, tak wspaniale, obficie i pańsko występował młody królewicz.

Tydzień jeszcze było do wesela, skarbiec ciągle stał otworem; ktokolwiek na dwór przybywał musiał dawnym obyczajem przyjąć suknię bogatą, bławatną, sznubę okrytą złotogłowem, naczynie złote lub srebrne, wedle dostojenstwa. Zasłużonszym nadawał Bolko ziemie i grody; kłasztorom pola, stawy, dziesięciny, rybne łowce, la-

sy, osady. Nie było i jednego człowieka, któryby odszedł z rękami próżnemi.

Na zamku okazały dwór pański, nanowo przybrany i uzbrojony, pacholckowie, czeladź, urzędnicy, wszystko wyglądało rzeźwo, ochocze, wesołe, jakby już królem był książę krakowski.

Wyprawieni przez Bolka z zaprosinami do Plocka ksiądz Hilarion kapelan książęcy ze Skarbimierzem wojewodą, ruszyli zawczasu, aby mieli porę na wesele powrócić, które z uroczystością wielką odbywać się miało.

Zaden z nich nie widział dworu Zbigniewa, a wystawiali go sobie podobnym wspaniałością i powagą do krakowskiego.

Ksiądz Hilarion pobożny, dobroduszny kapłan cichy i spokojny, posłanym był, aby mówił i namawiał jako orator; Skarbimierz bowiem rycerz mężny, ulubiony Bolkowi, dodany dla powagi, wojak i mąż umysłu bystrego, niechętnie i niełatwo się na słowa zdobywał. Mowę miał krótką i nieuczoną. Patrzył za to bystro i oka jego nie nie uszło. Nie szkodziło, żeby się bliżej rozpatrzył w Plocku, gdyż wieści z tamtąd przychodziły osobliwe, groźne. Rozpowiadano, że Zbigniew znowy czynił potajemne przeciwko bratu, i właśnie czasu wesela, korzystając z tego, że wszyscy się mieli gromadzić w Krakowie, nasłać miał na kraj Czechów i Pomorców sprzymierzeńców swoich.

Nie wierzono pogłoskom, oburzał się Bolko

szlachetny, inni też nie dawali wiary, lecz ostrożność nie wadziła.

Wypadło tak, że dla uniknienia skwaru, lato bowiem było, dodnia dojeżdżali ku Płockowi wysłani z pocztą dosyć licznym, gdy na gościńcu od grodu wiodącym spostrzegli kilkanaście koni, a między nimi starszynę jakiegoś (co po stroju i zbroi poznać było można). Jadący poczet przeciw sobie zoczywszy, nagle rzucili się w bok na pola i manowce i w zaroślach znikli im z oczów.

Chociaż dzień jeszcze niedosyć był jasny, a gromadka ta szybko uchodziła, bystry wzrok Skarbimierza, który niejedną raz z Pomorcami się ścierał, po kroju odzieży, broni i zbroi poznał nieprzyjaciela.

Pomocy to byli. Co oni tu, wpośród kraju wrogiego im, pod samym niemal grodem robić mogli, w małej kupce tak bezpieczni? Zdumiał się Skarbimierz. Nie jednak, nawet ojen Hilarjonowi o tem co widział nie powiedziałszy, przy sobie to zatrzymał.

Do miasta zbliżając się, gdy już dzień robił się jasny, nikogo więcej nie spotykali, oprócz trzód, które na pasze pędzono, koni powracających z noclegów i pieszych ludzi idących w pole.

Mizernie, ubogo i nędznie lud Zbigniewa wyglądał; na podzamczu też co żyło również licho i odarto się ukazywało, a gdy na zamek zjechali i wojsko książęce zobaczyli, niezdarnie, opu-

szczone, samopas chodzące w odzieży brudnej — poznał Skarbimierz, iż tu życie całé inne być musiało niż w Krakowie.

Gdy się goście ukazali, a oznajmiono o nich, wnet ze wszystkich kątów poczęły się wysuwać postacie różne, jedna od drugiej dziwniej wyglądające. Młodzież błada i jakby po nocném pijanstwie niewywczasowana, kobiety z włosami rozpuszczonemi, starzy jacyś nieponie w odzieży łatanej, dwór i komornicy nieumiejący się pokłonić, a patrzący dziko i dumnie nie jak na sługi przystało.

Ktoś pobiegł zbudzić śpiącego jeszcze Marka Sobiejuchę, ochmistrza dworu, który zaledwie oponczę narzuciwszy, wywłókł się naprzeciw nim na powitanie.

Królewicz, choć godzina była późna, także spał jeszcze i wylegał się, tymczasem posłom ukazano izby, zapowiadając rychło jadło i napitek, ale z tém nie szło sporo. Ładu nigdzie nie było, krzyki i hałasy, bieganie po dziedzińcach odzywały się niestórnie, dawano rozkazy popierając je kłátwami, nie było słuchać komu.

O. Hilarjon nimby pan wstał i posłuchał ich, poszedł na mszę do kościoła, Skarbimierz siadł oknem wyglądać na to zgnędniale teraz i opuszczone zameczysko. Wszystko tu opadało i chyliło się, dachy, ściany, budowle i szopy utrzymane niechlujnie, konie chodziły chude, ludzie bledzi

z twarzami podrapanemi. Spierali się jedni z drugimi i rozkazywali a klócili — posłuchu i karności nie było.

Na wielkie prośby Zbigniewa, który się chciał uczyć niby rycerskiego rzemiosła, zostawił mu Bolko starego Michnę. Znajomy z nim dawno Skarbimierz, ujrzał go właśnie wychodzącego z komory o kiju, bo noga mu coraz mniej służyć chciała. Pospieszył do niego. Michno się uradował wielce, lecz wnet do smutnej twarzy, jaką miał wprzód, powrócił.

— Bóg z wami! jakże się niewacie? — począł Skarbimierz.

Michno w oczy mu popatrzył, ramiona ścisnął i splunął. Ręką powiódł dokoła, jakby chciał powiedzieć: — Patrz, jako widzisz, tak pisz.

Uśmiechnęli się do siebie.

— Miłościwy mój! — szepnął Michno z cicha — gdybyście to mnie z sobą ztąd zabrali. O! jechał-żebym rad jak na stu koniach.

— Nudno wam? stary? — spytał poseł.

— I robić nie ma co — odparł Michno — rycerstwa uczyć, kiedy do niego serca nie mają? Co innego im w głowie! Ładu nie ma.

Urwał Michno, jakby mu się mówić nie chciało. Skarbimierz szepnął, iż na rozmowę wieczoremby się zejść mogli. Teraz prowadzić jej dłużej nie byłoby sposobu; zbyt wiele oczu patrzyło i uszu słuchało. Pachółków i niewiast, starych

i młodych włóczyło się mnóstwo, stawali do rozmów, śmiali się głośno i zdawali się tu panować nie zważając na nikogo.

Tu i owdzie mowa czeska i niemiecka przebrzmiewały między służbą.

Marko też przyodziałwszy się prędko, stawil się, aby posła wybadać z czém przybywał.

— Cóż nam przynosicie? — zapytał.

— Nietrudno to zgadnąć — odparł Skarbimierz — przyjechaliśmy zaprosić księcia na wesele naszego pana. Któż mu ma być družbą jeżeli nie brat?

Marko się po wyłysiałej głowie poskrobał.

— Zapewne — odparł — tylko, że nam pan coś nie domaga. Nikt pewnie nie kocha i nie szanuje więcej nad niego pana Bolesława, nikt się jego szczęściu i meztwu nie dziwi bardziej! Gdyby mógł!!

— Cóż to za choroba? od kiedy? — spytał posel.

— Kto może wiedzieć co to jest? — westchnął Sobiejucha. Baby nie rozumieją, my też. Odprawiają księcia nasze święte, chodził książę relikwie całować, ocierał o nie głowę. Na piersiach ma ciężar, zmory go po nocach duszą.

Zwlokło się czasu trochę na tej rozmowie. Nierychło dano znać, że królewicz posłów przyjmując jest gotów, a że i O. Hilarjon wrócił z kościoła, szli więc z nim, odziałwszy się przystojnie na dwór książęcy.

Tu widok się im przedstawił niespodziany. Zbigniew rad był wystąpić po swojemu, aby okazać potęgę i dostatek; służba więc, która niedawno odarto i boso po dziedzińcach biegała, stała przywdziawszy bławaty, łańcuchy i miecze pozłociste. Napędzono jęj zewsząd, aby liczbę powiększyć, w izbach i sieniach gromady się tłoczyły. Sam Zbigniew odział się w szkarłat i złoto. A że Bolko nosił zawsze na piersiach na złotym łańcuchu blachę z wizerunkiem ojca, on też ciężki łańcuch wziął na piersi, zawiesiwszy na nim klejnot wysadzany kamieniami, smoka skrzydłatego wyobrażający.

Dwór nie umiał prawda stać jak należało, ani się ruszyć raźnie, ale go było dużo i wystrojonego jaskrawo.

Skarhimierz, który dawno nie widział księcia a słyszał o nim, że był chory, zdziwił się ujrzawszy otylszym niż był i jakby obrzękłym, ciężkim, z oczyma podpuchłemi, bladym, przed czasem postarzałym. Gnuśną naturę czuć w nim było, z poza której przebiegłość i chytrość się przebiła. Posłów książę przyjął nadzwyczaj uprzejmie, acz w głosie, wejrzeniu i postawie, nie było tej życzliwości, jaką słowa glosiły.

O. Hilarjon sprawił to z czém go posłano, wypowiedziawszy pięknie i gładko, jak książę Bolko tęskno czekał na brata, chcąc go mieć w uro-

czystej chwili przy sobie, by mu jako starszy w rodzie pobłogosławił.

Zbigniew słuchając, bródkę, która mu rzadko rosła, poczesywał ręką białą, a gdy i Skarbimierz potwierdził w krótkich słowach zaproszenie, odezwał się głosem przerywanym.

— Z duszy całej radbym służyć panu bratu, któremu za pamięć dobrą i miłość dziękuję. Obowiązek to mój, który czuję i spełnić bym pragnął. Niestety chwila złożyła! Choroba mnie męczy, dla której dłuższej podróży odbywać nie mogę, a i od granicy czuwać muszę. Łzy mi prawie z oczów tryskają, iż odmową odpowiedzieć los mi nakazał; nie będziecie wymagać rzeczy niepodobnej. Chory jestem.

Mówił to, a w twarzy wyraz miał niecierpliwy i kwasu pelen. Co innego usta, co innego prawyły oczy, które mi posłów i dwór ich poważny mierzył.

— Będziecie tam mieli — ciągnął dalej — gości, powinowatych, książąt i panów podostatkiem. Nie mówiąc już o Rusi, zjawi się może kto i z Pragi! Ja tam niekoniecznie potrzebny, ani może pożądanym, zastąpią mnie inni.

Zaciął się nieco i dodał złośliwie.

— Wasza przyszła królowa Zbysława, wedle praw kościelnych, pono królewiczowi bratu bardzo jest blizką?

— Tak jest — odpowiedział O. Hilarion — ale

na to mamy osobne rozwiązanie, dozwoleństwo i błogosławieństwo Ojca naszego papieża rzymskiego.

Uśmiechnął się Zbigniew.

— Toście aż tak daleko szukali zezwolenia? — rzekł. — Któż jeździł po nie?

— Nie posyłano nikogo, biskup Baldwin na piśmie dostał to z Rzymu — rzekł duchowny.

Książę głowę pochylił jakby z poszanowaniem dla stołecy świata chrześcijańskiego.

— Miłość wasza — dodał poseł — pomimo cierpienia zechcesz się nam dać uprosić. Zdrowiu to nie zaszkodzi a miłość braterską ukrzepi i ustali. Pan nasz nad wszystkich gości was oglądać pragnie.

Zbigniew popatrzał trzęsąc głową i śmiejąc się pocichu do siebie.

— I ja też widzieć go, do piersi braterskiej przycisnąć gorąco pożądam. Cóż, gdy woli nie staje siły? Na koniu usiedzieć długo nie mogę. W drodze bym gdzieś obległ... Placzę nad tém, lecz sprzeciwić się woli Bożej nie śmiem. Znać sam Bóg tego nie życzył sobie. Przez usta wasze prześlę miłościwemu bratu winszowanie moje i wyrazy serdeczne, powiecie mu jak boleję...

I przerwawszy nagle dodał.

— Chciejcie tymczasem odpocząć, a używajcie co Bóg dał dowoli. U mnie tu, ubogiego człeka, który z nieprzyjaciół łupów nie biorę, dostatków takich i bogactw jak w Krakowie nie znajdziecie.

Nawykłem do prostego życia, zawczasu go skosztowawszy.

W pokorze tój przebijało się szyderstwo. Wstał zaraz książę i ręką pożegnał posłów, chociaż o. Hilarjon jeszcze się przemawiać sposobił. Odeszli oba smutni, czując że odpowiedź zawczasu była przygotowaną.

Kapelau nie zupełnie jeszcze zrozpaczywszy, poszedł natychmiast do biskupa, ufając w to że przez duchownych wyrobić może by Zbigniew odmienil zdanie i na wesele przybył. Zbyt jawną byłaby zła wola i niechęć, gdyby się odmowa utrzymać miała, pod pozorem choroby, która widocznie zmyśloną została.

Skarbimierz wprost do izby wyznaczonej udał się, myśląc niezwłocznie gotować się do powrotu. O. Hilarjona tylko prośba na jeden dzień go wstrzymywała.

Nie mając co z dniem robić, powłókł się po starém, znanem sobie zamczysku, którego opuszczenie i zaniedbanie serec mu ścisnęło.

Szukał Michny aby się z nim rozmówić. Było już z południa. Stary drzémał gdy do niego przyszedł lecz prędko oczy przetrąwszy wstał i mieli rozpocząć poufną pogadankę, gdy Michno dał znak Skarbimierzowi, na ściany ukazując, że szczerze i głośno nie było bezpiecznie mówić w tym domu.

— Niemacie co robić, rzekł — ja też, bo ry-

cerzy tu nie potrzebują takich jak ja. Bawię się czém mogę, pójdziemy nad Wisłę, stoją tam moje więcierze, obejrzym je czy się ryba nie złowila. Po drodze o starych czasach się pogwarzy. Wziął sak na plecy Michno i tak z góry się spuściwszy nad Wisłę, zaszli we dwu ku brzegowi.

Michno milczał w początku, aż się dobrze od zamku oddalili.

— No cóż! — rzekł żywo, z niezém was odprawili? Juści inaczej nie mogło być. Nasz pan brata cierpieć nie może, rychlejby go na ementarz powiodł niż do ołtarza. Gładkiemi pewnie słowy odprawił.

— Bardzo — rzekł Skarbimierz.

— Na słowach mu nie zbywa — dodał Michno. A! miły panic. Jakżebym ja rad od słuchania tych pięknych słówek wyrwał się ku wam! Gdyby mnie puścił??

Schylił się do ucha Skarbimierza.

— Słowom jego nie wiercie! — zdradę knuje.

— Wiecie co o tem? — pytał poseł.

— Nie mówiłbym na wiatr — rzekł Michno. Dla tego że oczy i uszy mam, lękam się iż mnie ztąd wypuścić nie zechce.

— Mówcie co wicie, na Boga! — począł Skarbimierz.

— Po pijanemu z Marka, który mu służy, do być można wszystko, — mówił z cicha Michno. So-

biejucha potajemnie do Pragi jeździł, pewno nie dla jednego pokłonu. Pomorcy tu wczoraj sami dla jakiejś narady zjeżdżali.

— Zdalo mi się żem ich ztąd wracających spotkał na drodze rano — rzekł Skarbimierz, ale zobaczywszy obcych, w bok się zaraz rzucili.

— Oni to byli pewnie — potwierdził Michno. Ja nie wielebym wiedział i zobaczył, ale z Marka, gdy mu się gadać chce, nie ciągnąc go do staję języka. Królewicz przed nim spowiada się ze wszystkiego, a on nie strzyma co wie, gdy się dobrze napije.

Sto razy słyszałem odgróźki i napomknienia że Czechów i Pomorców pewni są, którzy im pomagać mają.

— Na brata, którego łaską żyw jest i bezpieczny? — podchwycił poseł.

Michno się uśmiechnął. — A za cóż brat mocen, sławny i szczęśliwy? — dla czego przoduje i codzień silniejszym się staje! Toć winna nie do przebaczenia. Sam nie może nic, radby i drugiemu nie dał a zgubił go. Przywiązałby mu kamień do szyi, gdyby mógł.

Czasu wesela, wszyscy się zbiorą do Krakowa, kraj będzie stał otworem — azali nie dobra pora?

Skarbimierz strząsnął się z gniewu i oburzenia, po rycersku kłątwa mu z ust wybiegła.

— Bodaj zczezł zdrajca!

— Albożeście myśleli że tu co innego zastaniecie? — kończył stary.

Jakim się człowiek urodził takim umiera. Niemacie tu co robić długo, żegnajcie i powracajcie co rychlęj, aby się mieć na pogotowiu.

Skarhimierz zadumany szeptał jeszcze.

— A taką nam miłość oświadczał!

— I większą jeszcze okazywać będzie, aby was uspić — mówił Michno. Znać go potrzeba jakim on jest. Ja nań codziennie patrząc, na wylot go przenikam, choć bystrym nie jestem. — Wężową naturę ma, pełźnie nizko i pokornie aby kasać.

Siedli nad brzegiem aby obszerniej rozmówić się swobodnie, bo nikogo dokoła nie było, Michno wytrząsając małe rybki z węcierzy do saka, bo polów nie był szczęśliwy, o swém życin, o dworze, obyczajach i zajęciach Zbigniewa rozpowiadał. Pomorców tu już nie po raz pierwszy widziano, zmowy z nimi przeciw Bolkowi dawno były rozpoczęte, nie wojowali też ze Zbigniewem i szanowali granice jego, brali i przywozili popodarki. Tak samo na dworze pragskim przyjaciel sobie jednal książę potajemnie, czując że bez tych pomocników, brata nie zmoże, a występować jawnie nie śmiejąc.

— Co tylko krakowskiemu panu nieprzyjazznego jest, — mówił Michno, — co mu szczęścia zazdrości, wszystko to do nas zdąża, gromadzi się i na-

radza. Gdyby dobrego pana łatwo zgubić było, jużby dawno go obalili.

Gdy się wiadomości wyczerpało, a wieczór nadechodził, Michno pożegnawszy starego znajomego, dla niepoznaki, sam saki na plecy wzięwszy powrócił na zamek, inną mu ścieżynę wskazawszy.

Gdy Skarbimierz przyszedł nazad do izby, znalazł tam już jednego z komorników królewicza, który go zapraszał do pana.

Zbigniew chciał z nim mówić sam na sam i przyjął z większą jeszcze uprzejmością niż zrana. Wino już na stole przygotowane było, które i książę popijał i zapraszał gościa na nie, sam mu kubek nalewając.

Ufając w swą zręczność Zbigniew badać go próbował i ciągnął z niego wiadomości, których potrzebował. A że Skarbimierz głośnym już był jako jeden z najdzielniejszych dowódców, starał się książę obietnicami wielkimi sobie go pozyskać.

Nie powiodło mu się z nim jednak, na wiele pytań krótkimi słowy odpowiadał poseł, a gdy przyszło zachęcenie do służby, rzekł że w krakowskiem ojczycem był, i z ziemi swój wynosić się nie chciał, choćby mu gdzieindziej lepić być miało.

Dosyć zręcznie zapytywał po tém książę o wojsko jak liczne było, o przymierza z sąsia-

dy, zwłaszcza o Ruś, o Czechów i Niemców, oświadczał się z wielką miłością dla brata i troską o tę ziemię, które oba dzierżeli.

Potajemnie i poufnie — dodał że na Pomorców miał oko, posądzając ich iż zdradę knuli.

Ponieważ się bez tego obejść nie mogło, kazał książę podarki ślubne przynieść dla brata i posłowi je wręczył. Pokażne one były choć nie wiele warte, bo co najlichsze i najlżejsze srebra wybrano, tak kowane misternie aby się na oko ciężkimi wydawały. Kilka też sztuk bławatu dodano, który w sklepie długo chowany poblaźniał i zleżał się. Dla Skarbimierza łańcuch i kubek, dla o. Hilarjona też pierścień z okiem szafirowym ofiarował książę, oświadczając życzenie aby się wesele szczęśliwie i spokojnie odbyło.

Powtórzył to kilkakroć z uśmiechem osobliwym i pożegnawszy posła, szedł do izb swoich.

Skarbimierz chwili jedynę nie tracąc chciał co rychlej ruszać w drogę. Konie kazał mieć pogotowiu, tak go nagliło to o czém się tu dowiedział.

Ojciec Hilarjon powrócił od biskupa zafrasowany, gdyż też samą tam otrzymał przestrożę i napomnienie aby się czasu wesela na ostrożności mieli.

Nie było już wątpliwości że się tu zdrada potajemnie gotowała zdawna, oczekując tylko pory przyjaznej.

Michno, który wkrótce potem nadszedł także, szepnął że wyrwać się na teraz z niewoli nie może, aby nie obudzać podejrzania, ale się spodziewa innego zażyć sposobu dla uwolnienia ze służby książęcej.

Sobiejucha nie puszczając jeszcze posłów gwałtownie ich do siebie prosił na napitek, czemu odmówić nie mógł Skarbimierz. O. Hilarjon podziękował.

Znalazło się tu kilka starszych komorników, przyszedł Michno i wzajem próbowano się u dzbana wybadywać. Z posła wszakże dobyć co było trudno, a Sobiejucha podchmieliwszy sobie, pierwszy się wygadał.

Chodziły gęsto kubki, rozprawiano o wojnach o dawnych i nowych czasach, o młodych królach. Marko im więcej pił, tem ohoćniej i weselej wygadywał co mu ślina do ust przyniosła.

— Wiemy my,—mówił,—iż nas ogadują jakobyśmy byli ludzie nie rycerscy i leniwi! — A kto to wie czy nie przyjdzie czas, gdy my rycerzy pobijemy? — Co mi to za sztuka pałką w łeb dać, swojego nadstawiając; nie lepiej nasłać drugiego żeby guza napytał i nabił.

Śmiał się Sobiejucha, a Skarbimierz mu pomagał, udając że nie rozumie. Spróbował jeszcze azali się Zbigniewa przez ulubieńca zyskać nie uda.

— Nim co będzie, — rzekł nim do guzów przyjdzie, wy tu miły panie przodujecie, ucho pańskie macie, powinniście tego dokazać aby do nas na to wesele jechał! — Jabył wam za tą przysługę sntą szubę krytą pięknie i srebro kilkadziesiąt grzywien mógł ofiarować nie licząc pomniejszych podarków. Bólko nasz szczodrym jest.

Sobiejncha głową kręcił.

— Szubę bym wziął, dzbanom srebrnym i grzywnom byłbym z duszy rad, — rzekł—ale tego dokazać nie potrafię, aby mój pan zrobił to czego nie chce.

— Dla czego? — dla czego? — pytał posel. Czerwony już i mocno napity Marko belkotal.

— Cheecie prawdy? — Nam bo nie w smak patrzeć jak drudzy miody podbierają a nam się smasz zostaje. Komu śpiewają chwałę żołnierze? Bolkowi, kto mężny? — on, kto dobry, kto praw kto wielki! — zawsze on! Naszemu pann od początku wciąż się krzywda dzieje. Odsadzili go, jak kota od misy, od Krakowa, od starszeństwa, popchnęli w kąt na Mazury. I wy chcecie żebyśmy my naszą biedę i wstyd na świat wywlekali, aby na weselu starszy brat szedł, niosąc kraj płaszcza młodszemu?

— Za się, nie! — rzekł Skarbimierz — starszyby pewnie miejsce miał poczesne.

— Hej! hej! — plótl Marko — co o tém roz-

prawiać! — Jam się włóczę po świecie dużo napatrzył braterskich miłości i nasłuchał o nich. Trudno się całować gdy złość dusi.

— My się nie mamy o co złościć! — odparł Skarbimierz.

— Nie bajajcie! — rozśmiał się Marko. Wzięliście dużo a chcę się wam więcej jeszcze, bodaj i Mazurów i Płocka i Gniezna a Poznania. Bolko by rad na gwałt być Chrobrym! — Znamy was! znamy!

Napiwszy się Marko, niby z weselości śpiewać począł jakąś pieśń starą o dwu braciach Lechu i Kraku.

Miało to swe znaczenie. Skarbimierz zrozumieć nie chciał.

Nie wiele mówiąc sam, dobył przez ten wieczór posel więcej z Marka, niż od innych. Miał taką prostoduszność żołnierską, iż przebiegły Sobicjucha za nierozgarniętego człowieka biorąc go, całę nie wystrzegal.

— Wy miłujecie Bolka — mówił ochmistrz — a ja powiadam że u mego pana służyć najlepsza rzecz. Prawda że rozsierdziwszy się pięścią sięga do gęby nie szanując zębów starych, że i za ucho targnie, gdy mu co dokuczy, — ale za to ja tu jestem panem nad drugimi i innym mordy rozbijam jak chcę. Pracy takiej utrapionej jak u was nie mam. Wylegam się do białego dnia, czeladzią się posługuję sam, bo na wyprawy ani

na łowy nie chodzimy... Złote życie! — Ręce podniósł z kubkiem w górę.

— U was jak w klasztorze klauzura i dzwonek, dzień podzielony, spoczynku niema nigdy, służba jak niewola, u nas człowiek brzucha dostanie i dobrze mu.

Pogładził się po piersiach.

Późno w noc przyjęcie u ochmistrza skończyło się śpiewaniem, do którego i małżonkę swą Gretę wezwał Marko, bo dla mienia i łaski pańskiej ożenił się z nią stary Sobiejnucha.

Nie była to już piękność dawna, ale niewiasta otyła, blada i ociężała, z wypłowiałemi oczyma. Na prośbę męża zaczęła śpiewać pieśni niemieckie, które nie wszyscy rozumieli, ale wesołe być musiały, bo ona sama i mąż śmieli się z nich mocno.

Zasłyszawszy o weselu Bolka, odezwała się do Skarbimierza z ubolewaniem że książę Zbigniew, także żenić się nie myślał, a z ladajakiemi niewiastami żył nie porządnie: mąż jój wprędce usta zamknął, nie dając się z tém zbyt rozgadywać, bo była też po kilku kubkach i nad miarę otwartą.

Korzystając z tego iż wszyscy dobrze byli podechmieleni gdy się rozchodzili, Michno przeprowadził do izby Skarbimierza, szepnąwszy mu przy rozstaniu, że wieczorem nawet nowego gońca do Pragi wysłano.

Niekładnąc się już na spoczynek posłowie dnia tylko doczekawszy, jak na brzask w drogę ruszyli, spiesząc z powrotem bardziej jeszcze, niż do Płocka. Rażniejszą była ta podróż, gdyż im się więcej ku Krakowu zbliżali, tem w liczniejszej gromadzie ją odbywali. Łączyły się z niemi mnogie dwory i poczty ziemian, które na wesela także dążyły.

Wszysey nieśli podarki, a występowali z końmi, ludźmi i przyborem takim, by swemu panu wstydu nie uczynili.

Skarbimierz to z jednemi to z drugiemu kawał drogi razem jadąc, wymijał ich i pospieszał, mając na sercu to o czem się w Płocku dowiedział.

Zazdrość Zbigniewa zrozumiała była posłowi, gdy wśród panów, których spotykał znalazł wielu i z dzielnicy Mazowieckiej pospieszających z hołdem do Bolka, którego za zwierzchniego pana głos powszechny uznawał. Ze wszystkich ziem, od Poznania, Gniezna, Szlaska, zarówno jak z Sandonierskiej i krakowskiej, jechali ziemianie.

Na zamek krakowski ledwie się już dobieć było można, gdy posłowie wrócili, a do królewicza dostać nie łatwo, gdyż ciągle otoczony, coraz nowo przybywających sam przyjmował. Przygotowania do wspaniałego i uroczystego obrzędu, olbrzymie były, gdyż kilkanaście dni trwać miały uczty, a goście leżyli się na tysiące.

Pora do napaści na dzielnicę Bolkową, w istocie była dobrze wybraną, rycerstwo niemal wszystkie gromadziło się w Krakowie.

Skarbmierz, zaledwie z konia zsiadlszy szedł do komnaty pańskiej, aby się z nim rozmówić na cztery oczy i z poselstwa zdać sprawę. Choć weselną chwilę zatrue miał wiadomością, jaką przynosił, Skarbmierz tać jej nie mógł.

Począł więc po prostu swą powieść, co zastał w Płocku, jak był przyjęty, co widział i słyszał, księża wzywając na świadectwo; Bolko się w początku oburzył wierzyć nie chcąc, wręście niemogąc wątpić o prawdzie, zasmucił się wielce jakby brata utracił.

Zwołano kilkun wojewodów na radę, wszyscy zgodnie oświadczyli, że podobne poszlaki i głosy mieli zdawna, a zdrada była pewną.

— Nieprzyjaciół się tak bardzo nie zleknie — odezwał się królewicz — człowieka mi żal, którego kochać chciałem, a z nienawidzić muszę, choć mi jest bratem.

Na zamku nie się na oko nie zmieniło, rada odbyła potajemnie. Postanowiono na niej siły zgromadzić po lasach, nie wyprowadzając ich na jaw, tak aby nieprzyjaciół sam wpadł w zasadzkę, gdy chciał zastawiać sidła.

Umawiano się do późnej nocy, kogo i gdzie wyprowadzić, gdzie postawić oddziały. Szlaki które mi zwykle Czesi na Śląsk i krakowskie ciągnęli

znane były, drogi, jakimi Pomorcy mogli wtargnąć również wiedziano, mógł więc Bolko uprzedzić, zwłaszcza że bezpiecznie ciągnąć mieli, nie obawiając się przeszkody żadnej.

Na zamku śpiewano, rozlegała się gędźba, stoły obsadzone wesołemi biesiednikami nie opustoszały; znaku nikt nie dostrzegł iż między starszyzną radzono, słano i umawiano się przez noc prawie całą.

Bolko to do gości szedł z twarzą wesołą, to do Skarbimierza, Żelysława, Wojysława i Magnusa powracał. Niepostrzeżeni wysuwali się dowódcy, wychodzili tysięcznicy i sotnicy, co było najdzielniejszego znikalo. Nikt tajemnicy słowem ani skinieniem nie zdradził.

Jak to bywa gdy sam pan co duszą wszystkiego jest, milczeć umieć, a w sługi karność przelewa; otoczenie krolewicza na jego obyczaj i podobieństwo urobione, posłuszne było i tajemnicę zachować umiało. Milezeli wszysej gdy było potrzeba, szli, wracali, bili się, nie szemrząc, nie skarżąc się i nie okazując nic po sobie.

Bolko, choć w nim zawrzał gniew i oburzenie, bo był prędki wielce i do wybuchów skłonny, gdy pierwszy ogień spłonął, umiał się poskromić, usta zamknąć i oblicze przybrać wesołe.

Niepoznał po nim nikt co miał w sobie. Tak samo czyniła drużyna.

Tydzień cały trwały uczty od rana do nocy,

płynęli i odpływali ludzie, skarbiec się wypróżniał na podarki, a dwa silne wojsk oddziały od granic stały już na czatach.

Bolko czekał hasła i znaku, aby od młodej żony odbiedz i do swojego rycerstwa pospieszyć.

Gdyby był w dzień wesela przybył od granicy goniec że nieprzyjaciół nadeiaga, zerwałby się królewicz do miecza i zbroi, lecz gońca od granic nie było.

IX.

Kilka lat upłynęło znowu. Rosnął zamek krakowski, rósł i gród pod Wawelem, z ziemi podnosiły się kościoły ku chwale Bożej, a rósł też i potężniał Bolko Krzywousty, chwili nie spoczywając.

Jedna ledwie się wojna skończyła, już na drugą w rogi trąbiono; rzekłbyś, że kto nasadzał wrogów i wichrzył umyślnie aby mu nie dać spokoju.

Rad był król, że wojsku jego wojny zgnuśnić nie dawały, że na wyprawach żołnierzy sobie sposobił, których się nie wstydził wziąć do boku, lecz ilekroć brata wspomniał, chmurzyło mu się czoło.

Wyciągał doń dłoń nieraz, a spotykał martwą rękę, która go odpychała.

Zbigniew siedział zawsze zaczajony w swéj płockiej jamie.

Posyłano do niego, aby ludzi dał, rozproszeni byli, ciągnąć nie mogli, na czas się stawić nie zdążyli. Słał Bolko żądając tłumaczenia dlaczego wszyscy o zdradę go obwiniają, odpowiadał Zbigniew, że o zdradzie żadnej nie myślał, potwarz nań rzucano, gdyż był bratu wiernym.

Tymczasem z każdym rokiem mnożyły się poszlaki i dowody zdrady. Bolko sam jeden całego królestwa, swojej i brata dzielnicy strzedz musiał od jednej do drugiej przebiegać granicy, broniąc wnijscia. Gdy mu wręście wojny na rubieżach zabrakło, szedł na Morawy aby wojował, ludziom ani sobie spoczywać i zgnuszyć nie dając. Znał to, że żołnierz jak miecz w pochwie rdzewieje.

Na Pomorzu nienastanie się burzyło, zaledwie ukarani zrywali się poganie do odwetu.

I teraz go się spodziewano, trzeba było uprzedzić Pomorców i w gnieździe ich przygnębić, ów morski brzeg, o którym marzył Bolesław, zawojować, oczyścić, wrota na świat ściśniętej ziemi otworzyć.

A z domu ruszyć, wroga zostawiając za sobą niebezpiecznym było. Zbigniew czyhał na chwilę dogodną. Napróżno starszyzna domagała się pozbycia jawnego zdrajcy i wyrzucenia go z dzielnicy, Bolesław lękał się, aby go nie pomawiano o chciwość władzy. — Czekał.

— Gdy go pochwycę na uczynku i przeniewierstwo jawném się stanie, naówczas ukarzę.

Wyprawa na Pomorze przysposabiała się tajemniczo, Bolko na Szlązku lud zbierał i najmężniejszych swych wodzów miał u boku.

Dość było spojrzeć na nich, ażeby poznać nieustraszonych rycerzy.

Żelisław Belina rękę miał uciętą w boju.

Wojśław czaszkę rozbitą, na której szram głęboki pozostał.

Skarbinierz jedno oko stracił w bitwie.

Bolkowych ran i blizn nikt zliczyć nie mógł. Bez ręki, bez oka, z głową przerąbaną wszyscy oni szli znown w bój ze swym królowiczem na przedzie. Żołnierz prosty za wodzem, nie dbając jak on o życie, rzucał się przebojem na nieprzyjacielskie tłumy.

Pulki zebrane stały już pod Głogowem, gdy na radzie Skarbinierz rzekł do księcia.

— Miłościwy panie! Daremny nasz bój z poganymi i przelewana krew. Mamy w domu nieprzyjaciela co tantym poganom otuchy dodaje i podżega, sam wystąpić nie śmiejąc. Dopóki go żywić będziemy, pokoju nie będzie.

Bolko poruszył ramionami niechętnie.

— Słyszę ja ciągle, że go o to obwiniacie, a uwierzyć mi temu trudno.

Gnuśny jest, zazdrośny może, ale o zdradę posądzać go nie chcę.

— My go wszyscy zdrajcą znamy! odezwali się inni.

— Wziąć go z Płocka i w grodzie którym pod strażą osadzić — odezwał się Wojśław — wówczas i Pomorcy buty pozbędą.

Bolko na to głową potrząsał.

— Uczynimy inaczej — rzekł — Skarbimierz bywał raz u niego, zna go, niech jedzie jeszcze, powie mu ode mnie, że go cały świat obwinia. Gorzej, sam on obwinia się uparcie mi pomocy odmawiając. Niech więc raz prawda się okaże. Chce on panować, niech panuje i niech granic broni, — chce trzymać dziehnicę, niech z niej służy...

Skarbimierz głowę skłonił.

— Poślecie, pojedę — rzekł.

— Jedźcie rychło i powracajcie wczas, dodał książę — pilno mi z Pomorzany skończyć i dotrzeć do morza, które w swęj mocy pogaństwo trzyma.

Tegoż dnia dobrawszy ludzi Skarbimierz wyruszył do Płocka; sam jeden bez towarzysza, w duszy gniewny, bo zdrada, której Bolko wierzyć się wzdrygał, jawną dłań była i dla wszystkich.

W podróży tyle tylko spoczynku miał poseł, ile go konie i dwór potrzebowały; a stanawszy w Płocku o pół dnia, wprost do biskupa nie na dworzec królewski zajechał.

U Zbigniewa téjże godziny wiadano, że przybył od Bolka wysłany, i nim się Skarbimierz przebrać podążył, przyszedł doń Marko.

Ów sławny niegdyś wojak, teraz już z ciężkością konia mógł dosiąść tak mu brzucha przybyło, ociężał i z rycerza stał się przebiegłym dworakiem.

Nie czyste sumienie strwożyło się przybyciem nowego posłańca, chciano wiedzieć co przynosił, Sobiejucha stawil się z uniżonością wielką. Wi doczném było, że chciał naprzód być uwiadomiony, co od Bolesława wiozł do brata.

Na zapytanie, Skarbimierz odparł dumnie.

— Z czém przybyłem, pewnie wam odgadnąć nie będzie trudno. My się za was bijemy, wy tu siedzicie w jamie, iść z nami nie chcecie, ludzi nam nie dajecie. Chcemy raz mieć koniec i wiedzieć, czy wroga mamy czy brata.

Z tém przybyłem.

Marko udał zdziwionego niezmiernie.

— Czyż może być, ażeby już do tego przyszło! — zawołał. — Godziż się abyście wy do nas się tak odzywali. Cóżesiny zgrzész yli? co my winni! Lud mamy brzydk i, który się rozbiega po lasach, ani go uagnać do służby... Niezdarni, leniwi — daliście nam takich poddanych, że niemi orać chyba.

Skarbimierz był gniewny.

— Jak ich wam odbierzemy — rzekł — zro-
biemy z nich żołnierzy.

Sobiejuha śmiać się niby począł.

— Ha! ha! żartujecie! odbierać już chcecie!
Brat bratu przecie oka nie wykole.

Nagle, wyrzekłszy już to, spojrział na Skarbi-
mierza, który jednego oka nie miał, i strwożył
się, iż mu się głupie słowo wyrwało.

Posel nie zdał się zważać na nie.

Wyszedł natychmiast, a Marko mu towarzy-
szyl. W dziedzińcu strzymał go, okazujący się
przyjacielskim ochmistrz Zbigniewa.

— Miłościwy panie — rzekł eicho — nie prze-
mawiajcie zbyt ostro do naszego pana. — Człek
chorowity, zgryźliwy, weźmie do serca. Nie trzeba
zgody psować póki jest.

Nie na to nie odpowiedział przestrzeżony. —
We dworze Zbigniew już czekał nań, ale bez wię-
kszego orszaku i występu, niespokojnym był
i o przygotowaniach zapomniiał.

Powitał przybywającego nader łaskawie.

— Znowu mnie chorym zastajecie! — odezwał
się pokaszlując — dopust Boży na mnie ta sł-
bość!

— Życzymy zdrowia waszćj miłości — począł
Skarbimierz — życzymy z serca, bo to uparte
choróbsko trwa już zbyt długo, a Pomorcy nam
pokoju nie dają.

Nim Zbigniew zaciąwszy usta, przygotował się

do odpowiedzi. Skarbimierz nie chcąc przy świadkach mówić więcej, poprosił go na ustęp, aby sam na sam mógł poselstwo przelożyć.

Weszli do bocznej komory, Zbigniew usiadł w kącie przyciemnionym, tak aby mu twarzy widać nie było.

— Mówcie, co przynosicie! — odczuwał się — czy to tajemnica jaka?

— Nie tajemna to rzecz — począł Skarbimierz — a no nie miła. Posłany przynoszę co mi dano. Skaży się brat waszej miłości a pan nasz, że szczere mi być nie chcecie. Wiemy dowodnie że nań zmawialiście Czechów, że przeciw niemu nasyłacie Pomorców.

Niespodziewając się wyrzutu tak jawnego, porwał się Zbigniew wołając.

— Śnićcie tak mówić do mnie?

— Śmiem mówić to, na co dowody mamy — ciągnął nienustraszony Skarbimierz. — Nie rok nie dwa to trwa, cierpliwi byliśmy. Nie daliście nam ani jednego człowieka na obronę granic. Posyła pan nasz, prosi, obiecujecie, a nigdyście nam nie dotrzymali.

Zapytuje Bolesław i wiedzieć chce, czyście mu bratem i druhem, czy wrogiem?

Gdy to mówił, twarz Zbigniewa mieniła się gniewem, zapaleczywością, wściekłością niemal i chytrym spokojem, który chciał okazać. Walczył z sobą, twarz mu siniała, trząsł się cały,

wreszcie głosem płaczliwym, jakim dziady żebrzą pod kościołami, odezwał się hamując.

— Boże miłosierny! co za dola moja! jestem znieważony, uciśniony, osądzony, odepchnięty, potępiony. Najmniej tu w tych ziemiach nie mam znaczenia ani siły, siedzę na najgorszej dzielnicy — chorzeję, marnieję, ginę i za moją miłość i wierność — taka nagroda!!

Skarbimierz mu przerwał.

— Miłościwy książę! słów my dosyć słyszeliśmy.

— Tak! — gniewnie krzyknął Zbigniew zmieniając głos — tak! uczynku mi żadnego nie zadacie? — Wiem, że nazywacie mnie zdrajcą? a ja was zowią potwarcami! zdrada! gdzie dowody? pokażcie, gdzie! jaka? To czynię co chcę, jestem u siebie panem.

— Broncież się sami od nieprzyjaciela, odparł posel. Dotąd my sami bronić was musimy.

— A kto was prosi o to! — wołał Zbigniew — jam pomocy nie wzywał nigdy.

— Mamy więc dopuścić, aby Pomorze spustoszywszy wasz kraj, poszli nasze spustoszyć? rzekł Skarbimierz.

— A toć nie mnie, ale sami siebie bronicie! śmiejąc się śmiechem złym i groźnym podchwycił książę. Co mi do tego? wdzięczności wam nie winienem.

— Miłościwy panie! — mówił Skarbimierz, —

królewicz Bolko panem jest pobożnym, cierpliwym, pokój miłującym.

— A! ja też! ja też! wtrącił książę.

— Cierpliwości i miłości w końcu się jednak przebrać może, — dodał Skarbimierz — nie chcecie bronić państwa, ani dawać posiłków, stracić możecie dzielnicę.

Zbigniew pobałdł, głos jego znowu stał się żebraczym i płaczliwym.

— Azali ja co winien jestem! — począł ręce łamiąc — nie szanuję ja brata? Życzę mu dobrze, radbym posiłkować, alem ja sam chory i ciężki, a ludzi nie mam. Zazdrośni, podli, nیکczemni pomawiają mnie o zdradę! jam wierny, jam nie-szczęśliwy!

Skarbimierz spojrzał nań tak wyzywająco, że Zbigniew ton zmienił znowu i spyszniał. Gniew zwyciężał i wychodził na jaw.

— Czego chcecie odemnie? — krzyknął. — Z czémście tu przyszli? jestem li ja synem króla, bratem Bolesława, równym mu czy nie?

Jeślim równy, odpowiadać mu nie potrzebuję. Czynię co chcę — wyższego nad sobą oprócz Boga i ojca Papieża w Rzymie, nie znam.

Odwrócił się ku ścianie.

— Taką mi dajecie odprawę! zapytał poseł.

— Bo nie wiem czego śmiecie się domagać odemnie! nikomum hołdu nie winien i służby! — rzekł książę.

Mówił to i znowu złagodniał nagle. Twarz ku oknu zwrócił, popatrzał w nie, potem się pochylił ku gościowi z uśmiechem na ustach i wyrazem łagodnym. Zdjął z szyi łańcuch i chciał go włożyć na Skarbimierza, ten się cofnął z pokłonem.

— Teraz podarku od waszćj miłości przyjąć mi się nie godzi — rzekł — wdzięczem zań jestem.

— Cóż się stało? począł, łańcuch na ławę rzucając Zbigniew. — Dlaczego przysłał do mnie Bolko! Kto mnie oskarża? Co mi zadają! Głos coraz był słabszy i łagodniejszy.

— Miłościwy panie, nikt wam, wy sami szkodzicie sobie — odczuwał się Skarbimierz. — Stronicie od brata, zapominacie o nim. Domagamy się posilków, na nas całe brzenię! nie dajecie nam ich. Obiecujecie, a gdy rachujemy na nie, nie przychodzą.

— Jam nie winien! jam nie winien! przerwał książę, — zaprzysięgam niewinność moję. Zdrady w sercu mojem nie ma! kocham brata, a jestem posądzany i czerniony. Jakże się zbliżyć, gdy wiem co mnie tam czeka? Wymówki, podejrzenia, niewiara.

Westchnął ciężko i zasunął się znowu w kąt ciemny, łańcuch zdjęty, powoli wkładając na szyję. Milczał.

— Co każecie mi powiedzieć panu naszemu? spytał poseł.

— Powiedzcie mu, że ja się do żadnej nie znam winy, chłodno odparł Zbigniew. Boleję nad tém, iż daje wiarę ladażakięj potwarzy, że mnie posądza. Kocham go, szanuję, wiernym mu jestem i będę.

Skarbmierz nie chcąc dłużęj walki prowadzić na próżne słowa, chciał już pokłoniwszy się odchodzić, gdy książę go wstrzymał.

— Wiem, czém się to dzieje — rzekł — ludziom jestem solą w oku. Siedzę cicho i spokojnie, chcieliby mnie i z tego kąta wymieść precz.

— Któżby tego chciał? i na co? mruknął poseł.

— Nie posądzam brata! inni są, co na mnie żgają — mówił płaczliwie Zbigniew. — Bolko mężny, zacny, szlachetny, ale otoczony złemi i chciwemi...

Mówcie za mną! brońcie mnie! czysty w sumieniu jestem, Bóg świadek!

Książę mówił jakając się, prędko, niewyraźnie, to się wysuwając z kąta, to chowając weń, powtarzał jedno niespokojny. Raz jeszcze posła chciał w łańcuch przybrać, ale Skarbmierz się cofnął i odszedł.

Wieczorem wezwano go do stołu, ugaszczając hojnie. Marko sam odprowadził na dworzec biskupi, próbował badać i odparty został milczeniem. Skarbmierz mówić nie lubił; powtarzał je-

dno, aby ludzi dali na wyprawę, naznaczyli miejsce, czas i liczbę.

Zdawało się niezmiernie dziwić Sobiejuchę, że się takiej rzeczy domagano, pobiegł do pana po rozkazy i wrócił krokiem powolnym.

— Co przynosisz? — zapytał poseł.

— Nie to com pragnął! — zawołał Marko. — Bóg widzi, chciało mi się koniecznie wyprosić na wyprawę z wami! Stęskniłem się za wojenką. Zobaczylibyście, że i ze mnie żołnierz niczego! aż mi się serce wyrywa do boju, ale pan nasz nie dopuszcza!!

Jużci on lepiej wie co może!

Ludzie nasi porozsyłani po grodach, nimbyśmy ich pozbierali, zwołali, uszykowali, a nimby się ta hałastra nauczyła co potrzeba, dużoby czasu upłynęło. Co na to radzić? co? Nie możemy nic dać! nie mamy!

— Ludzi nam tylko dajcie — rzekł Skarbmierz — i konie, choć dzikie, my zrobimy z nich takich jakich nam potrzeba.

— Pewnie! — przerwał Marko podnosząc ręce — ale zkadże wziąć tych ludzi, zkad koni? Lud na przednowku, wynędzniały, mizerny, porozłaził się, wymarł... Całe osady pustują. Konie też niezdrowe, zima była ciężka, chude! skóra i kości! Zkad co wziąć? jak?

Książę mało nie płacze...

Skarbimierz się odwrócił od niego, Marko płótk ciągle.

— Nikogo to tak nie boli, jak mnie, starego wojaka! Bywało się już po świecie, wie się jak poczynać z pogany, jak z Niemcem, jak z Czechem. Ja ich wszystkich znam. Dusza się rwie, daremnie. Niemcy mnie tak znały dawniej, że na sam widok piora u helmu pierzchały, a Ruś! miły Boże! Pieśni o mnie składali, siekałem ich kupy.

Posel zawrócił się szydersko ku niemu.

— Chodźcież z nami — rzekł — przyjmiemy starego wojaka.

— Jakże mam biednego pana opuścić? — westelmał Sobi jucha. — Przywiązał się tak do mnie, że gdy pół dnia nie widzi, zaraz gorzej chory. Nużby mu się z tęskniwy zmarło, na smutkiem bym miał.

Wzdychał i kaszlał stary.

Za nadrą miał przyniesiony ów łańcuch złoty, którym raz jeszcze posła kusił; próbował, lecz ten rękę odpechnął, mówić nie dając.

Nazajutrz rano Skarbimierz Płock opuścił, gniewny z tego, co tu widział i słyszał, pewny, iż owa miłość braterska i wierność była zdrady pokrywką.

Biskup nie tail, iż Zbigniew na naradach i odgrożkach cały czas trawił.

Przybywszy do Głogowa, nie potrzebował mówić Skarbimierz co przywiózł z sobą.

— Kłamstw się nasłuchałem bezecnych —

rzekl. — Ani ludzi, ani koni, ani posilków żadnych nie dadzą.

Opowiedział wszystko Bolesławowi, zamykając tem znown, że zdradę raz znieść potrzeba i ze Zbigniewem koniec uczynić.

Zmilszał królewicz, woląc pomstę lub niesprawiedliwienie zostawić czasowi.

Na myśli i sercu miał teraz zdobyć Kolo-brzegn, tak jak niedawno Białogród pomorski ubiegł i opanował. Pomorcy czujni byli, stawili czaty, pilnowali się od tego, który sam jeden dla nich był strasznym.

Wojna z nimi była niejako wojną świętą. Tu się resztki pogaństwa chroniły, a póki ono tam się gnieździło, pokoju Polska nie miała. Upokorzeni, pobici, uskromieni, jutro się burzyli znówu i powstawali. Zawierali pokój w potrzebie, naza-jutrz zrywali go, porę upatrzawszy dogodną.

Teraźniejsza wyprawa eios im miała zadać śmiertelny. Bolesław chciał na nich spaść niespodzianie, jak piorun z obłoków. Pieszych ludzi z tarczami nie brał wcale, ażeby nie zwalniać dla nich pochodni. Cała jazda, najlepsza jaką miał stała pod Głogowem: Szlązacy, Krakowianie, zacieżny lud wszelki, na koniach najsilniejszych, w najpełniejszej zbroi.

Gdy pulki się zebrały wszystkie, a młode pannie wyjechało je obejrzeć, rozradowało mn się serce i wielka otucha w nie wstąpiła. Widok był

wspaniały, gdy lud ten wszystek wystąpił ochoczy jednako zbrojny. okrzykami witając miłego wodza swego. Żelaza nie dźwigali nazbyt ciężkiego, ale mieli się czem okryć i z czem potykać. Miecze ostre, oszczepy twarde, małe tarcze kute, helmy żelazne; u starszyny i na kropierzach koniom nie zbywało a na piersi blach wielkich mieli dosyć i mieczów zapasnych u siodeł, toporków i maczug żelaznych.

Pobożny pan wziął z sobą kapłanów, którzy codziennie dla wojsk mszę świętą w obozie odprawiali, wieziono chorągiew poświęconą, powiewały i inne pouniejsze przy pulkach, barw rozmaitych z wizerunkami ptaków i zwierząt, w pasy i słupy.

Małoco wozów lekkich wiozło trochę zapasu, namiotów i broni dla odmiany.

Patrzając na to wojsko w ciągnięciu czuć było, że ono zwyciężkiem powróci, tak z oczów wodzów i prostego czleka była odwaga a wiara, że idzie mocą Bożą nie swoją, za sprawę wiary nie dla łupu.

Żelislav bez ręki, Wojislav z czaszką rozplataną, Skarbimierz bez oka otaczali bohaterskiego królewicza, który pod chorągwią poświęconą z krzyżem, jechał dysząc chucią wielką waleczenia za wiarę.

W pochodzie zastępy nie swawolnie nuciły pieśni, ale niedawno na świat wyszłą z kruchty gnieźnieńskiego kościoła, starą pieśń wojowniczą o Bogarodziecy.

Nie rozlegały się jednak śpiewy głośnie, cicho postępowały szeregi przez lasy i pustyńnię, chcąc ubiedz nieprzyjaciela. Szły wielkimi bory i ostępami, mijając siola i grody, bez dróg. manowcami, które przewodnicy wskazywali. Im bardziej zbliżali się ku granicy, tém kraj pustynniejszym się wydawał.

Nikt się tu mieszkac nie ważył, bo niktby się nie utrzymał cało dla nienstannych pogan napadów. Stały puszcze ciche, dzikie, zapomniane, jak je Bóg stworzył, ledwie tknięte ludzką nogą. Czasem przed wojskiem wyrывał się zwierz spłoszony, przerażony tętnem koni, brzękiem oręży, biegł i z oczów znikał. Naówczas kilku ochotników puszczało się za nim z oszczepami, leciały strzały świszcząc i stłumione odzywały okrzyki. Po chwili wszystko wracało do porządku i wojsko się sunęło dalej.

Na polanie gdzieś w lesie, pod wysokim drzew starych dachem, stawano czasem koniom dać spoczynek. Starszyna kładła się na trawie. tarczki malowane jezduych i oszczepy ich w stożki poustawiane świeciły na słońcu, jakby z nich oczy jakieś poblyskiwały.

Dla królewicza namiotów nie rozbijano, ani mu było potrzeba inniej wygody a strawy nad tę, którą wszyscy mieli. Kawałek mięsa opieczonego przy ognisku, woda ze strumienia, starczyła. Im dalej szli, tém w ściślejszych wojsko postępowało

szeregach. Nikomu niewolno było wybiedz naprzód, ani w tyle pozostać, ni w bok się rzucić samopas, ani w róg dawać hasła, ni nawet pieśni zanucić.

Trzeciego dnia gdy tak szli, nad rzeczulką postrzegli ludzi, którzy ryby lowili. Byli to Pomorcy, tych żeby swoim znać nie dali, chwycić musiano i powiązać.

Tu już szlaki, jakimi dziez owa na Polskę chadzała gdzieniegdzie widne były. Spotykano opuszczone szalasy, obozowiska stare, ogniska wygasłe noclegów i skielety koni co tam popadały w drodze. Rachowano, że śpiesząc szóstego dnia z Głogowa do Kolobrzegu dociągnąć mieli. Lasy się przyczędzały, polany szersze widać było, spieszyć musiano, aby kto nie podpatrzył i nie nprzedził.

Piąty dzień dobiegał do wieczora, gdy raz ostatni w lesie położono się obozem. W powietrzu woń jakąś czuć było inną, wiało już sąsiedztwem morza z szerokiego świata. Wiatr szedł od wybrzeżów na lądy, przeto i ostrożności mniej było potrzeba, bo się głos nie rozchodził daleko.

Las rzadki u szerokiej łąki i stawu wybrany był z rozkazu Bolesława na obozowisko. Wnet po przyciągnięciu na samym wierzchołku piaseczystego wzgórza, oltarz ustawiać poczęto.

Walkę za krzyż Pański, modlitwa o pomoc Bożą poprzedzić miała. Dano ludziom spooczywać do północy, a gdy po gwiazdach poznano, że ranek się zbliżał, ruszyli wszyscy oltarz otaczając

dokola, na którym O. Hilaryon bezkrwawą składał ofiarę.

Dzień to był Sobotni N. Panny Maryi. Wigilią pościli wszyscy, a przy mszy świętej Bolesław, starszyna i z ludu, kto chciał i mógł do stołu Pańskiego przystępowali.

Wśród ciszy lasu klęczące szeregi zbrojne z odkrytymi głowami, które kapłan z hostyą obchodził, zbrojąc na krzyżowy bój — obrazem były wspinałym. Zaledwie dokończono obrzędu, gdy chorągiew poświęcona podniosła się w górę i cichym głosem ozwał się hymn:

Bogarodzico dziewico.

Zaczęto go mścić stłumionemi głosy, pomnając na bliskość nieprzyjaciela, ale w umiesieniu pieśń rosła, potężniała, panięć na niebezpieczeństwo znikło.

Pod tą chorągwią, z tym hymnem, pewnym się zdało zwycięztwo. I brzmiała pieśń silniej coraz, coraz pełniej i ogromniej.

Śpiewał królewicz, drużyna, starszyna, wojsko, a kto pieśni nie znał, wtórował jej głosem, bo mu ona do serca mówiła, krzepiła je i rozgrzewała.

Razem z pieśnią rósł dzień i światłość. Poczęta o mroku, rozdarła ciemności, chmury się rozpierzeliły na niebiosach, lasn ukazał się czysty i jakby modlitwą wywołane słońce, wyszło sięjąc ogniem na ziemię.

Wojsko na koniach siedziało, szybko zbierano na wozy sprzęt kościelny, pozostała garstka doskoczyła raźnie wierzchowców. Królewicz jechał przodem, gnał, pędził, bo niecierpliwością gorzał wielką. Skarbinnierz, Żelisław, Wojsław hamować musieli, tak się wszystko naprzód rwało.

Z piaszczystego wzgórza widać już było poniżej gród warowny, wałami otoczony, rzeczką Persantą oblany z tej strony, od której iść mieli. Szeroko rozsiadały się budowy jego drewniane i mury wpośrodku gdzieś się wznoszące; dalej wyglądały u przystani stojące statki z maszty wysokimi i powieszanemi żaglami, a dalej jeszcze świeciło morze płowe, jak drogi kamień mieniające się barwy tęczowymi; złotem dziane, lazurem przetykane, zielenią, szafirem, ametysty i srebrem sadzone. Lekki wietrzyk poruszał fale jego, pędząc ku brzegom, jakby rozłożoną szatę czarowną faldował, białemi obszywając bramy; ginęły gdzieś na horyzoncie owe przestrzenie niezmierzone, jakby się tam z niebem połączyły uściskiem.

Wojsko stanęło chwilę.

Garść go była na ten gród wielki, obronny, ubezpieczony. Wszystko się tam jeszcze spać zdawało, mileżało. W sercu kraju któżby się spodział, przeczuł nieprzyjaciela? Ten tylko co się dostał do Białogrodu, mógł na Kołobrzeg się ważyć.

Na widok przyszłego pola walki przeżegnali

się wodzowie. O. Hilaryon podniósł do góry krzyż, chorągwie podrosły wyżej, konie rwały niecierpliwie.

Bolko milczący jechał na przelzie. Persanta była od deszczów wezbrana. Stał na niej nieco opodał most i przy nim bród widać było, ale tam lada chwilę mieszkający się mogli ukazać i popłoch uczynić. Dotąd pusto było w uspionym grodzie.

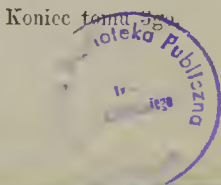
Pomiędzy starszyzną starosta był, którego Zaborem zwano, człek mężny, ale chętnie dwornujący ze wszystkiego. Stało jeszcze wojsko i nikt się nie ruszał, gdy przystąpił do królewicza klniając się z uśmiechem.

— Miłościwy królewiczu — odczwał się — chciałoby się już królu, rzec; czy my ten kamień nadgryziemy, Bóg tylko wie, ale że sobie na nim zęby wyszezerbim albo i polaniem, toć pewna.

Spojrzeniem nakazał Bolesław milezenie, pierś mu się podnosiła prędko i ręce drżały, powlókł oczyma po twarzach posępnych. Widok grodu silnego strwożył nawet najśmielszych.

— Hej! ludku ty mój mężny! — odczwał się. — Gdybym ja nie znał was, nie rachował na to męstwo, nie wiódłbym ja was na taki bój, w tak daleki świat! Uciekać nie możemy, kraj nas wrogi otacza, trzeba iść i trzeba zwyciężyć! Z Bogiem! naprzód.

— Boże zmiłuj się nad nami! — zakrzyezano w szeregach i pulki runęły w rzekę.



Biblioteka Raczyńskich

JK 987



JK0987